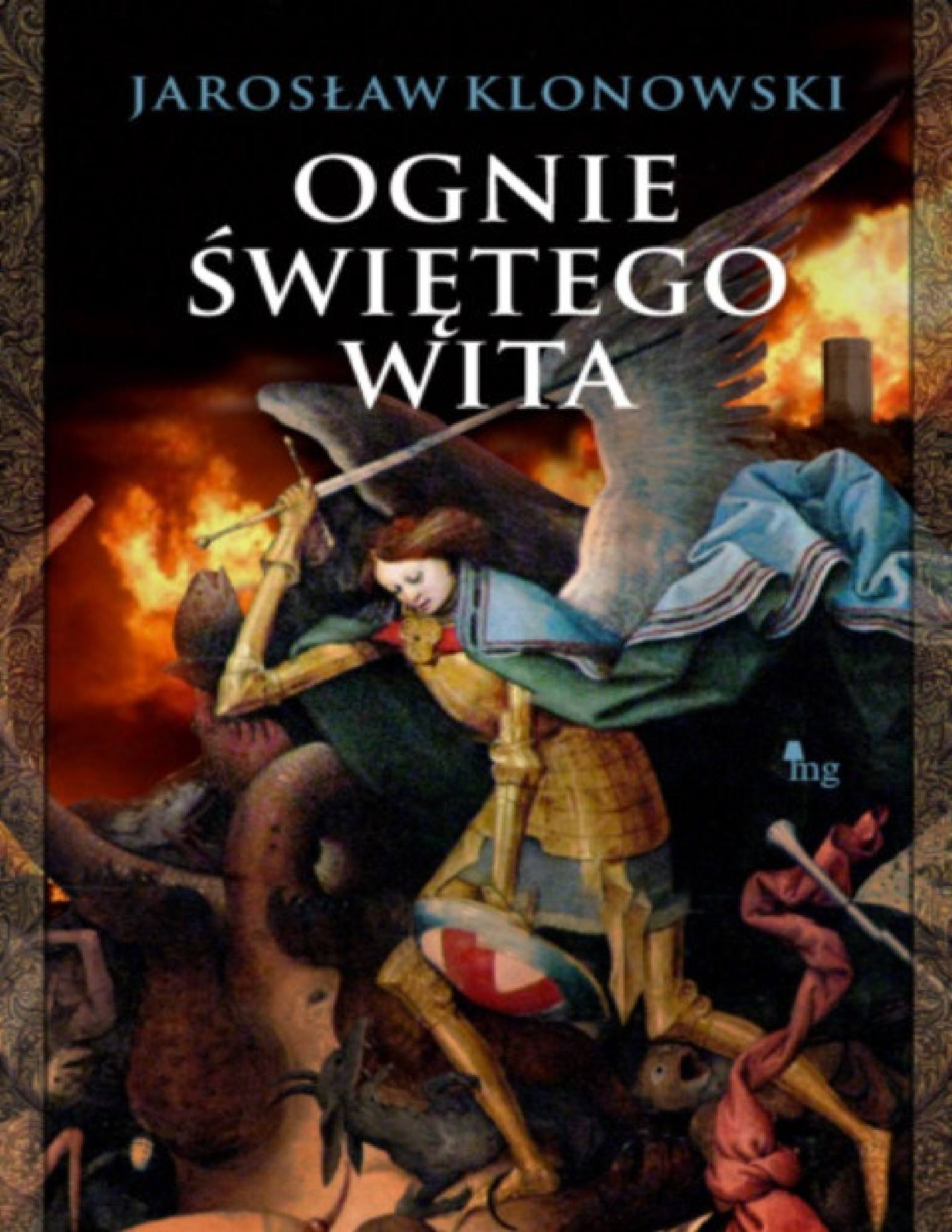


JAROSŁAW KLONOWSKI

# OGNIE ŚWIĘTEGO WITA



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jarosław Klonowski

# OGNIE ŚWIĘTEGO WITA

---

Wydawnictwo MG



# Księga pierwsza: Czarownica

# Wstęp

4 marca Roku Pańskiego 1488, Bydgoszcz

Służba uwijała się jak w ukropie. Dwóch roślących parobków wniosło masywny stół, przywleczono też krzesła dla sędziego, pisarza sądowego oraz dla pana starosty bydgoskiego, Jędrzeja Kościeleckiego. Na stole ułożono arkusze czerpanego papieru i pióra, obok stanął kałamarz, lichtarze ze świecami oraz butelczyna wódki i kilka kubków.

Czterech mężczyzn wniosło wielki kloc z żelaznym pałakiem. Następnie zamontowali w otworze sufitu koło od wozu, z którego zwisały grube jak ramię mężczyzny powrozy.

Dwa pozbawione okiennic okna osłonięto kotarami. Parobkowie zapalili świece. Wnętrze bydgoskiego ratusza wypełnił miękki, stłumiony blask i zapach łoju.

W tym samym czasie przed drzwiami ratusza zaczął gromadzić się tłum. Po chwili można było usłyszeć pierwsze okrzyki, bo zasłonięte kotarami okna wychodziły wprost na ulicę. Przeważał język polski, choć słyszało się też zwroty niemieckie.

Do środka weszło kolejnych dwóch ludzi, ich długie cienie padały na pobielone ściany. Pierwszy był krępy, mocno zbudowanym mężczyzną o szorstkim spojrzeniu zimno niebieskich oczu, spoglądających zza pokrytego cienkimi żyłkami, zakrzywionego nosa. Jego głowę pokrywały krótkie, szpakowate włosy. Delikatne zakola i łysina na czubku głowy dodawały mu powagi. Miał na sobie pikowaną gęstymi ściegami fioletową jopulę, z wywatowanymi rękawami, ozdobioną na piersi złotym łańcuchem o grubych jak palec ogniwach, a na nogach proste nogawice. Cichym głosem rozmawiał z drugim człowiekiem, znacznie młodszym i odzianym w długie houppelande z czarnego jedwabiu. Służący usiłowali wychwycić choć słowo, lecz toczona po łacinie rozmowa najwyraźniej nie była przeznaczona dla ich uszu.

Ten drugi, szczuplejszy, na oko trzydziestoletni mężczyzna, którego piwne oczy sprawiały wrażenie bezczelnie roześmianych, kaleczył słowa twardą, słowiańską wymową. Można było wyczytać ze spojrzenia, że czuje się nieswojo.

Starł się jednak zachować poważną twarz w obliczu starszego towarzysza. Zwłaszcza że bądź co bądź był zwierzchnikiem bydgoskiego burgrabiego, któremu towarzyszył. Raz po raz odrzucał opadające na twarz płowe włosy i szarpał gustownie przycięte wąsy. Mimo wysiłku nie potrafił ukryć wzburzenia, które targало nim od dwóch już dni. Najgorsze zaś było, że z nikim nie mógł się troskami podzielić. Pan Andrzej Kościelecki czuł się samotny jak nigdy dotąd.

W dodatku na nerwy działały Kościeleckiemu zwisające nisko do ziemi koronkowe rękawy szaty czy raczej jej fałdy, ciągnące się po bokach. Drogie perfumy nie potrafiły skryć zapachu potu,

wydzielanego przez ciało zdenerwowanego mężczyzny. Miał wrażenie, że trzydniowy zarost wchodzi mu pod skórę. Jego długie, pokryte żyłkami dłonie drżały, co próbował ukryć, łapiąc się za zwisający z biodra pas ze srebrnych płytek czy pochwę przytroczonego do pasa miecza.

Przyczyną zdenerwowania była kłótnia, którą odbył ze swoją kochanką. Na domiar złego dziewczyna nie dawała od tej pory, to jest od dwóch już dni, żadnego znaku życia.

Nie sądził, że tak łatwo da sobie zajść za skórę. A jednak... Mimo toczonej rozmowy myśli Kościeleckiego cały czas pomykały do młodej, rudowłosej mieszczki. Od niechcenia tylko odpowiadał burgrabiemu.

Co się z nią dzieje? – zapytywał sam siebie Andrzej. Może po prostu znudziła się kochankiem i poszukała sobie kolejnej zdobyczy.

Mężczyźni podeszli do stołu, burgrabia nalał do kubków gorzałki. Przepłukanie gardła dodało animuszu staroście.

– A to co takiego? – Spojrzał na podwieszane pod sufitem koło.

– Wzorowałem się na tym, co zobaczyłem onegdaj w Toruniu – odparł drugi mężczyzna. – To narzędzie tortur jest zmyślną produkcją własnej roboty.

– Jak działa? – zapytał starosta.

– Nagą czarownicę stawia się na klocek, a nogi mocuje się powrozem. Bardzo mocno związując. Na plecy wkłada się szpagę.

– Szpagę?

– Takie grabie z żelaznymi zębami. Mają w ciało na plecach wchodzić i krwawienie powodować. Wiąże się nieszczęśnicę pasami, na krzyż, o tu, na piersiach, a końce wiąże się z powrozami zwisającymi z koła. Sędzia zadaje pytania, a jak kobieta nie chce odpowiadać, to wiadomo... Każe się parobkom, siedzącym na górze, żeby ciągnęli koło. Powrozy obwijają się wkoło walca, pociągając za postronki u rąk. Kości w ramionach trzeszczą i...

Starosta wznosił rękę na znak, że nie zamierza słuchać dalej.

– Myślałem, że to tylko wstępne przesłuchanie – zauważył.

– Bo tak jest. – Burgrabia wzruszył ramionami. – Zresztą kat dopiero nazajutrz z Torunia zjedzie. Ale do tortur na pewno dojdzie, jak zawsze przy tego typu procesie. Więc kazałem zmontować całe to ustrojstwo.

– Nie mogli sprawy zostawić sądowi ławników? – Starosta skrzywił się, przechodząc na polski. – Zostawiać ją burgrabiemu jest moim zdaniem trochę nie na miejscu. Nie uważasz?

Służba właśnie wyszła i mogli rozmawiać swobodnie. Andrzej nie przepadał za łaciną i kiepsko się nią posługiwał.

– Widać nie mogli inaczej, panie. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Mnie też odciągnięto od ważnych spraw, Andrzeju.

Kościelecki spojrział ostro w oczy kompana.

– Co to miało znaczyć? – spytał. – Czy mnie aby uszy nie mylą? Usłyszałem przytyk?

– A co ja takiego powiedziałem? – wybąkał niebieskooki. Poczł, że głos grzęźnie mu w gardle. Kazał obserwować pana Andrzeja swoim najlepszym ludzom i to bardzo dyskretnie. Czy możliwe, aby starosta coś podejrzewał?

– Nic już – odparł Kościelecki. – Zupełnie nic, panie Bartłomieju Neciszewski. Zabrzmiało to po prostu, jakbyś doskonale wiedział, co i kiedy robię. Ale może to ja przesadzam. Zmęczony jestem. Potwornie zmęczony... Słabo ostatnio sypiam.

Neciszewski złapał starostę za rękę. Kościelecki aż zadrżał na tę niespodziewaną poufałość.

– Jesteś ostatnio nieswój, Andrzeju. Może się przepracowujesz? – zapytał Bartłomiej.

– To nie to – odrzekł starosta.

– A co? Znikasz na całe dnie. Ludzie zaczynają gadać.

Kościelecki wyrwał się z uścisku.

– Niech gadają – mruknął. – Co i z kim robię, to moja sprawa.

Burgrabia posłał w jego stronę nieprzyjemnie śliski uśmiech.

– Oczywiście, panie – odparł, zderzając się spojrzeniem ze starostą. – Ale to, co robisz, nie służy najlepiej rodzinie Kościeleckich.

Andrzej nie mógł uwierzyć w bezczelność mężczyzny.

– Choć to oczywiście nie moja sprawa – wycofał się Neciszewski. Starosta skwitował jego słowa szybkim skinieniem.

– Ludzie zbyt często zajmują się nie swoimi sprawami – oznajmił. – Weźmy ten proces. Nie podoba mi się to, co ma miejsce. *Maleficia*? Tutaj? Na Kujawach?

Z tymi słowami powiódł spojrzeniem po pławiącej się w blasku świec sali.

Bartłomiej wzruszył ramionami.

– Nic nie możemy poradzić. Tę kobietę oskarżono o *species venefica*, a to poważny zarzut.

– Oskarżający nie wystąpi publicznie, żeby powtórzyć zarzut – zauważył starosta. – Ten proces to zwykła farsa.

– A jakie to ma znaczenie? Prawo takich chroni. A co ja mogę uczynić? Jako burgrabia bydgoski muszę przeprowadzić proces, nawet jeśli uważam, że, tak jak mówisz, jest to zwykła farsa.

Nalał staroście do kubka, po czym obaj zgodnie wychylili gorzałki.

– Kim ona właściwie jest? – spytał, wycierając usta Kościelecki.



– Mieszczanką z dobrej bydgoskiej rodziny. Dobrze wydana za męża, za jednego z cechowych rzemieślników. Małżeństwo było bezdzietne – odrzekł, przełykając ostry napój, Bartłomiej.

– Było?

– Było. Przypuszcza się, że oskarżona otruła męża tojadem. Wszystko mam na akcie oskarżenia.

Kościelecki drgnął.

– A rodzice oskarżonej? Czekają przed ratuszem?

– Cała rodzina czeka, ale w ciemnicy. Na swoją kolej.

– Też są oskarżeni?

Burgrabia pokiwał niechętnie głową. Odwrócił twarz, a potem podszedł do drzwi. Wylał na wymoszczoną sianem podłogę resztę tego, co zostało w jego kubku.

– Przeprowadzić czarownicę – nakazał nieznoszącym sprzeciwu głosem. Oczy mężczyzny iskrzyły się po wypitym alkoholu. – I dajcie mi no jakąś wierzchnią szatę, nie jestem odpowiednio ubrany.

Po dwóch pacierzach przed oblicze sędziego sprowadzono kobietę. Wiodło ją dwóch mężczyzn w kolczugach i kapalinach, ze strzałą starosty przecinającą krwistą czerwień tunik. W międzyczasie Bartłomiej przywdział długi jaquet o rozciętych rękawach. Wpuszczono też do sali zgromadzonych wkoło ratusza i na ulicy bydgoskich mieszczan.

Nikt nie zwrócił uwagi na przerażenie, jakie pojawiło się na twarzy pana Andrzeja, gdy ujrzał wprowadzoną, szamoczącą się kobietę. Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to jej włosy. Rude kędziory zdobiły głowę niewiasty, przyodzianą w rozchełstaną na pełnych piersiach koszulę. Rozwichrzone kłaki były tak gęste, że, zmierzwiłone, zakrywały całą twarz.

Przyciskany do kruchego ciała materiał giezła był splamiony krwią. Brunatne plamy wyglądały niczym wielkie, orientalne kwiaty. Kobieta przez chwilę zmagiała się z blaskiem rażącym jej przywykłe do ciemności oczy. Chorobliwy blask bił z zielonych źrenic. Białą niczym lód skórę pokrywały rozgałęzienia świeżych ran.

Kobieta szarpała się. Nieciszewski rozkazał strażnikom ją wypuścić. Uwolniona, dała kilka niezdecydowanych kroków do przodu, po czym stanęła. Zachwiała się. Dłońmi obmacała powietrze. W tej samej chwili spostrzegła Andrzeja. Na początku posłała mu nic nierozumiejące spojrzenie i nieme pytanie wykrzywionych warg. Potem zerknęła bardziej ufnie w oczy mężczyzny. Napotkała kamienny wzrok.

W jej oczach stanęły łzy. Na szczęście dla starosty twarz kobiety zakrywały rozczochrane włosy.

Usiłowała coś powiedzieć. Wygrały jednak przerażenie i zmęczenie, dygotała na całym ciele, zęby jej dzwoniły

– Czy wiesz, czemu tu jesteś, Katarzyno Kucharczykowa? – zapytał, unikając wzroku starosty,

Bartłomiej. Okrążył stół i zbliżył się do krzesła. Zakreślił dłońmi łuk na powierzchni blatu, po czym opadł na siedzenie. Palce wplótł w kółka wielkiego, złotego łańcucha, zdobiącego szyję. Oparł plecy na oparciu niewygodnego, przypominającego kształtem kielich krzesła. Nieciszewski nie mógł się powstrzymać, rzucił okiem w stronę Andrzeja, by sprawdzić jego reakcję. Młody mężczyzna wyglądał przez moment niczym zgarbiony, brzydki muł.

Burgrabia rozejrzał się po sali. Wszystko idzie zgodnie z planem – pomyślał. Sprawa zaczyna żyć własnym życiem. Prostaczkowie nie lubią czarów. Już teraz szepczą, coraz bardziej wściekli na tę biedną, Bogu winną kobietę, za sam fakt jej istnienia.

Burgrabia poczuł nagłą niechęć do sytuacji, w której się znalazł. I złość. Co właściwie wyobrażał sobie brat Andrzeja, Mikołaj, i jego siostra Barbara, kiedy rozkazali Nieciszewskiemu najpierw śledzić starostę, a następnie, gdy już odkrył, co było do odkrycia, zlecili mu wymyślenie całej tej, pożałuj Boże, intrygi?

Zatopił wzrok w barwnej kotarze.

Materiał dzielił ukryte za zasłoną okno na dwie części. Widniały na nim powiązane w supły herby miasta Królewiec oraz wyszyte złotą nicią łacińskie słowa, będące według miejscowej legendy powtórzeniem zdania wypowiedzianego przez Kazimierza Wielkiego, gdy nadawał miastu magdeburskie prawo. Materiał był stary i podarty. Prawdę mówiąc, nie wyglądał godnie. Mimo to, wzór na nim w jakiś niepojęty sposób fascynował burgrabiego.

Zmieszał się, gdy zrozumiał, że spostrzeżono jego zadumę. Wszyscy umilkli, spoglądając na niego.

Cisza pękła prawie natychmiast. Wkoło zawrzało. Tłum, który zebrał się w ratuszu, wykrzykiwał niezrozumiale. Były tam kobiety bawiące dzieci na rękach, mężczyźni w sile wieku i starcy, ledwo utrzymujący się na gruzłowatych nogach. Pomiedzy nimi stali przyodziani w czerwień Kościeleckich zbrojni. Bartłomiej prychnął pod nosem. Czarownice zawsze przyciągają zainteresowanie.

Dłoń burgrabiego wzniosła się w geście uciszenia.

Co ty wyprawiasz?! – zaklął w myślach. Jeden niepotrzebny ruch, głupie słowo, a wmiesza się Andrzej. I wtedy... Cały misterny plan obróci się przeciw Nieciszewskiemu.

Żołnierze wykręcili ramiona oskarżonej. Jeden z mężczyzn szarpnął kobietę za włosy, zmuszając ją, by spojrzała w kierunku sędziego. Burgrabia dostrzegł grymas złości przebiegający przez oblicze Kościeleckiego. Starosta stał jak wrośnięty w ziemię. Zgodnie z planem. Nawet w chwili, gdy strażnik zmiażdżył twarz niewiasty pięścią, obleczoną wysadzaną ćwiekami rękawicą, Andrzej nie zareagował.

Burgrabia spokojnie wyciągnął dłoń i pstryknął palcami. Pisarz sądowy oderwał się od spisywanego protokołu, prawie przewróciwszy kałamarz. Przeszukiwał pośpiesznie papiery zgromadzone przed nim, po czym wręczył Nieciszewskiemu akt oskarżenia, przygotowany dwa dni wcześniej.

– Jesteś wdową, prawda? – zapytał kobietę burgrabia, choć dobrze znał odpowiedź. Nic dziwnego,

że nie czekał na jej słowa. Wbił spojrzenie w dokument.

– Otrułaś własnego męża – oznajmił z niezachwianą pewnością. Niewiasta spojrzała w twarz Bartłomieja z ogniem w oczach.

– No, co tak patrzysz? – spytał burgrabia. – Został otruty. Widocznie biedak odkrył, czym para się jego małżonka. Musiał więc umrzeć.

Zerknął raz jeszcze, przelotnie, na akt oskarżenia.

– Wszystko tu jest, moje dziecko. Pod progiem, gdzie są chlewy, widziano cię, jak kopałaś rów, żeby założyć w nim czary – oznajmił łagodnie, rozpierając się na krześle. – I na trzeci dzień pomarło całe bydło. Widziano, jak odgrazałaś się na rynku mieszczce Jadwidze, żonie Szymona, a ona na trzecią noc doznała ataku apopleksji i do dziś dzień nie powróciła do zmysłów.

Nie musiał czytać. Sam sporządzał dokument. Słowo po słowie, kłamstwo po kłamstwie.

Kobieta spojrzała wprost na Bartłomieja. Z jej spojrzenia nie można było nic odczytać. A może jednak coś... Śmiertelną, zimną nienawiść.

Nieciszewski odchrząknął.

– Znalezione też ugode, zawartą między tobą a diabłem, przez diabła opieczętowaną. Pisarzu Mikołaju, proszę o dowód.

Skryba kiwnął głową i podał rzeczony „dokument”. Miał on postać pożółkłego zwitka papieru, złożonego na trzy części. W rzeczywistości był luźnym fragmentem rachunku dotyczącego wydatków bydgoskiej kasztelanii i z diabłem nie miał nic wspólnego. Nie było jednak czasu na skrupulatne fałszerstwa.

– Występek czarostwa jest większy niż mężobójstwo, cudzołóstwo i złodziejstwo. – Sędzia wypowiedział te słowa z osobliwym namaszczeniem opuszczając powieki. Nie omieszkał spojrzeć na starostę, który pobladł jak ściana. – Czarownica bowiem odstępuje od Boga, diabłu się kłania, swą duszę i ciało na wiekuiste potępienie diabłu odsprzedając. Dlatego oskarżanie o podobne czyny powinno być w dwójnasób ostrożne. Wielki grzech popełnia ten, kto oskarża z czystej zawiści, lub zazdrości.

Katarzyna potrząsnęła głową, nie odrywała wzroku od starosty. On również na nią patrzył, lecz w spojrzeniu tym nie było ani odrobiny litości.

Wzrok Andrzeja może oznaczać tylko jedno – pomyślała ze zgrozą. – Już podjął decyzję, że nie będzie się mieszał. Choćby ją mieli spalić.

Bartłomiej dał znak dwóm aktorkom, aby rozpoczęły swoje przedstawienie. Przebrane za bydgoskie mieszczki, zmierzyły sędziego spojrzeniem od stóp do głowy. Następnie wystąpiły z tłumu, z rękami zaplecionymi na piersiach. Obie spoglądały surowo spod ściągniętych brwi, przez co stosunkowo ładne buzie stały się nagle szpetne. Przymaszerowały przez salę, prowadzone zdziwionymi spojrzeniami

pozostałych mieszczan. Burgrabia zachichotał pod nosem. Byle nie przesadziły. Znalazł te dwie w wędrownej trupie inowrocławskich wagantów. Były wszechstronnie utalentowane. Posługiwały się na równi gestem, mimiką, tańcem, akrobatyką, jak i kuglarstwem. Potrafiły recytować, opowiadać i śpiewać. Nieciszewski zauważył kobiety podczas przedstawienia na rynku w Inowrocławiu. Starsza grała Maryję, młodsza Marię Magdalenę w którymś z przedstawień liturgii Wielkiego Tygodnia. Pan burgrabia uratował trupę przed rozwścieczonym tłumem. Podburzeni przez inowrocławskich franciszkanów mieszczanie, oburzeni, że w przedstawieniu grają kobiety, obrzucili wagantów wyzwiskami i obierkami. Prawie doszło do rękoczynów.

Nic dziwnego, że z tak wielką ochotą trupa przyjechała do Bydgoszczy. W końcu nie co dzień zdarza się możliwość odwiedzin u możnego protektora, a tym bardziej wspomóżenie go w potrzebie. No i nie bez wpływu pozostawał fakt, że to Bartłomiej opłacał kwatery.

Nieciszewski teraz już nie był pewien, czy jego pomysł był taki dobry, jak mu się na początku wydawał. Aktorki świetnie radziły sobie w roli biblijnych świętych. To już udowodniły. Ale tu nie chodziło o występ na miejskim rynku. Czy poradzą sobie w bardziej ziemskim dramacie?

– Widziałam tę kobietę, jak rozmawiała z psami – odezwała się starsza z kobiet, o trochę bardziej zniszczonej twarzy. – A one jej odpowiadały, obdarzone przez wiedźmę ludzką mową.

– Wykrzykiwała imię diabła – dodała młodsza. – Na własne uszy słyszałam.

– Tylko spokojnie. – Burgrabia wzniosł pojednawczo dłoń.

Rudowłosa rzuciła się do przodu z krzykiem. Zbrojni zareagowali natychmiast. Szarpnęli kobietę za ramiona i przycisnęli do klepiska. Kiedy wykręciła głowę do góry, ujrzała, że pan Bartłomiej wstaje od stołu. Zerknęła w stronę starosty. Mężczyzna mierzył ją obojętnie wzrokiem, stanąwszy w wielkopańskiej pozie, obrócony bokiem.

– Dość! – zawołał do strażników Bartłomiej. – Puśćcie natychmiast tą nieszczęsną kobietę.

– To była ona! – zawył nagle jakiś mieszczanin, wskazując Katarzynę. – Jak mi Bóg miły! To ona przyprawiła moim dzieciakom kołtuna!

– Ty mały śmierdzący pętaku, jak się nie myje głowy, to się robią kołtuny! – wysyczała, nie mogąc dłużej znieść kłamstw. Odrzuciła głowę w bok i spojrzała morderczym wzrokiem na mężczyznę. Bydgoszczanin zadrżał i cofnął się. Rzucił szukającym wsparcia spojrzeniem na zbrojnych, lecz ci stali niewzruszeni.

Choć Kucharczykowa obiecała sama sobie, że będzie milczeć, słowa same cisnęły się do ust.

– Wy małe, cuchnące gady – wykrzyknęła. – Niewarte nic prosiaki! Co ja wam zrobiłam?! No, powiedzcie, wy małe wypierdki!

Obrzuciła zaperzonym spojrzeniem zbrojnych. Widząc, że się cofnęli, rzuciła się ku drzwiom, ale strażnicy zastąpili kobiecie drogę. Odepchnięta z powrotem, zachwiała się, ale spojrzała wyzywająco

w twarz Kościeleckiego.

– A ty?! Co tak stoisz, jak ta łajza?! Dlaczego nic nie zrobisz?!

Głos Andrzeja był zimny jak lód.

– Nie wiem o czym mówisz, kobieto. A jeśli dłużej będziesz się do mnie zwracać tym tonem, pożałujesz.

– Jak to nie wiesz?! Aaaa, rozumiem, teraz nic nie wiesz! – parsknęła wulgarnie. – A jak rozkładałam przed tobą przez cztery miesiące nogi, to wiedziałeś! A ty?!

Zerknęła na Nieciszewskiego.

– Jak przyszłam z podejrzeniem, że ktoś do strawy mojego męża, świętej pamięci – to mówiąc, uczyniła znak krzyża, na co cała sala aż westchnęła – dodał tojadu, palcem nawet nie kiwnąłeś!

– To nie należało do mnie. – Głos burgrabiego przeszedł nagle w krzyk. – Trzeba było z tym iść do rady miejskiej. Nie do mnie.

– A myślisz, że nie byłam?! – warknęła. – Kazali mi iść do ciebie!

– Myślę, że sama go otrułaś – mruknął Bartłomiej. – To właśnie myślę.

– Dość tego, przyjaciele! – wykrzyknął ktoś z tłumu. Ludzie rozstąpili się na boki. Pan Andrzej podziękował w duchu za to zrządzenie losu. Z tłumu wyszedł odziany w biały habit siwowłosa mężczyzna. W dłoniach trzymał czarny szkaplerz.

– Dość tych bluźnierstw – dodał, przeżegnawszy się. Mnich był siwy jak gołębek. Palce przełożył przez płócienny pas przepasujący szatę. Jego ostro wykrojone policzki pokrywał liszaj, a agrestowe oczy sprawiały wrażenie mętnych, jakby mężczyzna był zamroczony.

Burgrabia posłał mnichowi miękki uśmiech.

– Kim jesteś, dobry człowieku? – ściągnął brwi. – I dlaczego nam przeszkadzasz? Nie widzisz, że to świecki sąd?

– Zwą mnie brat Marcin, mości burgrabio. – Zakonnik skłonił lekko głowę, ukazując krążek wyciętej na czubku głowy tonsury. – Przybywam z domu zakonnego braci cystersów w Koronowie. I tak się składa, że posiadam dowody świadczące niezbitnie o winie tej kobiety. Dlatego zabrałem głos. Bojaźnią bożą powodowany.

– To na co czekasz? – rzucił ktoś z tłumu.

– Na to, aby wszyscy wyszli – odparł spod opuszczonych powiek. – To, co mam do powiedzenia, jest skierowane jedynie do uszu pana starosty i burgrabiego Nieciszewskiego.

– Co masz do powiedzenia, powiedz tu i teraz – rzucił Nieciszewski. – Przy wszystkich. To publiczna rozprawa.

Zakonnik przez moment się namyślał.

- Nie wiem, czy mogę.
- To twój obowiązek – napomniął mnicha starosta.
- Dobrze zatem. Dalibóg nie stanie się z tego żadna krzywda.
- To już nie twoje zmartwienie.

Cysters pokiwał głową, czując, że ciężar spada z jego sumienia.

– Czarownice z dawien dawna na swoje miejsce wybrały Grabin. To blisko Byszewa, gdzie dawniej swą siedzibę miał mój konwent. Kiedy w dolinę Brdy przybyliśmy, zakładając nowe miasto, Koronowo, nasz opat powziął decyzję o przepędzeniu wiedźm. Tak też się stało. Czarownice uciekły. Lecz wiem z wiarygodnych źródeł, gdzie znalazły przyczółek. Długo błądziły, a w końcu zjechały na miotłach do Bydgoszczy.

– I ty temu dajesz wiarę? – Kościelecki nie wierzył własnym uszom.

– Czy wierzę? Bardziej niż wierzę – duchowny mówił coraz szybciej. Jego słowa pełne były skrytej zawiści. – Zapytaj, panie, miejscowych bernardynów. To oni mi powiedzieli o dzisiejszym sądzie. Oni też wiedzą, gdzie czarownice od lat mają swój przyczółek. To miejsce w bydgoskich Karpatach, zaraz przy drodze kujawskiej. Od lat jędze różne czary odprawiają pod nosem kolejnych kasztelanów. A to pomór na miasto sprowadzają, to choroby na bydło rzucają, to znów pożary powodują. Bywało, powiadali mi bracia bernardyni, że kominy zatykały, a wodę czerpaną do piwa wyrobu psuły. Masz li tu, panie, czarownic dostatek. A jedną dziś sądowi poddawaną widzę.

Katarzyna spiorunowała cystersa spojrzeniem. Jej dłonie zacisnęły się w pięści.

– To w guście bernardynów. – Burgrabia pokręcił głową. Na ustach mężczyzny widniał kwaśny uśmiech. – Jeno o piwie myślą.

– No dobrze – wtrącił starosta. – A jak to się ma do Kas...ekhm... Do oskarżonej?!

– Zapytaj lepiej panie, skąd jej rodzina pochodzi – odparł dziwnie łagodnym głosem zakonnik. – Bo jej nazwisko z niczego się nie wzięło. To nazwisko należało do jednej z czarownic wygnanych przez byszewskiego opata. A z tego, co mi bernardyni powiedzieli, rodzina Katarzyny Kucharczykowej wywodzi się właśnie z Byszewa. Zbieg okoliczności? Przypadek? Ja tam w takie przypadki nie wierzę. Kobieta, którą sądzą, nie jest stworzeniem bożym.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Andrzej. – Przecież burgrabia powiedział, że oskarżona była mężatką.

– Ale nie przyjęła nazwiska męża – odparł Bartłomiej.

– Bardzo niezależna. – Zakonnik uśmiechnął się przelotnie. – Jak wszystkie czarownice we wszystkim ma własne zdanie.

– Jeszcze nikt nie udowodnił jej winy – zaprotestował starosta.

– W rodzinie Kucharczyków czarostwo było przekazywane z pokolenia na pokolenie. – Cysters

potrząsał głową. – Od was, moi drodzy panowie sędziowie zależy, czy na pokoleniu Katarzyny ta obraza boska się skończy. Czy też może chcecie, aby szatan na dobre w Bydgoszczy się rozgościł. To wasz wybór, ale niech Bóg was broni, jeśli źle wybierze.

Usta starosty poruszyły się, jakby obdarzone własną wolą. Cichy głos, który z nich dobiegł, nie uszedł uwagi burgrabiego.

– Co mówisz, panie? – zapytał. Zauważył, że wyraz uprzejmości całkiem zniknął z twarzy starosty.

– Wszyscy wyjść – Kościelecki wysyczał przez zaciśnięte wargi. – Tylko zakonnik i burgrabia zostają. Wyprowadzić oskarżoną.

– Ale... – zaprotestował Bartłomiej.

– Bez dyskusji – powiedział mocniej Andrzej. – Mam z wami do pomówienia. Na osobności.

\*\*\*

– Co to za teatr mi tu odstawiacie?! – warknął starosta, gdy plecy ostatniego strażnika zniknęły za drzwiami.

– Nie bardzo rozumiem... – Burgrabia ściągnął brwi. Oparty w krzesło, zaciskał mocno pięści.

– Jak to co?! – Andrzej wskazał mnicha. Poznaczone brzydkimi krostami policzki cystersa spłonęły rumieńcem. – Myślisz, że nie pamiętam, gdzie twój braciszek mieszka? Myślisz, że uwierzę w ten zbieg okoliczności?! Grubymi nićmi szyta ta wasza historyjka!

– Bóg broń! Słyszałem o tej sprawie od Bernard... – usiłował obronić swoje stanowisko brat Marcin.

– Zawrzyj gębę, klecho – parsknął Kościelecki. – Brat naszego drogiego Bartłomieja, Mikołaj Niciszewski, jest zakonnikiem w Koronowie. Na pewno go znasz. Więc bądź łaskaw nie opowiadać mi tu bajek. Niciszewski!

Burgrabia na okrzyk starosty zerwał się z miejsca.

– Pojedziesz do Kruszwicy. Zabierzesz z sobą dziewczynę.

– Panie, ale...

– Jakie znowu „ale”?! Dobrze wiedziałeś, kim jest dla mnie Kasia. Skąd i po co, tego naprawdę nie wiem. Ale wiedziałeś. Tego jestem pewny. Dlatego bez dyskusji. W Kruszwicy rządzi Jan z Oporowa, to mój krewny i przyjaciel. Dziewczyna pójdzie do niego na służbę. A ty zadbasz, żeby niczego jej nie brakowało, jasne?!

Starosta zerknął na cystersa.

– Chcesz coś dodać?

Zakonnik złożył dłonie jak do modlitwy i z marsową miną spojrzał w podłogę.

– To dobrze. Włos ma jej z głowy nie spaść, burgrabio. Inaczej wrócimy do rozmowy, dlaczego do

procesu doszło. A i tak po powrocie zdasz mi dokładną relację z twojej rozmowy z moją matką.

Nieciszewski poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach. Głos całkiem uwiązł mu w gardle.

– Wiem, że maczała w tym palce – dodał Kościelecki. – Ta kobieta bez opamiętania wtyka nos w moje sprawy.

– Proces się już zaczął – zauważył suchym głosem burgrabia. – Będą plotki.

– Nic nie będzie. Ludziom się powie, że Katarzyna zmarła w ciemnicy. Uniknęła w ten sposób procesu, tortur i zapewne stosu. To się bardzo wszystkim spodoba. Powiedzą, że szatan czy inny diabeł zabrał ją ze sobą. A nasz brat Marcin zanieś tę wiadomość do Koronowa.

To mówiąc, stanął na wprost zakonnika i zmierzył go z góry na dół.

– Znam Koronowskiego opata Wiesława i obiecuję ci, że jeśli choć słowem piśniesz, coś tu usłyszał, tak ci życie umilę, że pożałujesz spotkania ze mną. No, coś taki markotny? Burgrabio, nalej no naszemu braciszкови gorzałki, bo widzę, że coś jest nieswój.

\*\*\*

Katarzyna ukryła drżące i lodowato zimne palce pod przeżartym przez myszy pledem. Jej ładne, choć wąskie usta wykrzywił brzydki grymas bólu. Nie, nie fizycznego, choć podczas aresztowania bito ją po twarzy i ramionach. Zacisnęła usta. Przez okno celi widziała korony drzew bujające się na nocnym wietrze niczym cienie pijanych ludzi.

Leżąc na niewygodnym barłogu, rozmyślała o przeszłości. A nader wszystko o mężczyźnie, który pozwolił jej zgnić w tym lochu...

Wszystko zaczęło się poprzedniego lata.

\*\*\*

– Gdzie mistrz Każko? – spytał, błędząc wzrokiem po obejściu, wysoki, szczupły mężczyzna. Wjechał na podwórze przez otwartą na oścież bramę. Tuż za bramą rozciągało się okazałe podwórze ze stajniami, warsztatem i studnią, przy której stała urodziwa mieszczka. Młody człowiek siedział na pięknej, karej klaczy. Sam rząd koński kosztował tyle, co niejeden wierzchowiec. Ubrany w czarną jopulę z kulistym wykończeniem rękawa, nogawice i wysokie buty, mężczyzna sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Posłał w stronę dziewczyny uśmiech, pokazując rząd białych równych zębów.

Stała pochylona przy studni, skąd jeszcze przed chwilą nabierała wody. Obwiązała wilgotny sznur dookoła kołka, blokując kołowrotek, i wyprostowała się, łapiąc pod boki.

Uwadze mężczyzny nie uszła zgrabna figura niewiasty, podkreślona przez obcisłą górę poszerzonej od bioder klinami spódnicy, z dużym, odsłaniającym ramiona i wydatne piersi łódkowym dekoltem



i długimi, zakrywającymi połowę dłoni, wąskimi rękawami.

Wpatrywała się w przybysza jak zaczarowana. Jej spojrzenie było jednocześnie zuchwałe i urocze. Wytarła brudne dłonie w wierzchnią suknię o stonowanej zielonej barwie i poprawiła wywinięty przy uszach kapturek. Zmierzchające słońce rzucało czerwony blask na bladą twarz kobiety. Największy skwar co prawda minął, ale powietrze wciąż było ciepłe, panowała duchota. Ponad dachami domów fruwały jaskółki, rzadziej nietoperze. Kobieta rozejrzała się niepewnie, jakby pierwszy raz oglądała dobrze znane jej miejsce. Podwórko było niemalże puste. Promienie słońca padały na wielkie dęby, pokryte przez bluszcz.

– A po cóż szanownemu panu potrzebny mistrz Każko? – odparła lekko zachrypniętym głosem.

Młody mężczyzna zeskoczył żwawo z klaczy i uśmiechnął się pod wąsem.

– Chciałem mu zlecić pracę. Bardzo intratne zlecenie. To panny ojciec?

– Mąż – odparła lodowatym głosem. – A cóż to za praca?

Przybysz spokojnie sięgnął po cebrzyk i odczepił go, ujmując w obie ręce. Woda chlusnęła na noski jego butów.

– Przy miejscowym kościele świętego Mikołaja. Mój ojciec ufundował tam kaplicę Przenajświętszej Paniency. Niestety, wymaga już renowacji. Są i inne prace wykończeniowe, do których potrzebowałbym zdolnego rzemieślnika.

– Na miły Bóg. – Oczy kobiety stały się okrągłe niczym monety. Mężczyzna z przyjemnością pomyślał, że niewiasta zaraz padnie na kolana. – Mości pan jest naszym nowym starostą!

– Spokojnie, moja droga. – To mówiąc, pan Andrzej rozejrzał się raz jeszcze po podwórzu. Zatrzymał spojrzenie na kobiecie. – No? To gdzie go znajdę?

– Pojechał do Fordonu. Wróci dopiero na świętych Apostołów.

Kościelecki zatrzymał wzrok na dziewczynie. Poczuł, jak tętno mu przyspiesza. Bez słowa podszedł do progu domu, a dokładnie jego wpółotwartych drzwi. Budynek był jednopiętrowy, kryty czerwonym dwuspadowym dachem i mało okazały. Poza czarno białym szachulcem nic nie ozdabiało fasady domu.

Niby to mimochodem, odstawiając drewniane wiadro, starosta pchnął wzmacniane żelaznymi sztabami wrota. Pochyliwszy głowę, zajrzał do środka, w sień. Przywitą go ciemność, zapach trocin, dymu z węgla drzewnego i ziół.

Kobieta spojrzała za Kościeleckim, odwracając się ze zdziwioną miną w kierunku drzwi domu.

– Macie służbę? – zapytał Andrzej.

– Nie potrzebujemy służby – odparła cicho, śmiejąc się do mężczyzny oczami.

Patrzyła na Kościeleckiego bez skrępowania, nawet z dziwnym wyzwaniem w zielonych oczach.

– Jak tu wielmożny pan trafił? – spytała.

– Klacz mnie przyniosła.

– Nie o to pytam. – Skrzywiła się.

– Chodzi ci, czemu tu kogoś nie posłałem?

– No właśnie.

– Cóż, jestem bezpośredni. Jak się dowiedziałem od ludzi, że w moim mieście mieszka taki mistrz, jak Każko, chciałem go poznać osobiście.

– Ludzie wiedzą najwyżej, w którą stronę iść, żeby się odlać. Nie słuchaj ich. Mój mąż jest zdolnym rzemieślnikiem. Ale żaden tam z niego artysta.

– Ciekawe masz maniery.

– Przynajmniej obcym ludziom się do chaty nie pcham – odparła zaczepnie.

Starosta zrozumiał, że dał się wystrychnąć na dudka. Stał milczący, nie bardzo wiedząc, jak się teraz zachować. W końcu kobieta nagrodziła jego milczenie wybuchem serdecznego śmiechu. Odchyliła przy tym głowę, uwalniając spod czepka pukiel miedzianozłotych loków.

– Co cię tak śmieszy? – Andrzej przestąpił z nogi na nogę.

– Ty, panie. – Położyła dłoń na biodrze, między czerwoną suknią spodnią a zieloną, wierzchnią. – O, gdybyś się mógł zobaczyć, jak oblewa cię rumieniec... Od razu widać, że nie wiesz, jak postępować z kobietami. Ale młody jeszcze jesteś. Nauczysz się.

– Ja się nauczę? – Uśmiechnął się zdawkowo. Poczul na sobie dziwny, pełen namysłu wzrok kobiety.

– Straszny upał... – rzuciła, zdejmując kapturek i wachlując się po twarzy. Westchnął na widok włosów kobiety. Były gęste i rude niczym płomień, zebrane z tyłu głowy zielonymi wstążkami. Poczul nagle ochotę, by zobaczyć je w pełnej krasie, uwolnione, rozsypane na jego dłoni. W słońcu przybierały ciemnozłoty odcień, mieniając się odblaskami promieni.

Przez chwilę przyglądała się mu z wyczekiwaniem w zmrużonych oczach.

– Po co naprawdę tu przyjechałeś? – zapytała.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Rozumiesz. – Kiwnęła głową. – Widziałam cię już. Na targu, w zeszłą sobotę. Przyglądałeś mi się. Pokręcił głową.

– To nieprawda.

– Czyżby? – Nie spuszczała z niego spojrzenia. Trwali chwilę w ciszy.

Nagle rudowłosa odwróciła się na pięcie i z gracją przekroczyła próg domu.

– Może w środku będzie lepiej? – rzuciła na odchodnym przez ramię, a potem znikła we wnętrzu sieni i stamtąd dodała: – Cień. I w ogóle chłodniej... Sam chciałeś zobaczyć naszą izbę. Chodź zatem,

wszystko ci pokażę.

Andrzej stał chwilę, namyślając się. Potem przekroczył próg. Pochylił głowę.

W sieni poczuł zawrót głowy. Przejął go osobliwy chłód. Po karku mężczyzny przebiegły nieprzyjemne mrówki. Prawie runął na masywną skrzynię i złapał ręką płaszczy zwisających z wieszaka. Usłyszał, jak szarpnięty materiał drze się po całej długości szwu. Wypuścił płaszcz. Poczuł pod palcami nierówną powierzchnię rzeźbionej deski. Jakoś złapał równowagę.

– Pani? – Rozejrzał się, ostrożnie wchodząc w izbę. Poczuł ukłucie podejrzenia. Wciągnął w nozdrza woń słomy wyściełającej klepisko. W kącie stało okazałe łóże, jeszcze jedna skrzynia, dalej wznosiły się wiodące na piętro schody. Zapewne mieścił się tam magazyn... Trzy pozasłaniane okiennicami, długie okna musiały wychodzić na ulicę Polską. Dawały w sumie niewiele światła. Między pierwszym a drugim stał sporych rozmiarów piec chlebowy z metalowymi drzwiczkami.

Za to dach był w jednym miejscu hojnie podziurawiony.

– Pani?! – powtórzył natarczywie. Mróz zaczął kłuć mężczyznę w policzki. Zobaczył parę wydobywającą się z jego ust. Wyciągnął rękę, dotykając omiecionego okruszkami stołu. Wrażenie chłodu w tej samej chwili ustąpiło.

Rozejrzał się. Nigdzie nie było dziewczyny. Izba sprawiała wrażenie większej, niż na to wskazywała wielkość budynku.

Sztylety słońca poruszyły się i zaczęły przemieszczać po pomieszczeniu. Gdzieś z końca mrocznej izby dobiegł uszu mężczyzny głęboki kobiecy śmiech.

– Gdzie jesteś?! Pokaż się! – Odskoczył od ściany i obszedł całe pomieszczenie. Wpadł w półmroku na jakiś stojący wolno zydel.

Dłoń mężczyzny spoczęła na przytroczonym do pasa sztylecte.

W tej samej chwili kobieta wyszła mu naprzeciw, z dłońmi splecionymi razem.

– Kim jesteś? – zapytał. Mówił powoli, jak w śnie. – Czarownicą? Zauroczyłaś mnie?

– Mam na imię Katarzyna.

– Nie o to mi chodzi.

– Nie jestem wrogiem, panie.

– A skąd to wiesz?

– Kobięca intuicja.

Zmrużyła oczy, pochylając głowę. Wiodła za nim wzrokiem, gdy podchodził do stołu i stanął jakby niezdecydowany. Ruszyła w jego stronę.

W tej samej chwili rzucił się w kierunku kobiety. Rozbłysł nóż. Ostrze znalazło się między nimi. Przytknął sztylet do brody rudowłosej, chwytając drugą ręką za szyję.

– Puść mnie... – warknęła. Jej dłoń prawie sięgnęła jego twarzy, ale złapał ją i przytrzymał.

– Bo co? – Zachichotał. – Patrzcie ją, jaka dzika kotka...

– Bo pożałujesz.

– Pożałuję. Jas... – Nie dokończył. Poczuł, że zabrakło mu powietrza. Osunął się, czując potworny ból w kroku.

– Ostrzegałam cię! – stanęła nad mężczyzną. Nagle ręka Kościeleckiego chwyciła Katarzynę za rąb spódnicy. Andrzej poderwał się w górę i całą masą swego ciała pchnął kobietę na ścianę.

– Wiedźma! – Docisnął jej nadgarstki do desek ściany. Patrzyła prosto w twarz gwałtownika, mrużąc nienawistnie oczy. Kościelecki zaśmiał się w odpowiedzi.

– Wyglądasz jak żmija – zauważył.

– Też piękny nie jesteś. – Uśmiechnęła się nieszczercze.

– Pytałem cię o coś, kwiatuszku.

– Odpowiem, jak mnie puścisz – odparła przez zaciśnięte zęby. – Puszczaj, ale już!

– Puszczę, jak odpowiesz – oznajmił spokojnie.

– Czujesz to? To moje kolano przy twoim kroczu. A teraz puszczaj.

Zabrał ręce i cofnął się o krok.

Przez chwilę tarła nadgarstki. Potem obróciła się, obserwując mężczyznę, który przechadzał się po izbie. Podszedł, powoli wymacując ostrzem drogę, w kierunku wielkiego chlebowego pieca. Rzucił okiem na zawieszony wkoło pieca zioła. Czarci pazur, dziurawiec, mniszek, szałwia, męczennica, naparstnica...

Powoli obchodził piec. Jego palce same natrafiły na wyźłobienia, pokrywające boczną ściankę.

– Nie podchodź. – Katarzyna zrobiła niepewny krok w stronę pieca. Lecz już było za późno.

– Co za ciekawy piec masz tutaj. – W głosie mężczyzny brzmiało rozbawienie. – Żywię nadzieję, że nie używasz go też do pieczenia chleba? To bardzo osłabia efekt czarów.

Katarzyna stała jak wryta. Starosta wyszedł zza pieca, trzymając w ręku jedną z trzech nóżek niewielkiego, za to całkiem osmolonego kociołka. Przyglądał się uważnie naczyniu, po chwili przeniósł wzrok na dziewczynę.

– Symbole żywiołów i pentakl na ścianie pieca trochę niedbale wyrysowane, ale rozumiem, że nie miałaś lepszych narzędzi.

– Musisz być tak cholernie z siebie zadowolony? – wymruczała, krzywiąc blade wargi w sarkastycznym uśmiešku.

– Zawsze.

– Jesteś czarownikiem?

– Ja? Tylko trochę. Ale ty za to jesteś pełną gębą wiedźmą. Za taki ołtarz poszłabyś na stos. I te wszystkie ustrojstwa... Dzwonek, kielich do wina, rytualne noże...

Gwizdnął przeciągle.

– Chyba tylko raz w życiu widziałem lepiej wyposażoną pracownię – oznajmił. – Twoja jest oczywiście stworzona w, że tak powiem, domowych warunkach. Każko wie, kogo pojął za żonę, czy też żyje w błogiej nieświadomości?

Zmieszała się, odwracając twarz.

– Czyli nie wie – ocenił.

– Czego chcesz?

– A ty? Chcesz, abym komuś rozgadał, co tutaj trzymasz? – zapytał.

– A gadaj sobie, komu chcesz. Rano i tak mnie już tu nie będzie. Poczekam jeno, aż przestanie padać.

– Padać? Przecie nie pada.

– Zobaczysz, że będzie – oznajmiła. Podeszła do stołu. Cały czas śledzili się kątem oka. Oboje.

– Gdzie widziałeś tę pracownię? – zapytała.

– W Kruszwicy. Siedzi tam jeden alchemik. Czech.

– Aha. – Uchyliła okiennicę. Za przedzielonym przez łączone ołowiem gomółki żebrowanym oknem już zbierały się chmury. Ostatnie, czerwone promienie słońca iskrzyły się na dachówkach okolicznych domów, lecz nad nimi kłębiły się coraz ciaśniej pomalowane ciemnością chmury. Miasto zdało się płonąć. Lecz nie minęła krótka chwila, a cienie pochłonęły całą Bydgoszcz. Powiał chłodny, orzeźwiający wiatr.

– Faktycznie. – Pokręcił głową, siadając po drugiej stronie stołu i pochylając się do okna. – Będzie padać. Skąd wiedziałas?

– Jestem czarownicą.

Zmierzył Katarzynę wzrokiem.

– Masz tu jakie wino? – zapytał.

– Jedynie mszalne.

Z dworu dobiegł ich głos strażnika miejskiego, nawołującego, żeby gasić światła. Po chwili ujrzeli blask pochodni, przesączaający się z ulicy przez szparę między skrzydłami okiennicy.

Kościelecki obserwował kobietę. Siedział ponury, z ręką opartą na kolanie.

– Dobrzy gospodarze! Gaście światła! – rozbrzmiewało.

Po niecałym pacierzu lunęło. Okna rozświetlały co i rusz przecinające niebo błyskawice. Dach szybko zaczął przeciekać. Kościelecki ustawił w środku izby miednicę. Zrobiło się całkiem ciemno.

Katarzyna zapaliła kawałek świeczki. Niewiele dawała światła, ale zawsze coś.

– Czego tu jeszcze chcesz? – zapytała znieczeka, przerywając ciężką ciszę Katarzyna.

– Czekam na wino. I twojego męża. Pogadamy sobie z Każkiem jak para starych druhów. Na twoim miejscu zachowałbym się w tym czasie jak należy. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

– Wino znajdziesz w spiżarce – mruknęła Katarzyna. – A zachowywać się będę wedle własnego uznania. Nie obchodziłoby mnie, gdybyś był samym papieżem.

Usiadła w kącie izby. Stało tam wielkie łóżko z drewnianą ramą, obudowaną z obu stron przez skrzynię. Łóżko przykrywały pledy i łaciate skóry.

Rudowłosa ściągnęła przez głowę wierzchnią spódnicę i rozsypała wstążka za wstążką włosy. Cały czas mierzyła gościa nieodgadnionym spojrzeniem zmrużonych oczu.

Andrzej wstał i przemierzył izbę. Jego kroki współbrzmiły w półmroku z szumem stukającego w okna deszczu. Wrócił z dzbankiem. Postawił go na stole z takim impetem, że Katarzyna aż podskoczyła.

– Chcesz? – zapytał, wznosząc naczynie.

– Natrętny jesteś – odpowiedział zaspany, zniecierpliwiony głos.

Leżała już pod skórą. Pokręciła głową, aż wkoło jej głowy zawirowały złote pukle. Były jeszcze piękniejsze, niż sobie wyobrażał. Ich miedziana barwa podkreślała bladą, nakrapianą piegami skórę dziewczyny. Położyła się. Chwilę zwlekał. W końcu podszedł, stając u wezgłowia.

– Nawet o tym nie myśl – usłyszał pomruk kobiecego głosu.

– Chciałem cię tylko spytać.

– Słucham – odpowiedział zaspany, niecierpliwym głosem.

– Masz jakieś jadlo? – zapytał, choć wcale nie był głodny.

Usiadła i ziewnęła, przykrywając derką. W ciemności jej oczy świeciły się jak u kota.

– W spiżarce nie znalazłeś? – rzuciła opryskliwie. – Powinny być jabłka, solona wieprzowina, kapusta kiszona i bochen chleba. Zjedz wszystko. Chudy jesteś.

Przysiadł przy stole i wyciągnął nogi. Kasia znowu się położyła.

– Naprawdę uciekniesz? – zapytał, gdy cisza zaczęła się wydłużać.

– Mhmmm... – odparła, odwracając plecami. – Wcześniej rano.

– Każkowi nic nie powiesz?

Zerwała się, tym razem nie dbając o przykrycie piersi. Blade krągłizny sutków wyzierały spod futra i były jak zarzuconej koszuliny z rozsznurowanym stanem.

– Ale ty głupi jesteś – oznajmiła. – Dziewczyna cię zaprasza, przy tobie się rozbiera i do wykładzie. A ty jak ten idiota siadasz w kącie. Chodźże tu w końcu... Tylko zzuć buty.

Zrobiła mu miejsce i poklepała powierzchnię łóżka.

– Nie znam się na kobietach – odparł bez cienia uśmiechu, ale już zerwał się na równe nogi.

– Za to ja znam się na was. Wszyscy jesteście tacy sami.

– Duże masz doświadczenie?

– Zimno mi się robi... – Jej słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie.

– Nie powinienem ci ufać – wstał, odpinając pas. – Jesteś czarownicą.

– Mam także inne talenty. – Odchyliła całkiem nakrycie, rozkładając białe uda. Podciągnęła skraj koszuli i posłała mężczyźnie lubieżny uśmiech. Miała mocne i długie nogi oraz bardzo kształtne stopy.

Przełknął ślinę. A potem przysiadł na skraju łóżka.

– Na początku mnie nie chciałaś – zauważył.

– A ty długo jeszcze? – zapytała. Zobaczył w jej oczach głód rozkoszy. – Teraz cię chcę.

– Bo jestem czarownikiem?

Podniosła głowę, opierając ją na łokciu, i przyjrzała się mu z uśmiechem. Miał piękne oczy i mocno zarysowaną zuchwę.

Ogarek prawie dopalił się do cna. Spojrzała w kierunku stołu. Przeciągnęła się prowokująco.

– Bo mam ochotę – rozległ się jej senny, przejmująco erotyczny głos. – Ty także.

– Wcale nie.

Posłała mężczyźnie wymowny uśmiech.

– To czemu patrzysz mi się na cycki?

– Bo zasłaniają wszystko inne.

Zmrużyła zjadliwie oczy.

Nie wiedział nawet, kiedy zaczęli się całować. Całowali się do upadłego. Nawet nie wiedział, kiedy zaczęli się kochać. Izbę wypełniły urywane oddechy, głębokie pomruki i okrzyki rozkoszy dwójki kochanków. Pożądanie ogarnęło ich bez reszty. Katarzyna, przeżywając swą rozkosz, wyglądała jak święta ogarnięta ekstazą.

\*\*\*

– Dokądś się wybierasz? – Andrzej podniósł głowę. Było już rano. Na dworze śpiewały ptaki. Cykały świerszcze. Katarzyna stała na progu, odwrócona plecami. Musiała walczyć ze sobą, zanim się odwróciła. Ujrzał, odmieniający wyraz twarzy kobiety, skrępowany uśmiech.

– Nie chciałam cię budzić.

– Chciałaś uciec. – Wstał. Bez słowa wyszli na zewnątrz. Tam czekał na kobietę bułany koń. Nie tak piękny, jak kara klacz starosty. Przełożyła mu przez boki juki.

Kościelecki rozejrzał się. Stał w samych portkach, szukając wzrokiem czarnej klaczy. Nawet nie pamiętał, czy ją do czegoś przywiązał.

W jego ospałość poranną wdarł się głos kobiety.

– Dobrze nam w nocy było – oznajmiła. – I podobasz mi się. Jesteś pięknym mężczyzną. Może w innym czasie i miejscu. Ale to była tylko jedna noc, noc zapomnienia. Nic więcej, bo na więcej nie możemy sobie pozwolić. Ja mam męża, ty wysoki urząd. Nie możesz się związać z kimś takim jak ja. Dlatego wyjeżdżam.

– Możemy się spotykać. Mogę cię przyjąć na służbę, do zamku.

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Nic mi po tobie nie będzie.

– Mogę cię wydać. – To miał być tylko żart. Lecz w tej samej chwili zobaczył jej palące spojrzenie.

Wzięła jego słowa serio.

– Wynoś się, starosto – oznajmiła.

– Nie. Nie odejdę.

Odrzuciła włosy i przyjrzała się Andrzejowi.

– Dlaczego?

– Dziś rano się obudziłem i czułem się inaczej. Nie wyjeżdżaj. Potrzebuję cię.

– To są słowa mężczyzny, który nie potrafi kochać.

– Spójrz mi w oczy – zażądał. – Wiesz, że to nieprawda.

– No dobrze, zostanę – odparła. – Ale z nami koniec. Wynoś się stąd, starosto.

Po chwili namysłu pokiwał głową.

\*\*\*

Ołowiane drzwi otworzyły się z głośnym łoskotem. Do środka wlało się światło i namalowany nim cień ogromnego mężczyzny. Ujrzała błyszczące chucią, a może jedynie odbiciem płomienia kapiącej ogniem pochodni, wyłupiaste oczy. Pomiedzy oczami ogromny, połamany wiele razy nos chwycił w nozdrza piwniczny smród celi. Kwadratową szczękę strażnika pokrywał wielodniowy zarost. Mężczyzna miał na głowie misiurkę, a na piersi mieniącą się białą strzałę w zwieńczeniu podkowy.

– Wstawaj, czarci pomioście – rzucił, wchodząc do środka. Za nim wmaszerowali inni. Ich twarze kryły się w cieniu padającym zza placów wielkiego draba. Poczują z daleka smród przetrawionego wina, wolała więc podnieść się, zanim wymierzą jej bata albo kopniak w brzuch.

\*\*\*

Kiedy prowadzili ją wąskim, ciemnym korytarzem, jedyne co widziała, to odbłask pochodni,



malujący ścianę sylwetkami demonów. Wkoło rozlegało się brzęczenie kolczych nogawic i szuranie skórzanych buciorów. Nagle przejście się skończyło i oczom dziewczyny ukazało się rozgwieżdżone, nocne niebo. Wiał chłodny wiatr, wzbudzając w ruch ścianę огоłoconego z liści żywopłotu. Krzewy roztopiała ciemność, urozmaicana blaskiem pojedynczej pochodzi.

Rozejrzała się. Na rozdeptanym podejściu roilo się od kałuż wypełnionych brudną, stojącą breją. Podlane wodą czapy zbitego śniegu leżały przyklejone do skrajów chat. Z dachów kapłała woda. Śnieg przyklejał się gdziegdzie do błota, niczym pasemka siwizny. Prędko jednak znikał. Czerwone w tym monochromatycznym świetle tuniki otaczających kobietę zbrojnych były jedynym kolorowym akcentem równoważącym szarości.

Na początku nie wierzyła własnym oczom. Poczwała szarpnięcie. Ściskające jej ramiona karwasze przepełniły ciało tępym bólem, wiedziała zatem, że nie śni. Usłyszała parskanie koni i zobaczyła drepającego w miejscu, łaciatego niczym krowa wierzchowca. Stał przy nim ubrany w czarny, zapinany na guziki kaptur człowiek. Ściszał w ukrytej w rękawicy dłoni wodze drugiego zwierzęcia. Nie widziała jego twarzy. W drugiej ręce dźwżył kubek. Dopił, co miał do picia, a resztę chlusnął w błoto. Oddał kubek jednemu ze zbrojnych i pozwolił przykryć swoje plecy czarnym płaszczem.

Oba konie były okulbaczone.

Przy łaciatym stanął parobek.

Przez chwilę milczała, nie odrywając wzroku od mężczyzny. Tak, jakby nie była do końca pewna, co powiedzieć.

– Co to ma znaczyć? – Obejrzała się, pozwalając jednak złożyć sobie na ramionach ciepły płaszcz z kapturem. Chwyłał opończę palcami i przygarnęła do siebie, zakrywając piersi.

– Nie ma czasu, pani – przemówił cicho mężczyzna w kapturze.

– Czy... Czy to... Czy to Andrzej cię przysłał?

– To ja im wydałem rozkaz – usłyszała. Mężczyzna wyciągnął obie dłonie do przodu. Splótł z sobą palce i przerzucając nogę nad zadem konia, wbił się w kulbakę.

Nieznacznym ruchem palców nakazał podciągnąć kobietę w górę. Rosły strażnik chwycił Katarzynę pod boki i unióś, umieszczając w siodle tak, aby nogi zwisały po jednej stronie. Przeniosła obojętny wzrok na zakapturzonego mężczyznę i przełożyła stopę przez koński kark. Spojrzała wyzywająco na żołnierza, lecz ten spuścił oczy.

Odziany w czarny płaszcz jeździec ruszył bez słowa wzdłuż żywopłotu. Instynkt podpowiedział Katarzynie, aby uczynić to samo.

– Załóżże na głowę kaptur – mruknął mężczyzna nieznoszącym sprzeciwu, nateżonym głosem.

Nie zauważyła nawet, kiedy podjechali do sklepionej wąskim tunelem bramy. Zatrzymali ich tam

strażnicy, lecz na krótki sygnał tajemniczego mężczyzny wszyscy odstąpili. Przejechali przez krótki tunel, wsłuchując się w łomot uderzających o bruk kopyt. Senne podgrodzie majaczyło we mgle, rozbrzmiewając krótkim, urywanym wyciem jakiegoś psa. Zaraz potem ruszyli kłusem w pola poprzecinane wstęgami dróg, wyglądających jak wielkie węże rzucone w czarną glebę. Wkrótce bruzdy pól zniknęły, zastąpione rzędem wyniosłych drzew, których białą korę przecinały brudne, czarne cętki. Tu zwolnili do stępu.

Katarzyna cały czas wodziła spojrzeniem wokół siebie. Rozglądała się nerwowo i czujnie. Niektóre drzewa rozdzielała zupełnie pusta przestrzeń. Gdzie indziej rosły tak blisko, że tworzyły spleciony mur. Owiewał ją zimny, świszczący wicher, a otaczała ciemność oblepiona przez rzadką mgłę.

Stęp poprzedzającego ją mężczyzny przeszedł w kłus. Ściana lasu czerniała tuż przed oczami jeźdźców. Przypominała mur rozgałęziony na szczycie. Wstęga piaszczystej drogi wiła się, wnikała w chromatyczną ciemność.

Przecięli skraj lasu w tej samej chwili, gdy migotliwy blask pochodni przeciął gościniec. Zalało ich okropne, trupie światło. Drzewa wykrzywiły się w nim, przemieniając w potworne sylwetki, korzenie upodobniły do gniazd ruchomych węży, a mrok całkiem ustąpił.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Katarzyna. Otoczyły ich głosy i mężczyźni w kaftanach. Mieli brudne twarze, skołtunione włosy na głowach. Rozmawiano po niemiecku, a ten język Katarzyna знаła bardzo słabo.

– Jesteś zmęczona i pewnie nie jadłaś dziś nic porządnego – odparł mężczyzna, zdzierając kaptur z głowy. – To nie był dobry pomysł pozostawać w mieście na noc. Ale tak samo głupie jest jeżdżenie po nocy lasem. Tu przenocujemy. Nie są to może warunki, do których przywykłaś, ale muszą ci na dziś wystarczyć.

Z tymi słowy przerzucił nogę przez kark konia. Obok przeszło kilku mężczyzn w zadymowych kapturach. Ktoś rozpałał ognisko. Kucharczykowa wciągnęła w nozdrza zapach pieczonego królika, zmieszany z wonią ziół i zapachem sosen.

– Kim jesteś? – zapytała, wbijając spojrzenie w plecy zgarbionego mężczyzny. Odwrócił się, dźwigając w obu rękach ciężką kulbakę.

– Ty!!! – rozpoznała burgrabiego.

– Ja – odparł bez cienia uśmiechu.

Zeskoczyła z siodła, ale zawahała się, czy podejść do mężczyzny, który jeszcze kilka pacierzy temu zamierzał ją wysłać na stos.

– Jak to możliwe? Przecież... Proces...

– Proces nie miał znaczenia. – Spojrzał na nią bez mrugnięcia. Cisnął siodło sobie pod nogi. – Żadnego znaczenia.

Uśmiechnął się zagadkowo.

– Nic do ciebie nie mam – rzekł z zaskakującą łagodnością. – Zwyczajny rodzinny zatarg. Gdyby to ode mnie zależało, mogłabyś dawać dupy samemu Jagiellonowi.

Przez chwilę mierzył kobietę.

– No, co milczysz? Dopięłaś swego. Jesteś wolna. I tylko czekać, aż twój kochaś cię odwiedzi tam, dokąd jedziemy.

– To znaczy? – zapytała. Wydawała się nie słyszeć słów Bartłomieja. – Zabierasz mnie pewnie do jakiegoś klasztoru, żebym złożyła śluby?

– Nie.

– To gdzie?

– Nie mogę na razie powiedzieć. Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza.

– Naprawdę wierzysz, że jestem wiedźmą?

– Nie – odparł z krzywym uśmiechem. – Ja w ogóle nie wierzę w czarownice. Moim zdaniem twój błąd polegał na tym, że włązałaś do nieodpowiedniego wyra. Znam trochę Andrzeja. Nie pomógłby ci w sprawie męża, nawet gdyby mógł. Okłamywałyby cię tylko bez opamiętania.

Katarzyna kręciła cały czas głową.

– Co więcej, na twoim miejscu porządnie bym się zastanowił nad tymi wszystkimi zbiegami okoliczności – dodał. – Czy są to naprawdę zbiegi okoliczności, czy, nie daj Bóg, czyjeś celowe działanie.

Sam nie wierzył w to, co mówi, ale musiał zdobyć zaufanie Katarzyny.

– Co masz na myśli? – Dziewczyna ściągnęła brwi.

– Pomyśl. Pierwej wpadasz w oko staroście, ale odrzucasz jego amory. Potem, wskutek śmierci małżonka idziesz do niego w łaskę. A co on ci oferuje? Żebyś rozkraczyła nogi. „Pokaż kuśkę, to zobaczymy, co się da zrobić”. Nie powiedział tak?

– Nie musiał – odparła zuchwałym głosem. Niemal wykrzyczała burgrabiemu w twarz.

– Oho! – odpowiedział. – A to dopiero!

Zsuł z rąk rękawicę, palec po palcu. Ściągnął drugą, po czym oddał je kłaniającemu się w pas parobkowi.

Rudowłosa spojrzała w bok. W jej oczach zalśniły łzy.

– Nie wierzę ci – wychrypięła. – Słyszysz?! Nie wierzę w ani jedno kłamliwe zdanie.

Zerknęła prosto w oczy burgrabiego. Wyglądał na zadowolonego.

Obróciła niemal mechanicznie głowę, wlepiając spojrzenie w ognisko.

– Ty chyba nie do końca pojęłaś, w jakiej się znalazłaś sytuacji, kochane dziecko – zauważył

Nieciszewski. – To, czy mi wierzysz, czy nie, nie ma tutaj znaczenia. W Bydgoszczy jesteś spalona. Dosłownie.

Poczuła, jak grunt umyka jej spod stóp. Zalewająca kobietę fala gorąca nie była jednak wynikiem szarpiącej nią wściekłości. O nie, Katarzyna wiedziała, co dzieje się z jej ciałem.

– No już, nie rycz. – Burgrabia wyciągnął ku niej ramiona. Przyciągnął kobietę ku sobie. Na ustach Bartłomieja pojawił się drwiący uśmiech.

– Zabieraj te łapy! – wykrzyknęła, zagryzając zęby. Odepchnęła mężczyznę.

Nieciszewski posiniał ze złości, ale nic nie wyrzekł. Stał tylko ze spuszczonej oczami.

Przez chwilę milczała, niepewna, na ile jeszcze sobie może pozwolić. W końcu buta przeważyła.

– Możesz powtórzyć staroście, że wolałabym, aby dziecko, które noszę w łonie, wychowało się bez ojca, niż żeby miał nim być taki bydlak jak on.

Przez chwilę wymieniali spojrzenia. W końcu kobieta odwróciła wzrok. Nie mogła dłużej patrzeć w oczy burgrabiego. Czaiła się w nich ciemność, która przeraziła Katarzynę.

– Tak, tak. Jestem w ciąży – mruknęła w kierunku żarzącego się ognia. – Pozwoliłeś swoim bydlakom bić kobietę w stanie błogosławionym.

Bartłomiej zerknął w niebo, na którego sinym tle pojawiły się rzadkie śnieżynki. Owinął się płaszczem, jakby nagle zrobiło mu się bardzo zimno.

– Nie miałem pojęcia. – Przywołał na oblicze sztuczny uśmiech. – Nadto wykonywałem jedynie rozkazy. Nie możesz mieć do mnie pretensji.

– Wszyscy mówicie to samo.

– To prawda – zgodził się. – Ale teraz powinienem zgłosić moim mocodawcom, że nosisz w łonie bękarta. A wtedy, moja droga, oboje długo nie pożyjecie.

Po raz kolejny tego wieczora poczuła, że popełniła ogromny błąd, którego już nie da się naprawić. Mężczyzna przyciągnął ją mocno do siebie. Tulił jak ukochaną istotę.

– Spokojnie – wyszeptał Katarzynie do ucha. – Nikomu słowa nie powiem o dziecku. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. Sama postanowisz, czy powiedzieć Andrzejowi, czy nie.

Zmrużyła oczy, odwracając się od niego. Jej ciężkie włosy poruszyły się na ramionach niczym żywe stworzenie. Emanowały wilgotną miękkością. Zapach tej kobiety był wprost odurzający. Pomimo nocy spędzonej w celi pachniała słodko. Burgrabia poczuł przyjemność płynącą z dotyku jej ciepłych palców. Choćby przelotnego. Choćby miały go odpychać.

Potrząsnął głową.

Nie powinienem, to zbyt niebezpieczne – pomyślał.

Odsunął ją na długość wystawionych ramion i spojrzał prosto w jej pełne łez oczy.

– Na twoim miejscu zachowałbym całą sprawę dla siebie. Jeśli zależy ci na tym, aby dziecko doczekało połogu – oznajmił.

Katarzyna zrobiła krok w tył.

– Dlaczego miałabym tobie zaufać? – spytała prosto z mostu.

– Bo znam Andrzeja Kościeleckiego trochę lepiej niż ty. I choć początkowo miałem go za osobę miękką i podlegającą wpływom rodziny, poznałem się na nim, zresztą między innymi dzięki twojej sprawie. To wilk w owczej skórze, Katarzyno. Wilk, który zagryzłby własne młode, gdyby mu zagroziły.

Dziewczyna bez słowa przysiadła się do ogniska.

– Czy chciałaś powiedzieć, że jednak mi zaufałaś?

– Nie – odparła, obracając się do niego bokiem. – I nie zapomnę ci tego procesu. Jeszcze pożałujesz, burgrabio.

– Niejedna tak mówiła.

– Nie jestem byle dziewczką. Zapamiętaj to sobie – odparła z przekonaniem.

Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że Bartłomiej odwrócił twarz, a uśmiech na jego ustach zamarł.

# Rozdział 1

12 marca Roku Pańskiego 1488, zamek w Kruszwicy

Jan z Oporowa, starosta kruszwicki, siedział sztywno, pogrążony w myślach. Miał serdecznie dość hałaśliwej, ogłuszającej uczyty, którą wydał na cześć syna, skądinąd też Jana. Powodem było przyjęcie przez chłopaka niższych święceń kapłańskich.

Bohater uczyty siedział u boku ojca i niemrawo skubał kapłona. Jemu także nie przypadało do gustu zachowanie gości. Nad wyraz poważny, był ulubionym synem starosty. Długie, czarne włosy chłopaka opadały na łagodną, lecz nie zniewieściałą twarz o mocnym, stanowczym spojrzeniu.

Gdyby wszyscy zebrani byli tacy, pomyślał Jan z Oporowa. Powyżej uszu miał swoich gości. Potrafili tylko mlaskać i wypluwać przy mówieniu resztki jedzenia. Szkoda wybornych potraw, pomyślał, zacierając zgrabiałe z zimna dłonie. Pasztet z dzika i mięso jelenia z kruszwickich lasów, udziec sarny i jeź w cieście. Połowa z tych rzeczy pozostała na stole nietknięta. Powinien podać zupełnie z rzepty i rybich łbów. Pewnie to właśnie jadali w swoich rodzinnych stronach. Najwyborniejsze wino, a oni żłopiają je, jakby to był samogon. Najprzedniejsi komedianci, a ci dumnie i tak zagłuszają występ swym ochrypłym rykiem.

I oni mają się za elitę kulturalną Kujaw.

Wystarczy na nich popatrzeć. Syn Jana Kościeleckiego i siostry starosty kruszwickiego, Katarzyny, kasztelanki przemyskiej, ledwo utrzymywał się w pionie. Podobnie szwagier Jana, Kasper Leszczyński. Jasne brwi i wąsy Kaspra poruszały się w miarę wypowiedzanych zdań.

Miecznik inowrocławski, Mikołaj Dąbrowski, wywołał na początku biesiady karczemną burdę z Marcinem Budziszewskim na temat praw jego małżonki, siedzącej zresztą obok w ponurym milczeniu, do majątku Wilamowa. Miecznik inowrocławski bez ustanku wydymał pokryte czarnymi wąsami wargi. Z daleka czuć było ciągnący od mężczyzny odór gorzałki.

Jedynie bracia świeżo upieczonego duchownego, Feliks oraz Andrzej, zachowywali się, jak należy. Nic w tym dziwnego, skoro Andrzej starał się właśnie o włocławską kanonię, a Feliksa trawiła od trzech dni silna gorączka. Byli jak zawsze nierozłączni. Podkrążone oczy Andrzeja spoglądały z bystrym błyskiem, a czerwoną twarz Feliksa okalała szczecina tygodniowego zarostu. Długie, mysie włosy opadały na ramiona mężczyzny. Jedyna obecna siostra młodego duchownego, Helena, przybyła na uroczystość specjalnie z klasztoru w Strzelnie, gdzie była zakonnicą u św. Norberta.

Piotr Moszyński, biskup włocławski, przez tłuste palce spoglądał na swawolę możnych panów. On jeden, prawdziwie wykształcony, na pewno pożałował, że nie odmówił zaproszenia na uroczystość. Wystarczyło popatrzeć w surowe, nalane oblicze biskupa, na falujące siwe włosy opadające na twarz.

Oblicze mężczyzny było jak księga. Biskupa nie odstępowali jego przybocznicy. Mężczyźni rozglądali się po sali nieufnym, oceniającym spojrzeniem. Odziany w powłóczystą szatę Kallimach siedział zatopiony w rozmowie z innym cudzoziemcem, Gallusem z Zadaru, który do tej pory nie tknął nawet kęsa jedzenia. Maciej Drzewicki, młodzieńki uczeń Kallimacha, obserwował otoczenie spod przymrużonych powiek, mierząc swą czarną kozią bródkę.

Moszyński upatrywał w Janie Oporowskim nadzieję na przyszłość. Chłopak był wykształcony i miał lotny umysł. Na pewno daleko zajdzie – pomyślał z dumą ojciec.

Co za hołota! – dodał w myślach kolejny komentarz. Obserwował całą tę zgraję, marszcząc krzaczaste brwi i co i rusz przeciągając dłonią po krótkich, szpakowatych włosach. Upił wina i potarł gęstą brodę pokrywającą dolną szczękę. Skostniałe palce rozpostarł na pobrużdżonym czole. Jak do tego doszło, że musi jadać w takim towarzystwie? Z jednej strony wykształceni ludzie, z drugiej – ta banda. Wstyd mu się zrobiło.

Powinienem był odwołać ucztę – pomyślał, usiłując wykrzesać z siebie resztkę opanowania. Zła pogoda utrzymywała się od miesiąca. Zadymka ustępowała niezwykle rzadko, a i wtedy po obejściu hulał zimny, nieprzyjemny wicher. Na dziedzińcu zalegały głębokie pryzmy śniegu. Zamek obrósł od zewnątrz grubymi zaspami, a drogi stawały się coraz mniej przejezdne...

Połowa znamienitych gości nie pojawiła się...

Na nieszczęście dla rodziny Oporowskich biskup, rezydujący na stałe w Raciążku, miał do Kruszwicy stosunkowo blisko. Wizytował zdaje się okoliczne dobra, gdy zaskoczyła go nawracająca zima. Jan szczerze wolałby, aby biskup i jego świta wcale nie przyjechali. Nie musiałby się wtedy tak bardzo wstydzić.

W dodatku dzień, na który zaplanowano biesiadę, zaczął się feralnie. Małżonka Jana z Oporowa, Zofia Odrowążówna, poważnie zachorowała i nie zjawiała się wcale na uczcie. Choroba przydusiła też Feliksa, który zawsze był duszą towarzystwa, a teraz tkwił niczym kruk, pogrążony w ponurych myślach.

Starosta kruszwicki rozejrzał się znudzonym wzrokiem. Przebiegł szybkim spojrzeniem po malowanych pięknie tarczach zdobiących kolumny wielkiej sali. Połowę najbliższej tarczy zdołał ozdobić czarny orzeł z rozciągniętymi skrzydłami na żółtym polu. Poniżej, na polu czerwonym, widniały trzy kamienie. We wgłębieniach pod kapitelami gnieździły się cienie. Obrzucił wzrokiem gnijące na ścianach gobeliny. Powrócił skrzącymi się światłami oczami do kolumn. Większość tarcz szerniała ze starości, a korniki wyżarły w nich dziury, których nie sposób zakryć farbą. Kruszwica jest dziurą. Pięćset kominów, wliczając osadę przymostową i kruszwicką wieś po drugiej stronie Gopła. A on, Jan z Oporowa, musi w niej tkwić. Nawet Grodztwo, należąca do starosty wieś, nie przynosi już należytego dochodu. Narząza jedynie Jana na ciągle zatargi z duchownymi od świętego Piotra, których ziemie graniczą ze wsią. Księża

nie mogą znieść, że znajdującą się na terenie królewskiej karczmy prowadzi dla Jana z Oporowa Żyd. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że pozostałe okoliczne gospody ma w ręku włocławska kapituła. A karczma Żyda najlepiej z wszystkich prosperuje.

Natrafił spojrzeniem na tę osobliwą dziewczkę, podesłaną mu kilka dni temu przez Andrzeja Kościeleckiego z Bydgoszczy. Siedziała po drugiej stronie stołu. Wbił w nią spojrzenie i zagryzł wargę. Z tego co wiedział, była zwykłą mieszczką. Nie powinna więc siedzieć między szlachcicami. Budziła zgorzienie duchownych z Włocławka swoimi długimi, rozpuszczonymi włosami. Ale to Jan z Oporowa ją tam usadził. I po cóż? Żeby w wolnej chwili na nią spoglądać.

Podobno rudowłosa i starosta bydgoski, Andrzej Kościelecki, byli kochankami.

Pomimo zimna docierającego przez okno poczuł pot na karku. Targnął się gwałtownie. Coś osobliwego się z nim działo na widok tej kobiety. Muszę nad sobą zapanować – pomyślał, wznosząc milczący toast za samego siebie. – Muszę trzymać nerwy na wodzy i nie dać po sobie poznać trawiących mnie namiętności.

Niewiasta napotkała jego wzrok i wyraźnie się zmieszala. Podobnie jak cudzoziemcy, nie tknęła w ogóle jedzenia. Ta kobieta coś ukrywa – pomyślał starosta.

Lodowaty podmuch wdarł się do izby, postrzącał ogień z pochodni i świec. Jana z Oporowa przeszył dreszcz, na chwilę go otrzeźwiając. Spojrzał w okno. Śnieżycą rozszalała się na nowo.

Ocknął się z melancholii i rozejrzał wokół, tak naprawdę nie patrząc na nic w szczególności. Ktoś trącił go przed chwilą łokciem. Kto? Tego nie wiedział. Wkoło otaczały go szczerzące się, zapite mordy.

Poczuł znużenie. Wciągnął w nozdrza zapach zbutwiałego drewna i piwa. Obdarzył niechętnym spojrzeniem gości. Najchętniej zostałyby sam na sam z rudowłosą nieznajomą.

Ale, ale... Gdzie ona jest?

Spojrzał w odległy kąt sali.

Rudowłosa dziewczka zniknęła.

\*\*\*

Katarzyna bała się. Bała się tego miejsca, gdzie przywiózł ją Nieciszewski, ale nie tylko. Miała od momentu przybycia tutaj osobliwe i nieuzasadnione, ale bardzo silne złe przeczucia. Jakby wiedziała, że ma się wydarzyć coś złego.

Pamiętała, że Andrzej wspomniał jej na początku ich znajomości o alchemiku mieszkającym w kruszwickiej wieży. Zdążyła już wypytać trochę służbę na temat jego osoby. To zadziwiające, lecz Czech zignorował całkiem rozkaz starosty Jana i nie pojawił się na uczcie, wymawiając się prowadzeniem poważnych badań. Och – pomyślała dziewczyna – gdybym to ja mogła być taka



niezależna i wolna. Wszystko bym za to oddała. Starosta musi bardzo cenić sobie osobę alchemika. Ponoć gdy przebudowywał zamek, stawiając murowane budynki w miejscu drewnianych, dodał zewnętrzne drzwi do zamieszkiwanej przez badacza sztuk tajemnych wieży. A wszystko dla wygody często wychodzącego w różnych podejrzanych sprawach alchemika.

W chwili gdy stanęła w korytarzu, wiodącym na mur i dalej, w kierunku wieży, strach uderzył w nią z całą mocą. Lepki, oślizły i lodowaty. Zaczęła dygotać. Żeby coś lepiej zobaczyć, przyświeciła sobie pochodnią.

Wtem doszedł ją jakiś szept, bardzo blisko, jakby to mur do niej przemawiał. Stanęła jak wryta. Przez chwilę słyszała tylko syk palącej się pochodni. Potknęła się w ciemności. Potem znów doszedł ją jakiś chrobot, może to było skrobanie myszy. Zerwała krępującą jej ruchy wierzchnią szatę, krótki, futrzany płaszczyk, i porzuciła go bezwiednie na schodach. Przywarła do ściany. Zaczęła skradać się wzdłuż niej, wymacując drogę wolną dłonią. Posuwała się na zachód, więc cały czas zbliżała się do wysuniętej w tym kierunku wieży. Znów doszły ją jakieś głosy. Zakłęła cicho, uwalniając się od długiego, rozciętego rękawa sukni. Poczowała zimny dotyk czerwonej ściany na odsłoniętych plecach. Ogień mienił się na materiale jej szaty, jakby była wykonana z maleńkich czerwonych klejnotów.

Krótki korytarzyk doprowadził ją do trzech stopni, prowadzących ku ukrytej w ciemnościach wnęki, gdzie znajdowały się drzwi. Gdy tylko uchyliła wrota, w oczy uderzył ją wirujący śnieg. Niesiony przez świszczący wiatr, padając niemal poziomo. Wściekłe ciosy lodowatych podmuchów smagneły ją w twarz.

Jakoś udało jej się pokonać wolną przestrzeń. Pod koniec nogi ją zawiodły. Opadła na ścianę w mrocznym wnętrzu wieży, śmiejąc się niczym opętana. Pochodnia zgasła. Podniosła wzrok. Gdzieś nad głową dziewczyny tlił się migoczący ogień.

Ruszyła pod górę, nic tak naprawdę nie widząc. Mozolnie, wymacując drogę ręką. Było jej potwornie zimno. Czowała, jak napinają się mięśnie jej nóg. Gardło dziewczyny ścisnął strach, czoło skleił zmieszany z roztopionym śniegiem pot. Stopnie trzeszczących, drewnianych schodów roztopiały się w gęstej jak pajęczyna ciemności.

– Kim jesteś? – usłyszała nagle z góry mocny, męski głos. – Czemu mi przeszkadzasz?!

Nie potrafiła dobyć z siebie słowa. Oparła się o ścianę i czekała.

– Ogłuchłeś?! – rozległ się ponownie krzyk. – Jeśli jesteś pijany i zamierzasz spać z moich schodów, to wiedz, że będziesz czekał tam połamany do rana. Ja bowiem jestem bardzo zajęty. I nic mnie nie obchodzi wasza cholerna ucztą.

Parsknęła cicho pod nosem.

– Odezwij się albo do ciebie wyleżę! Nie znoszę smrodu wymiocin!

– Nie jestem pijana, mistrzu Bohumile! – wykrzyknęła. Nastąpiła grobowa cisza. Po czym usłyszała

zbliżające się kroki, poprzedzane przez długi, postrzępiony cień, padającego od przytrzymujących płomień kaganka palców.

W końcu stanął spokojnie naprzeciwko niej, mrużąc oczy. Miał na sobie długą, mieniącą się w ciemności tunikę, a na nogach ciemne rajtuzy i cizemki. Odsunęła się instynktownie. Podkrążone powieki mężczyzny rozszerzyły się ze zdziwienia. Zobaczyła, jak napina się cały, od stóp po ramiona, niczym kot do skoku.

– Niewiasta? – zapytał.

– No, chyba widać – odparła.

– Oj, widać. – Zmierzył surowym wzrokiem kobietę. Był krępy mężczyzną o gładko ogolonych, obwisłych policzkach i kościstym nosie. Zaczesane do tyłu włosy poznały na skroniach siwizna, a choć jego szyja była mocno pobrużdżona, piwne oczy świeciły młodzieńczym wigorem.

– To nie jest miejsce dla ciebie – uciał.

– Tak? A niby dlaczego? Jeśli chodzi ci o to, że skręcę sobie nogę, stetryczalemu starcowi chyba o to łatwiej, nie?

– Na dole mieści się więzienie starosty – ostrzegł. – Są tam aktualnie trzech skazańcy. Jeden jest obłąkany. W nocy czasami słyszę jego wycie. Chyba myśli, że jest wilkiem.

– A może to wilkołak? Ale ty nie wierzysz w wilkołaki?

– Czemu miałbym wierzyć? – odparł ze wzruszeniem ramion. – Nigdy żadnego nie widziałem.

Ruszyła, mijając mężczyznę, po stopniach schodów.

– Hola! – Stanął rudowłosej na drodze. – A ty dokąd?!

– Chcę zobaczyć laboratorium.

Wyglądał na rozbawionego.

– Nawet staroście nie pozwalam tam zajrzeć. Skąd mniemanie, że pozwolę tobie?

– Bo ja także jestem czarownicą – oznajmiła.

Parsknął śmiechem.

– Rozśmieszyłaś mnie? – Ściągnęła brwi.

– Zaiste. Rozmawiasz z człowiekiem, który terminował u samego Nicolasa Flamela. Przy mnie ktoś taki jak ty jest... – Zmierzył z góry na dół kobietę. – Nie więcej jest wart niżli wiejska guślarka.

– Flamel żył dwieście lat temu – odpowiedziała zaczepnie.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie wierzysz? – Pozwolił przejść Katarzynie, śledząc ją jednak cały czas spojrzeniem. – I ty śmiesz nazywać siebie czarownicą? Nicolas Flamel uzyskał dzięki swej tajemniczej księdze nieśmiertelność.

Odwróciła się raptownie. Na jej twarzy pojawił się zuchwały uśmiech.

– Widziałeś księgę Nicolasa Flamela?

– Widziałem notatki sporządzone ręką mojego mistrza.

– Udowodnij mi to – odparła, wbiegając po schodach.

Zanim zdołał wykrzyzczyć ripostę, przekroczyła próg pracowni. Gdy wszedł za nią, obróciła się i przyjrzała mężczyźnie z dezaprobatą.

– Spodziewałam się retor, chemikaliów albo choćby kotła.

Rozłożył szeroko ręce. Stała pośrodku niemalże pustej izby. Zaopatrzone w dodatkowe drzwi i w ozdobione witrażem okno, pomieszczenie tonęło w blasku świec rozstawionych w licznych trójnogach. Na środku izby stało lectrinum, a na nim otwarta pergaminowa księga w świeżej, skórzanej okładce, zapisana ręcznie, niezwykle ozdobnym pismem.

– Są tam. – Alchemik wskazał drzwi położone w ścianie naprzeciwko pierwszych, lecz gdy ruszyła w tamtą stronę, złapał za rękę rudowłosej. – Ani mi się waż.

– Dlaczego nie zjawiłeś się na uczcie? – zapytała prosto z mostu.

– A jest li tam kto ciekawy? Nie. Same opije i ich nudne historie. To nie miejsce dla mnie.

– Jest biskup kujawski. I kilku badaczy.

– Piotr z Bnina?! – Otworzył szeroko oczy. – No, to teraz zaczynam żałować, że mnie tam nie ma. Ale nic straconego. Na pewno śniegi przetrzymają ich na zamku chociaż kilka dni. Zdamę zamienić z biskupem kilka słów.

– Ty? – Skrzywiła usta. – Ty i biskup? Będziecie tak po prostu rozmawiać? Biskup z czarownikiem?!

Prychnęła.

– Zgadza się, przyjaciółko. Piotr z Bnina jest znawcą kroniki mistrza Wincentego, którą to widzisz na podwyższeniu. Powiedz mi, jest z nim może Kallimach?

– Kto?

– Filippo Buonaccorsi de Tebadis Experiens – wyrecytował. – Należy do biskupiej świty. To cudzoziemiec, który przemierza się do napisania kroniki o naszym kraju.

– A bo ja go wiem? Jest z nim kilku cudzoziemców.

– No i widzisz. – Alchemik pokręcił głową. – Sama widzisz, jak mało wiesz, dziecko.

– Nie jestem dzieckiem – fuknęła, okrążając pulpit. Stała przed księgą.

– Po co ci to? To nie jest chyba księga magiczna?

– Notatki mego mistrza wspominają o zdarzeniu zawartym w tej księdze. To jeden z niewielu fragmentów, że tak powiem, fabularnych. Stąd moja obecność w Kruszwicy.

– Jak to?

– Widzisz, Flamel zdobył swą słynną księgę przypadkiem. Kupił ją za dwa floreny od jakiegoś Żydka. Od razu uznał, że jest wyjątkowa, to było jak miłość od pierwszego wejrzenia. I nie chodzi o to, że była pozłacana, bardzo stara i duża. Książka nie była też z papieru ani z pergaminu, jak inne, lecz z cienkiej kory. Okładkę miała miedzianą, wielce delikatną, całą pokrytą dziwnymi znakami. Flamel domyślił się, że jest to księga alchemiczna, choć w chwili, gdy ją oglądał, nic jeszcze o alchemii nie wiedział.

– I co dalej? – spytała Katarzyna, zaintrygowana historią. Poczuli, że osobliwy alchemik z chęcią odpowie na tak postawione pytanie. Odczytała w jego spojrzeniu, że musiał się czuć samotny przez te wszystkie lata. Znała się na ludziach i wiedziała, że ma go w garści.

– Całe lata odcyfrowywał dziwną treść księgi. Jak bowiem wszystkie podręczniki alchemii, i ten celowo spisany został sekretnym językiem, a najgłębsze tajemnice zawarte były nie w słowach, ale w nieprzeniknionych symbolicznych rysunkach. Z nikim nie rozmawiał o książce i cały czas sporządzał notatki.

– I w tych notatkach znalazłeś coś, co nawiązuje do tego twojego Napierśka?

– Kadłubka – poprawił ją Bohumil. – I niezupełnie. Nie nawiązuje do Kadłubka, jeno do wydarzenia zawartego w księdze. Czytać umiesz?

– Kpisz sobie ze mnie?

– Ale po łacinie?

– A po jakimu?

– To podejź do księgi i sama odczytaj – zachęcił.

Z wahaniem podeszła. Księga napisana była niezwykle ozdobnym pismem, a tekst zlewał się w półmroku, czytała więc powoli, z trudem radząc sobie z pozółkłymi stronicami. Jej usta poruszały się w miarę czytania kolejnych wyrazów.

*Nader słusznie rozpalila się surowość Bolesława przeciw świętokradczym bałwochwalcom i nader słusznie do zemsty przydał zemstę. Zaledwie bowiem wygasła owa zaraza, mścicielka świętokradztwa, gdy ani wiary świętej nie uszanowali, ani żadnej nie dotrzymali wierności układom politycznym. Nie boją się bezwstydni odstępcy unikać zbawienia i nie wzdragają się obrzydłe psy wracać do tego, co wyrzygały. Toteż Bolesław ściągga zewsząd wszystką swoją moc zbrojną, siły wszystkich ćwiczy i ocenia. Wojska wyruszają na Pomorze, a jadący przodem biskup woła, że dzieje się sprawa Boża, a nie ludzka.*

– Skąd masz tę księgę? – przerwała czytanie.

– Ukradłem z Krakowa – odpowiedział wprost. Kiedy wzniosła oczy, ujrzała, że bezwstydnie się

uśmiecha.

– Oddam przy najbliższej okazji – rzekł. – Nie moja wina, że nie została mi wydana. Zresztą to jeden z wielu rękopisów.

Wzruszył ramionami, jakby to, co mówi, było nader oczywiste.

*Jest bowiem w Kruszwicy kościół św. Wita, na którego szczycie widziano jakiegoś młodzieńca niezwyklej postaci i urody, od którego bił tak niewypowiedziany blask, że, jak mówią, oświetlał nie tylko miasto, lecz również przedmieścia. Młodzieniec ten spłynął z tego szczytu ze złotą włócznią i daleko wyprzedził oddziały. A wielu widziało tę oczywistą moc boską i w milczącym uwielbieniu zdumiewało się nad tajemnicą tak niezwykłego zjawiska, aż nie znikł, machnąwszy włócznią, którą niósł, jakby w stronę Nakła.*

Trwało chwilę, nim dokończyła. Wreszcie wyjrzała znad księgi. Alchemik spoglądał cierpliwym wzrokiem, splatając z tyłu dłonie.

– Co to ma znaczyć? Co to za święty Wit?

– Wedle podań był tu od zawsze. Dawniej nazywano go jednak inaczej.

– Światowidem, tak?

– Bystra jesteś. Owszem. Jest jeszcze inna wersja tej samej legendy. Wedle tej wersji król Bolesław Krzywousty stanął z wojskami w Kruszwicy, szykując się do zdobycia Kołobrzegu. W przeddzień wymarszu w Oraculum św. Wita, kapliczce pełniącej funkcję zamkową, odprawiana była uroczysta msza. Jako kielich posłużyło kapłanom tajemnicze naczynie pokryte dziwnym, nieznanym chrześcijanom wzorem. Kiedy msza dobiegała już końca, na wieży stanął młodzieniec w złotej zbroi, z lśniącą włócznią w ręku, w śnieżnobiałym płaszczu na karku. Rycerz zeskoczył i cisnął włócznię w stronę Nakła. Wojska rychło ruszyły na Pomorzan. Ci, widząc tajemniczą włócznię, wpadli w panikę. Polskie wojska odniosły tego dnia wielkie zwycięstwo.

– Święty Wit, tak?

Alchemik kiwnął z przekonaniem głową.

– Mistrz Flamel ma inne zdanie na temat natury tego fenomenu. W jego notatkach jest ustęp odnoszący się do wezwania wszechpotężnego anioła zsyłającego „światło natchnienia”. Na początku myślałem, że to zwykła inwokacja, którą zawiera niejedna księga magiczna. Tak jak teksty chrześcijańskie, które zaczynają się od modlitwy o zesłanie na piszącego Ducha Świętego.

– A nie jest tak?

– Nie do końca. W kaplicy świętego Wita, badając legendę Kadłubka, natrafiłem na osobliwą rycinę nawiązującą do kabalistycznego wizerunku anioła zwanego w kabale „Uchem Boga”. Jest to przydomek

anioła oczyszczenia, piętnastego anioła kabały, zwanego Hariem. Rycina widnieje na ścianie, wkomponowana w przedstawienie świętego Wita, lecz nijak do reszty nie pasuje. To hebrajski znak, a raczej ciąg znaków, przedstawiający kolejno płomień, ucho oraz drzwi.

– Hebrajskie znaki?

– Zgadza się. Co więcej, także w notatkach Flamela natrafiłem na ślad Hariela. Przeczytać tam można na temat cherubina, który objawił się dzikim ludom wschodu, pomagając w utrzymaniu wiary.

– Nie bardzo rozumiem. – Ściągnęła brwi.

– Hariel jest wedle magicznych pism kabały aniołem chóru cherubinów. Jego żywiołem jest ogień i potrafi się weń przeistaczać. Opiekuje się nauką i sztuką. Wywoływany w zaklęciach przeciw bezbożności, może wywołać powrót wiary, ale również, wezwany przez nieodpowiednią osobę, także rozlew krwi. Wedle kabalistów jego ogień przynosi nieśmiertelność.

– Zaklęcia przeciw bezbożności? – wyłowiła Katarzyna. – Takiej jak atak pogańskich Pomorzan?

– Właśnie. Uważam, że tutejsi mnisi parali się czarną sztuką. Jakaś forma kabały. To oni wezwali siłę opisaną przez Kadłubka. Siłę, która do tej pory obecna jest w Kruszwicy.

– Ale skąd francuski alchemik wiedział o tym, co miało miejsce nad Gopłem?

– Tego nie wiem. Ale wygląda na to, że zdarzenie, o którym mowa u Kadłubka i w kronice Galla Anonima, było powszechnie znane wśród magów i kabalistów. Kruszwica od dawna była przez nich odwiedzana. Nic jednak nie odkryli.

– A ty?

– Wiem, czego poszukiwali. Ale moje badania wciąż trwają. Jestem na dobrej drodze do opracowania rytuału pozwalającego na kontakt z siłą mieszkającą nad Gopłem. Mogę się pochwalić pierwszymi, znaczącymi sukcesami.

– Ach tak? A jakimiż to? To ty wywołałeś powrót zimy? – zakpiła.

– Nie – odparł poważnie. – Ale wywołałem światło, którego pochodzenie było zupełnie obce. Teraz potrzebuję tylko Czakramu Mocy, znajdującego się w jednym z kruszwickich kościołów.

– Czakramu? A co to takiego?

– Naczynie. A dokładnie kielich. Według legendy Czakram został przyniesiony na nasze ziemie z Indii, przez Persów. Był to ten sam kielich, który wręczył Chrystusowi święty Melchior i to samo naczynie, z którego Jezus pił podczas Ostatniej Wieczerzy.

– Święty Graal?

Alchemik kiwnął z przekonaniem głową.

– Nie wiem, ile w tych legendach prawdy. Natomiast według moich ustaleń to właśnie tego Czakramu użyto, podczas pamiętnej mszy w kościele świętego Wita. Pełnił funkcję kielicha. Księża

dobrze zdawali sobie sprawę z jego pochodzenia oraz niesamowitych właściwości.

– Właściwości? – rzuciła zaciekawiona Katarzyna. – Jakich?

– Czakram jest wymieniony w księdze Flamela na liście komponentów potrzebnych do przywołania siły. Obok krwi trzech rodzajów. Za Krzywoustego użyto krwi trzech pogan, z których jeden był kapłanem, drugi wojownikiem, przemienionym w wilka, a trzeci czarownikiem. Przynajmniej tak mówi legenda.

– Ale nie posiadasz jeszcze kielicha, prawda?

Alchemik posłał Kucharczykowej słaby, ale wymowny uśmiech.

– Na szczęście znalazłem już złodziejasków gotowych wykraść dla mnie naczynie.

– Ja zdobędę dla ciebie to naczynie – oznajmiła Katarzyna. – Szybciej niż jakieś rzezimieszki. I za darmo. To znaczy, za możliwość terminowania u ciebie.

Przez chwilę alchemik mierzył dziewczynę wzrokiem, niepewny, co ma odpowiedzieć.

– Zgoda – rzekł w końcu. – Możesz u mnie terminować. Lecz Czakramem zajmę się sam. Wynajęci przeze mnie ludzie są pewni, no i przede wszystkim, już zostali przeze mnie opłaceni. Ale zawsze marzyłem o uczniu. Choć inaczej go sobie wyobrażałem. Wierzę jednak, że to spotkanie jest zrządzeniem losu. Wierzysz w los?

To mówiąc, raz jeszcze przyjrzał się uważnie Katarzynie. Nie doczekał się odpowiedzi.

– Więc mogę zostać? – Rozpromieniła się. – Tak po prostu? Zaufałeś mi?

– Jeśli tylko powiesz mi, kim jesteś. Widzisz, ja bardzo szybko poznaję się na ludziach. No i wiem, że jesteś w ciąży. Ciężarne kobiety nie są tak groźne jak wszystkie inne. Wybrałaś już imię dla synka?

Te słowa wbiły Katarzynę w ziemię. Jak to możliwe? Przecież nic jeszcze nie było widać.

– Mateusz.

– Ładnie, a przy tym biblijnie – parsknął. – A jak na ciebie wołają?

– Katarzyna. – Wyciągnęła dłoń. Uścisnęła rękę maga pewnie i po męsku. Dłoń alchemika była żyłasta i sucha. – Co to za „krew trzech rodzajów”?

– Tu natrafiłem na kłopoty w tłumaczeniu. Choć sądzę, że chodzi o krew bezbożnika, krew duchownego i krew czarownicy.

# Rozdział 2

20 października Roku Pańskiego 1488, Zamek w Kruszwicy

Zamkowy korytarz migotał odbiciem umieszczonych w ścianach pochodni. Zza uchylonych drzwi izby docierał wrzask torturowanej kobiety. Na zewnątrz stał odziany w podróżne szaty i opończę mężczyzna, którego zatroskane oblicze wyzierało spod kaptura, oraz odziana w ciemny habit kobieta o twarzy suchotniczki i zimnych, nieczułych oczach.

Przez drzwi wymknęła się tęga niewiasta. W ręku dzierżyła miskę wypełnioną szmatami.

– Jak idzie? – zapytał mężczyzna, drapiąc się po gęstym zarostcie.

– W ogóle nie idzie – odparła kobieta, wznosząc miednicę wypełnioną nasączonymi krwią szmatami.

– Stań, mości panie, w miejscu. Mnóstwo krwi, krzyku i nic więcej. A wydziera się ta baba w niebogłosość, aż uszy puchną.

– Będziemy czekać. – Zakonnica zmierzyła wzrokiem akuszerkę. Wpiła w nią spojrzenie małych, wrednych oczu. Tęga niewiasta skłoniła lekko głowę.

Nieciszewski zaczął krążyć tam i sam.

– Myślisz, że będzie miało kopyta? – parsknął nagle w stronę bernardynki.

– Nie rozumiem – oznajmiła zjadliwym tonem zakonnica.

Machnął ręką.

– Nieważne.

W tej samej chwili z izby doszedł ich zupełnie inny płacz. Na początku ciche kwilenie, które po chwili przeszło w całkiem donośne. Po chwili pojawiła się jedna z kobiet, niosąc pomarszczone źródło tego krzyku, pokrytego krwią i dziwną, szlamowatą substancją. Zawinięty w byle jakie gałgany noworodek był siny i obrzmiały. Zaciśnięte kurczowo powieki pozbawione były rzęs. Niewielkie, męskie przyrodzenie przeraźliwie spuchło.

– Zabierz go. – Bartłomiej odsunął się. Zakonnica szczelnie owinęła dziecko w przygotowany wcześniej kawałek sukna.

Z izby dobiegł szloch.

– Idziemy – rozkazał Bartłomiej. Po chwili stanął i odwrócił się do akuszerki. – Jeszcze jedno. Zdążyła go nazwać?

– Dała mu na imię Mateusz, panie. – Kobieta ukloniła się.

– Mateusz – potwierdził burgrabia. – Dobrze. Niechaj zostanie Mateusz.

– Powinniśmy zmienić to imię – oznajmiła bernardynka. – Czarownica będzie na pewno szukać



chłopca.

Nieciszewski skrzywił wargi.

– Nie jestem aż takim potworem. Pozwolę jej odnaleźć chłopca, gdy cała burza przeminie. No, już.

Konie czekają. Przed wieczorem musimy stanąć w Koronowie.

– Gdzie on jest?! – rozległ się kobiecy wrzask.

Na schodach czekał na nich zbrojny, odziany w kapalin i kolczugę ukrytą pod czerwoną tuniką z herbem Kościeleckich. Za strażnikiem stał nieznany Bartłomiejowi mężczyzna. Siwiejący człowiek miał podkrążone oczy i stał w samej koszuli nocnej, na którą narzucił niedbale płaszcz. Nieciszewski wziął go na początku za Jana Oporowskiego. Mylił się jednak. Mężczyzna opierał się masywnymi plecami o ścianę. Z marsową miną mierzył wzrokiem zakonnicę. Zerknął na krwawy gałgan, skrywający kwilącego noworodka.

– A ten co tu? – zagadnął Bartłomiej, widząc, że żołnierz broni mężczyźnie dostępu do korytarza.

– Chce do rodzącej – burknął zbrojny, nie odwracając się nawet. Położył dłoń na gałce miecza.

– To niech sobie do niej idzie – odparł burgrabia, po czym minął nieznanego. – My już skończyliśmy.

– Jak to? – zapytał mężczyzna w koszuli. Dotknął palcami szat bernardynki. – Gdzie zabieracie dziecko?!

Żołnierz, widząc, co się dzieje, złapał mężczyznę za kark i mocno go odepchnął.

– Odsuń się, dziadku! – zawołał, zwalając starego z nóg. Ofiara upadła na kamienne stopnie. Na szczęście mężczyzna tylko się trochę potłukł.

Po chwili kroki trójki porywaczy oddaliły się. Z korytarza doszedł uszu leżącego na schodach mężczyzny wrzask Katarzyny.

– Gdzie on jest?!

Mężczyzna szybko pozbierał się i wpadł do komnaty. Leżała tam Katarzyna, spoczywając w ramionach dwóch kobiet, spocona i w koszuli przesiąkniętej posoką. Wyglądała straszliwie – rozszerzone obłędem oczy, nastroszone włosy, płonące żywym ogniem. Przez chwilę spoglądała na alchemika, jakby go nie rozpoznawała.

– Gdzie... – wystękała. – Gdzie on jest? Gdzie mój synek? Gdzie jest Mateusz?!

Bohumil pokręcił głową.

– Nie ma go – rzekł. – Dziecko... Nie przeżył.

Już wypowiadając kłamstwo, nie mógł go sobie wybaczyć. Lecz kochał tę kobietę jak własną córkę i wiedział, że jeśli Katarzyna zacznie szukać chłopca, to straci ją na zawsze. Zawładnie nią szaleństwo i pragnienie zemsty. A tego musi oszczędzić tej biednej dziewczynie...

– Jak... – zapytała ze łzami wściekłości, cisnącymi się do oczu. – Jak umarł?

– Urodził się martwy... – wyszeptał alchemik.

\*\*\*

7 lutego Roku Pańskiego 1505, opactwo Cystersów w Koronowie

Nowicjusz Mateusz obudził się z krzykiem. Był cały zlany zimnym potem. W jego włosach, na koszuli nocnej i derce osiadł szron. Czuł wilgoć w okolicy ogolonego ciemienia. Chłopcu nie było jednak specjalnie zimno, mimo że ciało miał całkiem wychudzone.

Wstał, wymacując stopą chodaki. Podzwaniając zębami, dowlókł się do rozwartego na oścież wąskiego okna w murze klasztoru. Spojrzał na nocne niebo i pola, urozmaicone przez wiszącą ponad nimi mgłę.

Odkąd w miniony wtorek obudził wszystkich w dormitorium swoimi nocnymi krzykami, Mateuszowi przydzielono osobną celę. Teraz gorzko żałował, że nie ma koło siebie nikogo. Westchnął. Serce młodzieńca waliło jak młot.

Gnębił go ten sam sen, co zawsze.

Najpierw usłyszał potężny głos, jakby trąby, wypowiadający jego imię. Obrócił się, aby zobaczyć, co za głos do niego przemawia, zupełnie jak święty Jan Ewangelista w swym objawionym Widzeniu.

Lecz zamiast siedmiu złotych świeczników i młodzieńca obleczonego od stóp do głów w szatę i przepasanego na piersiach złotym pasem, ujrzał sylwetkę wyniszczonego chorobami starca. Długie włosy i głowa jego była podobna do białej wełny, twarz i dłonie pokrywały skorupy starych blizn, a w oczach mężczyzna nosił pustkę.

Starzec postąpił naprzód, a stopy jego przypomniały Mateuszowi drogocenny metal, rozżarzony w piecu. Kiedy zaś nowicjusz cofnął się, przerażony widokiem postaci, stary nagle roześmiał się huczącym głosem.

– Niecee! – krzyknął Mateusz, na co oczy starca zapaliły się i zapłonęły czerwienią.

– Mateuszu – wypowiedziały bezgłośnie jego usta. – Nie bój się.

Słowa starego wywołały całkiem odwrotny efekt. Wyciągnął dłoń, jakby chciał w ten sposób zatrzymać chłopca. Paznokcie starca były długie i twarde, a dłonie pokryte bąblami, jak po oparzeniach.

I wtedy nowicjusz się obudził.

– Mateuszu – rozległo się w celi. Młody chłopak przebiegł spojrzeniem po ścianach. Miał wrażenie, że cienie chichoczą szyderczo, wyciągając palce w kierunku jego szyi.

Demoniczny starzec z jego snu stał w progu, kurcząc drapieżnie wiszącą w powietrzu rękę. Zwarte,

szponiaste palce zacisnęły się w pięść, na co stawy w kolanie Mateusza eksplodowały falą przeszywającego bólu.

Nowicjusz doskoczył do zydlu. Chwycił stołek za nogi. Błyskawicznie, jak mu się wydawało, odwrócił się i wymierzył stołkiem. Demon zbił zydel ruchem ręki, rozbijając mebel w szczapy. Zaśmiał się głośno, mrużąc oczy i cisnął to, co zostało ze stołka, o ścianę.

– Uspokój się – nakazał.

– Nie! – zawył Mateusz.

– Uspokój się i patrz – powtórzyła zjawą. – Spójrz na to, co otwieram przed twymi oczami. Oto Pan pustoszy ziemię, niszczy ją ogniem i rozprasza jej powierzchnię.

Z tymi słowami przemierzył izbę. Spojrzał w dół, w kierunku chłopca. Lecz Mateusz zniknął. Tylko drzwi łopotały o framugę celi.

Mateusz, kuśtykając, wypadł na wiryndarz. Wszędzie wisiała lepka mgła. Ruszył w kierunku stojącej w centralnym punkcie dziedzińca studni. Nagle jakaś niewidzialna siła zwała go z nóg. Zarył w ziemię. Usiłował się odwrócić. Demon, choć powinien być za plecami młodzieńca, stał teraz w bramie opactwa, o dziwo rozwartej na oścież. Spokojnie ruszył do przodu, nie przestając zaciskać dłoni.

– Czego ode mnie chcesz?! – zawołał płacząco Mateusz.

– Co widzisz, namaluj na drzwiach kościoła i ołtarzach – rzekł stary, nie przestając przy tym zbliżać się. – Pan wydał wyrok na ciebie i tych, którzy cię wspierają. Pan wydał wyrok na twą matkę.

– Moją... Matkę? Kto...

– Zapytaj braci – odrzekł starzec. – Zapytaj, nim będzie za późno.

– Za późno? Na co?!

– Pan posłał między ludzi anioła zagłady, lecz oni ogień wzięli za światło.

Po tych słowach nieznajomy szarpnął ręką. Mateusz krzyknął, przewracając się na twarz. Poczuł, jak ziemia przesuwana się pod jego brzuchem. Jakaś obca siła zaczęła pchać chłopaka w kierunku demonicznego starca.

Ocknął się z powrotem w swojej celi. Obmacał szybko koszulę. Był cały zlany zimnym potem. We włosach, na koszuli nocnej i derce osadził się szron. Chłopcu nie było jednak zimno, mimo że ciało pod koszulą miał wychudzone.

# Księga druga: Sidła

# Rozdział 3

22 stycznia Roku Pańskiego 1509, Inowrocław

Parobek, mężczyzna o szerokim brzuchu i końskiej szczęce, zaprowadził Alfreda Ostenwalda do tak zwanej wielkiej sieni. Przeszli przez ciemne pomieszczenie i stanęli w niewielkim, ciasnym kantorze. Paliła się tu pojedyncza świeca, rzucając migoczący blask na czyniącego jakieś zapiski łysiejącego mężczyznę.

– Potrzebuję dobrego gatunkowo sukna – oznajmił Niemiec, nawet się nie rozglądając.

Stojący przy pulpitem mieszczanin w pokrytym ciężkim brokatem oliwkowym jaquecie oderwał się od zapisków. Nie odłożył gęsiego pióra, tylko wsadził je sobie w zęby i zaczął przygryzać, mierząc wzrokiem Alfreda. Kupiec Wolfgang był znany z tego, że żaden szczegół nigdy mu nie umykał. Tylko w ten sposób można się dorobić w tych niepewnych czasach – mawiał.

Widział przed sobą smukłego, szpakowatego przybysza w wyświechtanym skórzanym wamsie, z biodrami przepasanymi rycerskim pasem z długim, pozbawionym ozdób mieczem. Mężczyzna przerzucił sobie przez ramię zakurzony płaszcz z czarnego adamaszku. W drugiej dłoni dzierżył skórzane rękawice.

Miał lekko zapadnięte kości policzkowe i zniszczoną cerę. Zatem albo słabo ostatnio jadł, przewlekłe chorował, albo nie dbał zgoła o posiłki. A może przesadzał z gorzałką? Trudno było ocenić na pierwszy rzut oka. Śmiejące się zuchwale, skupione spojrzenie zielonych oczu przesywało rozmówcę, a z ciemnej, pociągłej i trochę mefistofelicznej twarzy kupiec wyczytał nieprzeciętną inteligencję i bystry charakter. Tak, Wolfgang potrafił czytać w ludziach jak w księdze.

Z tego powodu przeszył go nagły dreszcz. Chodziło o niesamowite oczy przybysza. Zwrócił na nie uwagę dopiero, gdy obcy wszedł w zasięg świecy. Źrenice wydawały się świecić własnym światłem, mimo zalegającego w ciasnej izbie półmroku.

– Jedwab? Aksamit? – zapytał drżącym głosem.

Ostenwald zerknął kątem oka na parobka, na co kupiec szybkim skinieniem głowy rozkazał mu wyjść.

– Znasz gust pana Stanisława lepiej ode mnie – oznajmił, przenosząc wzrok na mężczyznę, Alfred. Miał wrażenie, że mieszczanin straci zaraz resztkę swych rzadkich włosów. Kupiec opuścił szerokie, bufiaste rękawy i spojrzał zrezygnowany.

– Nie próbuj krzyczeć – dodał przybysz, wyciągając króciwą. Stał tak, by kątem oka widzieć drzwi.

– Jak mnie znaleźliście?

– Mamy swoje sposoby – odparł enigmatycznie przybysz.

– To ciebie zwą Niemcem?

– W odróżnieniu od wszystkich Niemców zamieszkujących Rzeczpospolitą. Tak. To ja.

– Nie mam pieniędzy Kurozwęckiego.

– Tak właśnie myślałem. – Przybysz zaśmiał się paskudnie.

– Kto ci o mnie powiedział?

– Och, wiesz, jak to jest. Ludzie. – Obcy spostrzegł podejrzliwy wzrok kupca. – Odpowiednio zapytani, zawsze prawdę powiedzą.

– Co ze mną będzie? – zapytał bez ogródek, usuwając się pod okno na widok podchodzącego Niemca mieszczanin. Zesztywniał od dotyku szorstkiej dłoni, lecz nieznajomy po chwili puścił go i podszedł do blatu pulpitu. Wziął do ręki pergamin.

– Rachunki? – zapytał.

– Czemu pytasz? – spytał Wolfgang, obserwując kątem oka drzwi. Może by zdołał doskoczyć, zanim...

– Nie radzę – usłyszał.

Wiedział, że wzroku, który posłał mu nieznajomy, nie zapomni do końca życia. Zakładając, że jeszcze w ogóle pożyje.

– Zwrócę mu wszystko – rzekł.

– To dobrze – oznajmił Ostenwald. – Uspokój się już. Nie puszczę twoich magazynów z dymem. Byłem po prostu ciekawy.

Ruszył w kierunku mieszczanina, mierząc go obojętnie wzrokiem.

– Fałszowałeś rachunki mojego chlebodawcy. Kradłeś jego sukno, odsprzedawałeś je za bezcen. Wiesz ty chociaż, ile w przybliżeniu jesteś winien Kurozwęckim?

– D... Dużo?

– Dobrze, że to rozumiesz. – Alfred zmarszczył brwi. Jego wzrok był bardziej zmęczony niż groźny.

– Oddam wszystko.

– Głupoty pleciesz. Jak tylko stąd wyjdę, każesz zwinąć majdan i uciekniesz gdzieś, gdzie cię znowu będę szukać. Za pół roku cię znajdę. I zabawa zacznie się od nowa. I tak w kółko Macieju.

– Nieprawda! – Wolfgang pokręcił z przekonaniem głową.

– Masz dwa dni na spakowanie się – oznajmił twardo Alfred. – Masz zniknąć. Pozostawiając cały kram. Wszystko, co masz zgromadzone w magazynie. Idiotą jesteś, jak sądzisz, że tylko do ciebie pół Polski jechałem.

– Nie do mnie?

Alfred pokręcił głową.

– W Inowrocławiu psuje się monetę Kurozweckiego. Falszują tu pańskie floreny. Do ciebie jeno przy okazji wpadłem.

– Dobry z ciebie człowiek. – Mieszczanin uśmiechnął się drżącymi wargami.

– Nie zapomnij o tym. Bo następny człowiek Kurozweckiego dobrym człowiekiem nie będzie.

Alfred w porę zerknął kątem oka na drzwi. W tej samej chwili rozwarły się. Do środka wpadł parobek z końską szczęką i z wrzaskiem runął na gościa. Obaj gruchnęli o ścianę. Sługa zmiażdżył w ogromnej dłoni twarz Ostenwalda. Niemiec poczuł, jak króćca wymyka mu się z ręki.

– Zabij gada! – rzucił Wolfgang, stając w rozkroku. Alfred splótł palce obu dłoni i z całej siły rąbnął kafara w kark. Poczuł, jak trzasnęło mu w palcach. Poprawił kolanem, mierząc w masywną szczękę przeciwnika. Odepchnął draba z całej siły. Parobek zachwiał się, złapał równowagę, a potem warknął głośno, wypluwając krew.

Wyciągnął ramię, żeby złapać przeciwnika za gardło. Alfred wycofał się pod ścianę. Każdy mięsień w jego ciele był napięty jak postronek. Zbir czał się, zgarbiony, na ugiętych nogach, przygotowując atak.

Wolfgang przeszedł się po izbie. Wzrok miał utkwiony w ofierze.

– Już jesteś trup – oznajmił.

– Już to kiedyś słyszałem – odparł napiętym głosem Alfred. To mówiąc, wbił spojrzenie w rozgałęzienia stropowych belek.

Olbrzym natarł. Ostenwald w tej samej chwili podskoczył, złapał się belki i wraził obie nogi w atakującego przeciwnika. Parobek runął do tyłu, przewracając po drodze pulpitem.

Wylądował na obu nogach w tej samej chwili, gdy Wolfgang podniósł króćcę.

– Nie radzę ci strzelać w takim pomieszczeniu – zauważył Ostenwald.

– To po co do mnie mierzyłeś?

– Blefowałem – odparł Niemiec, kopiąc parobka w twarz.

Mieszczanin mimowolnie odsunął się pod drzwi.

W tej samej chwili Alfred był przy nim. Chwycił kupca za ucho. Drugą ręką złapał króćcę i uderzył nią z całej siły w kolano. Wolfgang wypuścił z jękiem broń.

– Idiota. – Alfred szarpnął za włosy mieszczanina. Odepchnął mężczyznę na ścianę.

– Pamiętaj, dwa dni – oznajmił. – Potem cię odnajdę. I wsadzę ci te twoje rachunki w rzyć.

Kupiec skwapliwie pokiwał głową. Alfred podszedł do drzwi, po drodze, po raz już chyba setny w tym roku zastanawiając się, jak nisko przyszło mu upaść.

Konie prychały, kolczuga Alfreda wpijała się boleśnie w ciało mężczyzny przez skórzaną kurtę. Dłonie, owinięte byle jakimi gałganami, z trudem trzymały zamrożone wodze. Mężczyzna nie miał już uczucia w odmrożonych palcach. Śnieg przyszedł niespodziewanie, dopadł Niemca na trakcie z Inowrocławia.

Alfred był z siebie zadowolony. Oddał w ręce władz miejskich Inowrocławia trzech fałszerzy. I nawet jeśli nie odkrył, kto przewodzi szajce, to bez trójki zdolnych rzemieślników banda nic nie zdołała. Przynajmniej przez pół roku Stanisław Kurozwęcki ma spokój.

Przed jeźdźcem rozciągał się las, niemal znikający w kurzawie. Przypominający odłamki szkła białe puch wirował w powietrzu. Dojechał do skraju. Pod kopytami konia zaskrzypiało. Ostenwald ściągnął wodze. Koń targnął łbem. Rozległ się chrzęst zagryzanego cięgierza. Wszystkie rzemienie ogłowia naprężyły się. Po kilku próbach udało się Alfredowi obrócić wierzchowca bokiem i w ten sposób uniknąć zakopania w zaspie, a może nawet upadku.

Po chwili usłyszał przygłuszony huk kopyt. Do Niemca od strony miasta zbliżał się jakiś konny. Po chwili do pierwszego jeźdźca dołączyli kolejni. Ostenwald przyjrzał im się. Krępy mężczyzna, spoglądający zza wzniesionego kapalina, drugi brzuchaty, z odkształconym po uderzeniu czymś ciężkim basinetem i obosiecznym toporem w dłoni. Za nimi podążali dwaj inni mężczyźni, całkiem obleczeni w czerń. Obaj nosili chroniące przed pogodą maski.

– Hej! – wykrzyknął przywódca. Alfred pociągnął za wodze. Usiłował wypatrzeć jakiś szczegół, herb na tunice, cokolwiek, co by świadczyło, że nie ma do czynienia z pospolitymi bandytami. Nie dostrzegł nic, oprócz kłującego śniegu. Nieznajomy w basinecie oderwał się i przekłusował wzdłuż ściany lasu. Koń mężczyzny wierzgnął i zachrapał.

– Cholerne zwierzę! – warknął.

Ostenwalda oblał zimny dreszcz.

Wierzchowce zmieszały się. Wszyscy poruszyli się niespokojnie w kulbakach. Konie zamiotły grzywami. Alfred pozdrowił przybyszów spokojnym skinieniem głowy.

– Podobno szukasz fałszerzy florenów? – Człowiek w kapalinie objechał Niemca. Spod płaszcza rozlegał się łoskot zbroi. Ostenwald wolno obrócił głowę.

– A jeśli tak, to co? – zapytał Alfred.

Mężczyznę w hełmie przeszły ciarki. Obrót głowy był niemal mechaniczny.

– W takim razie mamy ci coś do przekazania – burknął jeden z odzianych w czerń. Rozbłyły bezlitośnie niebieskie oczy.

Urwał i kiwnął na pozostałych. Rozległ się łoskot wyciąganej broni.



Alfred wydobył w pędzie miecz. W tej samej chwili inna klinga, świszcząc, przecięła powietrze. Poleciał z konia.

Jeden z mężczyzn w czerni najechał na Niemca. Ostatnie co zobaczył napastnik, to wypełnioną zapachem krwi ciemność. Alfred obrócił stopy i stanął w rozkroku, czekając na następnego wroga. Koń Ostenwalda zwietrzył krew i rzucił łbem, drepcząc w tył i mieszając się z pozostałymi wierzchowcami. To wprowadziło dodatkowe zamieszanie.

Próbowali objechać ofiarę bokami. Alfred zaatakował pierwszy. Drugi przyodziany w czerń zbir wyleciał z siodła jak z katapulty. Przetoczywszy się, runął siedem stóp dalej. Kociej zwinności zawdzięczał, że wylądował na nogach. Ostenwald doskoczył do kolejnej ofiary. Wiedział, gdzie uderzyć. Ósemką, którą wykonał mieczem, odrzuciła mężczyznę w kapalinie do tyłu. Cios pozbawił mężczyznę jednego z karwaszy. Rękawica upadła daleko od właściciela, bryzgając krwią.

Niemiec nie czekał. Stanął, przygotowany do walki w eleganckiej pozie, z jedną nogą odsuniętą do tyłu. Został mi jeden na koniu i jeden pieszy – pomyślał Alfred. Bandyta wydawał się rozumieć. Uderzył w bok wierzchowca. Zwierzę parsknęło. Ostenwald czekał do ostatniej chwili, po czym runął, turlając pod brzuchem konia. Poczuł, jak w żebra wgniatają się metalowe pierścienie. Warknął przeciągle. Zanim jeździec odwrócił rumaka, Alfred znalazł się przy kulbace. Jedno precyzyjne odbicie od ziemi wystarczyło. Świsnął miecz. Jeździec osunął się do skrzydła siodła, a następnie zsunął po oblanym krwią boku zwierzęcia.

Niemiec rozejrzał się, szukając ostatniego wroga. Dyszał, wypuszczając ustami powietrze. Ostatni manewr w zbroi kosztował go wiele wysiłku i bólu.

Zobaczył mężczyznę w oddali. A właściwie plecy postaci przytulonej do końskiego karku. I rozwiany na wietrze płaszcz. Po chwili uciekającego ukryły tumany śniegu.

\*\*\*

31 stycznia Roku Pańskiego 1509, majątek Kurozweńskich w Baranowie Sandomierskim

– Kiedy wraca Alfred? – zapytała znudzonym głosem Miriam. Cały czas poprawiała na sobie materiał ciężkiej, brązowej cotehardie. Krótki, sięgający powyżej łokcia rękaw sukni uwierał ją, a zwieszający się z niego pas futra krępował ruchy dziewczyny. Obrębione futrem, pionowe rozcięcie z przodu sukni denerwowało Żydówkę w takim samym stopniu jak idiotyczny, obsyty falbankami welon, który nosiła na głowie. Miała wrażenie, że pod podwijką szaleją wszy, choć dbała o swoje włosy jak mało kto.

– Jutro, najpóźniej pojutrze – odparł spacerujący u jej boku mężczyzna. Wysoki, z krótko przyciętymi przy skórze włosami, gęstym wąsem i mocnym głosem, ubierał się po chłopsku, w robe,

choć był właścicielem całego majątku i kilku innych w okolicy. Stanisław Kurozwęcki nosił się z nonszalancją godną szlacheckiego stanu. Pewność siebie aż biła z twarzy mężczyzny.

Na dziedzińcu, omiecionym drobną warstewką śniegu, panowała grobowa cisza. I ciemność wczesnego, zimowego wieczora. Długie cienie, bijące od trzymanej przez towarzysza dziewczyny latarni, sprawiały wrażenie żywych stworzeń, poruszających niczym ćmy w blasku. Z ust dziewczyny wydobywała się para.

Plac otaczały z trzech stron skrzydła zamku, a od południa zamykała ściana wiążąca bramę. Pośrodku jej elewacji frontowej znajdowała się wysunięta prostokątna wieża. Z uwagi na częste wylewy Wisły poziom dziedzińca znajdował się około trzech sążni ponad obronnym przyziemiem oraz poziomem terenu otaczającego zamek.

Powietrze było rześkie i mroźne.

– Szlag by to trafił – przeklęła, na co jasnowłosy towarzysz dziewczyny skrzywił się.

– Nie klnij. – Mężczyzna pogroził palcem. – Nie przystoi to damie.

Szarpnęła rękaw.

– W dupie to mam – warknęła, jej oszałamiające, śniade oblicze z wielkimi, przypominającymi migdały oczami wykrzywiło się.

Mężczyzna z filuternym uśmiechem zerknął na tyłek kobiety, ukryty pod dwoma warstwami okrycia.

– Co się gapisz?! – Przyjrzała mu się z namysłem.

– Nic tam nie widzę.

– Bardzo śmieszne, Stanisławie – mruknęła. Po chwili jednak parsknęła śmiechem. – W ogóle nie rozumiem, po co to noszę. Zachowujecie się z Alfredem, jakbyście chcieli mnie sprzedać do jakiegoś królewskiego burdelu. Jestem niskiego stanu, a w dodatku mam żydowskie pochodzenie. Nawet jeśli przystroicie mnie w złotogłów i jedwab, to niczego nie zmieni. Z tej poczwarki nigdy nie będzie motyla. Co najwyżej ćma.

– Ta suknia to prezent ode mnie. I pięknie w niej wyglądasz.

– Dopóki się nie odzywam.

– Właśnie. Kiepsko też się ruszasz. Najlepiej umówmy się, że będziesz stała w miejscu i milczała.

Miriam demonstracyjnie ruszyła przed siebie, kręcąc mocno biodrami.

– Tak lepiej? – Obróciła się do niego, akcentując wypowiedź podniesieniem brwi.

Kurozwęcki stał jak wryty.

– Co was tak naprawdę łączy? – zapytał.

– Mnie i ten strój? Cała masa tasiemek.

– Ciebie i Alfreda.

– Zależy, kogo spytasz.

– To znaczy? – rzucił z oschłością, która zaskoczyła jego samego.

Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. Odwzajemnił spojrzenie. Miała zaiste piękne, skośne oczy.

– Alfred powie, że wszystko – odparła. – Ja, że głównie przeszłość.

– To ta historia z Bydgoszczy, tak? Ta, o której nigdy przy mnie nie rozmawiacie?

– Właśnie ta! – zawołała, a potem puściła się wzdłuż krużganków zdobiących skrzydło zamku.

\*\*\*

W pędzie wpadła do zamkowej kuchni, niemal zderzając z jakimś służącym, a potem runęła przez pomieszczenia służby, pogrążoną w ciemności salę i wreszcie, krętymi schodami, docierając w końcu do swojej izby.

Służba posłusznie napaliła w kominku. Ale ze stołu już nie posprzątała – prychnęła Żydówka. Pomieszczenie tonęło w romantycznym półmroku. Spora, pomalowana ciepłymi barwami, ładnie umeblowana izba. W ogromnych oknach odbijał się blask.

Dziewczyna wyciągnęła dłonie do ognia. Na twarzy poczuła żar bijący od słodko pachnących polan.

– Czemu mi uciekłaś? – zapytał od drzwi Stanisław.

– Nie powinieneś tu przychodzić – odparła, patrząc w kierunku mężczyzny. Zmarszczyła brwi.

– Nawet z tym? – Wyciągnął rękę z omszałą butelką. – Sprowadzone przez Bałtyk. Chyba angielskie.

– Dureń – odparła. – Anglia nie leży nad Bałtykiem.

– Wiem, gdzie leży Anglia, głupia – oznajmił ze śmiechem.

Usiadła na łożu z baldachimem. Tajemnicze herby pokrywały ścianki skrzyni i kolumny drewnianego mebla. Zrobiła dla niego miejsce.

– Dziękuję – mruknął.

– Nie masz za co. Długo tu nie zabawisz.

– To może zejdziemy do kuchni? – zapytał, potrząsając butelką. – Jeśli się boisz, że służba zacznie gadać...

Nagrodziła jego słowa wybuchem serdecznego śmiechu. Uspokoila się, ale gdy spojrzała w twarz szlachcica, roześmiała się znowu, jakby nadal nie wierzyła własnym uszom.

Płomienie strzelały w górę, roznosząc iskry.

Miriam spokojnie przeszła się po izbie. Wyciągnęła jedno polano spośród stosu ułożonego pod ścianą. W komnacie pociemniało tylko na chwilę. Potem ogień ogarnął świeżą szczapę i ciemności

zostały pokonane. To jednak nie uspokoiło dziewczyny, nie przestawała więc krążyć po pomieszczeniu. Pod jej zamszowymi trzewikami deski skrzypiały niepokojąco.

– Czego ty ode mnie chcesz, Stanisławie? – zapytała. Zawsze go tak nazywała. Na poły, żeby zeń zakpić, na poły dlatego, że nie znosiła zdrobnienia jego imienia.

– Wpuściłaś mnie – zauważył. – Znaczy to, że cokolwiek chcę, ty się tego nie boisz.

Przyjrzała się mu z namysłem.

– A czemu miałabym się bać?!

Kurozwęcki posłał w jej kierunku nieszczerzy uśmiech.

– Alfred miał rację co do ciebie. Twarda z ciebie sztuka.

Mierzyła go chwilę wzrokiem.

– A jaka mam być? Co, może mam potulnie rozkładać nogi i czekać, aż mi który brzuch przyprawi?!

Czuł, że dziewczyna zaraz wpadnie w złość.

– Pytałam cię o coś. – Sympatia znikła z głosu dziewczyny. Głos Miriam brzmiał twardo, niemal surowo. – Czego ode mnie chcesz?

– To ja chcę ci coś dać – odparł. Parsknęła śmiechem.

– A to dobre. – Uderzyła się w kolano. – Nikt jeszcze nie nazywał tego przy mnie w ten sposób.

Chcesz mi coś dać, powiadasz? Trochę słodkiego kochania, jak mniemam?!

Spłonął rumieńcem.

– Nie. Twojego kamrata, który cię swego czasu do ciemnicy inowrocławskiej zaprowadził.

Nachmurzyła się.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam kontakty, Miriam. Takie, o jakich ci się nie śniło. Mogę ci bardzo pomóc, jeśli tylko się zgodzisz. Świat nie musi być dłużej straszliwym miejscem.

– Bardzo szlachetnie. Do czego zmierzasz?

– Jesteś bardzo nieufna.

– Trochę żyję na tym świecie, kochanieńki. Dziwi mnie, że znasz moją przeszłość. Nie pamiętam, żebym ci się kiedyś zwierzała. Ile właściwie wiesz?

– Przebywając swego czasu w Inowrocławiu, w pewnych, że tak powiem, rodzinnych sprawach, z którymi posłałem zresztą ostatnio Alfreda, miałem szanse dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy.

– A konkretniej nie można? Od kiedy wiesz o Jaśku?

Z dali dobiegło ujadanie, ni to psie, ni wilcze.

– Zresztą nie ma to dla mnie znaczenia – stwierdziła zimno. – Nie dbam o Jasia. To zeszłoroczny śnieg. Daruj sobie.

– Aleś ty zmienna. – Staszek pokręcił głową. – Alfred mówił mi zupełnie coś innego. Twierdził, że obrałabyś tego mężczyznę ze skóry, gdybyś miała okazję.

Miriam przez chwilę nie mogła wydać z siebie głosu. Wpatrywała się w Stanisława osłupiała.

– Won mi stąd – odparła po chwili z lodowatym spokojem.

– Ale...

– Won!!!

– Uspokój się.

– Ani myślę!

Odstawił butelkę i ruszył w kierunku dziewczyny. Odskoczyła pod ścianę.

– Nie dotykaj mnie, ty bękarcie!

Zrobił krok w jej stronę. Oczy mężczyzny świdrowały dziewczynę okrutnie. Wydęta złowrogo warga poruszyła się jak usta ryby.

– Nie śmiej zbliżyć się do mnie – powiedziała zimnym głosem. Wiatr zastukał w okiennice.

– A co, jeśli się zbliżę? – Szedł ku niej z uśmiechem.

– Pożałujesz – syknęła. Już, już podniosła rozczapierzone palce do oczu Kurozwęckiego, gdy on złapał jej rękę. Twarz dziewczyny wykrzywił bolesny grymas.

Wymierzyła mężczyźnie kopniaka w kostkę i wyrwała się. Doskoczyła do stojącego w ciemności stołu. Oparła się o jego blat.

– Tak chcesz to zrobić? – zawołał za nią. – Od tyłu, jak podrzędna kurwa?!

Chwyła do ręki półmisek. W oczach Żydówki palił się ogień piekielny. Po rozpalonych złością policzkach ciekły łzy.

Kolejne, wypełnione resztkami półmiski pofrunęły w kierunku Kurozwęckiego. Wszystkie grzmotnęły o ścianę. Mężczyzna ukrył głowę w ramionach i klęknął jak do modlitwy.

– Wynocha!!!! – wyrzyczała Miriam. – Powinno się was wszystkich na tej samej gałęzi wywiesić, co by wam durne myśli z łbów wywietrzały, bo na stare lata tylko one ostają! O wy, gady jedne!

Staszek wpełzł pod łożę, przy akompaniamencie pękających mis. Podkurczył nogi i szelmowsko się uśmiechnął.

Atak przybrał na sile.

A po chwili się skończył.

– Już ci przeszło? – Kurozwęcki wychynął spod łożka. Ostrożnie podszedł do kolumny baldachimu.

Miriam mierzyła do mężczyzny z kuszy. Był to kawał żelastwa ze zbrojonym strzemiem i wielokrążkiem.

– Skąd masz swoje informacje? – zapytała zimnym głosem.

– Za pasem mam list, który sporządził twój przyjaciel do swego kamrata w Kruszwicy. Wpadł w ręce, zupełnie przypadkiem, jednemu z moich ludzi. Skojarzyłem przezwisko.

– Jasiu – wypowiedzieli jednocześnie.

– Zgadza się. – Kurozwęcki kiwnął głową. – Twój Jaś i jego kamraci planują wykraść jakiś słynny kruszwicki skarb. W liście wspominają o złotym kielichu. Nie bardzo wiem, o co chodzi, a z listu wynika tylko tyle, że zadanie zlecił im stały klient.

Rozległ się grzechot, gdy odłożyła kuszę na stół.

– Pokaż no ten list. – Podeszła, chwytając po drodze butelczynę. Zębami ją odkorkowała i pociągnęła spory łyk. W gardło uderzył słodki smak wina.

Wyszarpnął złożony papier. Stała tak blisko, że aż poczuł zapach jej spoconej skóry.

Co mu przyszło do głowy, naprawdę nie wiedział. Jego dłoń, jakby obdarzona własną wolą, sama sięgnęła pod stan sukni i mocno ścisnęła pierś dziewczyny.

Reakcja Miriam zaskoczyła Staszka. Żydówka uśmiechnęła się tylko i dalej wpatrywała się w kartkę.

– To jego pismo – oznajmiła.

Poczuł mrowienie na karku.

– Podoba ci się? – zapytała zachęcającym głosem. Zerknęła w górę, w oczy szlachcica.

W tej samej chwili usłyszał huk, jakby coś eksplodowało mu prosto w tył głowy. Wszystko zmieniło położenie. Obraz wykrzywił się w jednej osłepiającej sekundzie. Kurozwęcki czuł, że traci panowanie nad własnymi nogami. Dotknął palcami potylicy. Poczuł coś wilgotnego na opuszkach. Nie, nie była to na szczęście krew. Choć łatwo mógł się pomylić.

Dostrzegł denko butelki mknące w jego stronę. W jednej osłepiającej chwili zrozumiał, co się dzieje. W tej samej chwili spowiła go głęboka ciemność. Świat zawirował, w pierś uderzyło twarde klepisko podłogi.

Usiłował wstać, ale nie potrafił odkleić policzka od desek. Znieruchomiał, rozciągnięty na klepkach podłogi, jakby uszło z niego całe życie.

Dziewczyna stanęła nad ofiarą z opuszczoną w ręce butelką. Przechyliła szyjkę do ust. Odjęła butelczynę i zakręciła naczyniem. Niewiele w środku zostało. Większość wylała, ogłuszając Kurozwęckiego. Upuściła przeczytany list. Nie był już potrzebny.

– Szkoda dobrego wina – stwierdziła.

# Rozdział 4

31 stycznia Roku Pańskiego 1509, kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Koronowie

Dwaj mężczyźni – odziany w wams, ostrzyżony prawie do skóry brodaty mieszczanin oraz zakonnik w białym habicie przedzielonym przez czarny szkaplerz, stali w kaplicy trójnawowej bazyliki, wpatrując się w kolebkowe sklepienie i osobliwy fresk zdobiący strop. Była to jedna z wielu kaplic kościoła mieszczących się w bocznych nawach. Lecz ta jedna stanowiła wyjątek. I nie tylko z powodu fresku.

Malowidło przedstawiało ubranego w ogniste szaty starca stojącego w otoczeniu nagich diabłów o kocich twarzach. Oblicze starego człowieka wykrzywiał bardzo sugestywny grymas. Jego usta oraz oczy wypełniały języki płomieni.

Mieszczanin zwrócił szczególną uwagę na obnażone genitalia diabłów. Całość pokrywała ornamentyka kojarząca się z ciemnością i ogniem.

– I co o tym sądzisz, Bałłomieju? – zapytał zakonnik.

– To chyba niezbyt odpowiednie dla kościoła pod takim wezwaniem – odparł Bartłomiej Nieciszewski. – Nie sądzisz, braciszku?

Mikołaj Nieciszewski skrzywił i tak już wykrzywioną, ospowatą twarz. To właśnie za sprawą szpetnego oblicza, do którego dochodziła jeszcze wada wymowy, pomimo dobrego pochodzenia, nigdy nie dochrapał się żadnego wyższego stanowiska w miejscowej kapitule. Lecz zamiast przesłonić oko opaską, zakonnik straszył otoczenie paskudnym, wyglądającym jak rana, pustym oczodołem.

– Tłudno powiedzieć, Bałłomieju – odparł.

– To on, prawda? – Bartłomiej obrzucił spojrzeniem sklepienie kaplicy. To była jego pierwsza wizyta w Koronowie, od czasu gdy stał się podsędkiem inowrocławskim. Czyli od miesiąca. Przez ten czas w bazylice powstawał przedziwny fresk.

– Kto? – Cysters ściągnął brwi.

– Nie zgrywaj głupka. To Mateusz, tak?

Cysters odpowiedział skinieniem głowy.

– Twiełdzi, że wszystko to widział. Przyśniło mu się.

– To niepokojące.

– Jest zdolny – tłumaczył mnich. – I ma wyobłąźnię.

– Z takim pochodzeniem wcale mnie to nie dziwi – oznajmił sędzia.

– O tym także musimy pomówić. Zadaje pytania o matkę. Bałdzo dużo pytań.

Bartłomiej ściągnął brwi i zachmurzył się. Wskazał rząd ław, stojących w obu nawach kościoła i ołtarz główny z kiepskim przedstawieniem maryjnym.

– Przejdźmy się. Opowiedz mi wszystko.

Szli, powoli zbliżając do transeptu. W słabym blasku rozbłysł fryz umieszczony na zewnętrznym ramieniu transeptu. Przedstawiał kolejno Zwiastowanie oraz Pietę.

– Niewiele tego – odparł Mikołaj. – Wypytywał bliaci, aż w końcu ktoś pokazał mu nasze ałchium. Skąd wiedział, o co pytać, nie mam pojęcia.

Bartłomiej raptownie stanął.

– Jak to?! Widział akta sprawy?

– Widział. Niepotrzebnie je tam umieściliśmy.

– Ile wie?

– Dużo. Myślę, że wszystko.

Nieciszewski usiadł w ławie i zasepił się, wpatrując we wspomniki sklepienne z wyrzeźbioną w drewnie dekoracją figuralną. Sylwetki świętych były kanciaste, jakby namalowane na tle szarawego blasku bijącego z okna. Oczy jakiegoś świętego, a może świętej, wydawały się spozierać smutnym, niewidzącym wzrokiem.

– Zaprowadzisz mnie zaraz do niego.

– Ale on wie, że Bartłomiej Nieciszewski sądził jego matkę!

– Ale nie wie, że Bartłomiej Nieciszewski to ja. Postaram się zabrać go z sobą, zanim narobi nam wszystkim kłopotów.

– Gdzie go zabierzesz?

– Do Bydgoszczy. Kościelecki wezwał mnie do miasta.

– Po co?

– A skąd mam wiedzieć? Myślałem, że uwolniłem się już od przeklętej rodziny Kościeleckich. Jak okazało się, nie. W zesłą środę dostałem list.

– I chcesz go zabłać? Tam?

– A czemu nie? – Sędzia przekręcił się w ławie. – Starosta Andrzej nic nie wie. A Mateusz i tak pojedzie tam szukać matki. Wcześniej czy później. Więc lepiej niech jedzie tam ze mną. Będzie myślał, że mu pomagam. A ja mu tylko zmylę trop. Nigdy nic nie znajdzie. Po tygodniu wróci tutaj, ryć na ścianach swoje bohomazy.

Do środka weszło kilku mnichów. Stanęli w progu świątyni, zaskoczeni widokiem gości.

– Zbliża się Godzina Czytań – oznajmił Mikołaj, odwracając się do brata. – Będziemy przeszkadzać.

– Nie będziemy. – Bartłomiej wstał. Naraz jednak stanął i złapał brata za ramię.



– A ten fresk trzeba zamalować. Jest szkaradny.

– Ależ... – zaprotestował zakonnik.

– Bez dyskusji – mruknął sędzia. Wychodząc, minął ciężką, kamienną chrzcielnicę i pozdrowił skinieniem głowy brata Marcina. Zakonnik posunął się bardzo w latach i utył, ale były podstarości bydgoski nie miał większych kłopotów z rozpoznaniem go.

\*\*\*

– To on. – Mikołaj wskazał Bartłomiejowi jednego z zakonników. Młody, na oko dwudziestoletni chłopiec, stał przy pulpicie z nosem w książce. Gdy obok przeszli dwaj bracia, młodzieniec pozdrowił ich szybkim skinieniem dużej w proporcji do chuderlawego ciała głowy. Zdobiły ją rude kędziory. Były tak gęste, że na pierwszy rzut oka w ich kłębowisku całkiem znikła tonsura wygolona na ciemieniu chłopaka.

Podsędek inowrocławski podziękował zdawkowo, po czym przestąpił próg ciasnej czytelnicy. Niby mimochodem zbliżył się, okrążając młodzieńca, i pochylił nad księgą.

Mateusz powiódł zdumionym spojrzeniem za intruzem, lecz po chwili zachowywał się tak, jakby tamtego w ogóle nie było.

– Apokalipsa świętego Jana? To stąd czerpiesz swoje pomysły? – zapytał Bartłomiej.

– Goście nie mają tutaj wstępu – rzucił niegrzecznym szeptem chłopak, nie przerywając czytania.

– Znałem twoją matkę, Mateuszu – oznajmił Niciszewski. Spojrzenia obu mężczyzn zderzyły się.

– Po co tu przyszedłeś? – zapytał bez ogródek młodzieniec.

– Bracia powiedzieli mi, że o nią pytasz. – Bartłomiej splótł palce za plecami. – Mogę ci pomóc dotrzeć do prawdy.

– Co w ten sposób chcesz osiągnąć? – zapytał Mateusz. Sędzia przyznał w duchu, że młody nie jest w ciemnię bity i natychmiast zaśmiał się do tej myśli. Pasowała do tej sytuacji i fryzury Mateusza jak ulał.

– Widziałem twoje freski, młodzieńcze. Zainteresowały mnie. Zafrapowały, że tak powiem.

– Kim ty w ogóle jesteś? – zapytał chłopak. Zmierzył wzrokiem mężczyznę z góry na dół.

– Nie uczą was w klasztorze odrobiny ogłady? – Bartłomiej wzniósł oczy. – Jestem mieszczaninem inowrocławskim. Zwiąż mnie Benko. Znałem twoją matkę, ba, byłem na jej procesie.

– I nie pomogłeś jej?

– To był proces o czary, chłopcze. Nawet biskup by jej nie pomógł. Poza tym zmarła w ciemnicy, zanim doszło do tortur. Widziałem kilka kobiet, które bardzo by chciały się znaleźć w jej skórze, że tak powiem. Jeśli jednak chcesz poznać całą prawdę, musisz się udać ze mną.

– Gdzie?

– Do Bydgoszczy.

\*\*\*

1 lutego Roku Pańskiego 1509, zamek bydgoski

Andrzej Kościelecki przebudził się z koszmarne go snu. Pościel wraz z koszulą nocną skleił zimny pot. Jego krople perliły się na czole mężczyzny. Koszmar był ten sam co zwykle. Katarzyna w spowitych ogniem szatach.

Starosta obrzucił spojrzeniem okno. Było rozwarte na oścież. Baldachimem łoża szarpał lodowaty wiatr. Do środka wpadał śnieg. Kościelecki nie czuł chłodu. Otworzył szeroko oczy. Na poranej zmarszczkami twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zmęczenia.

Poczuł ukłucie podejrzenia. Coś było nie w porządku. Spore, pokryte boazerią, gustownie umeblowane wnętrza tonęły w ciemności. Kafłowy kominek był zimny jak lód. W ogromnej, otwartej szybie nie odbijało się żadne światło.

Zerwał się jak oparzony. Chwycił miecz. Spał z bronią w ręku od tej nocy, gdy gołąb przyniósł mu list z Kruszwicy. Złożony w trzy części papier leżał na komodzie.

*In Nomine Patri, Amen.*

*Najprzeukochańszy mój Panie, posyłam pospiesznie tę epistołę, pokornie o spotkanie błagając. Czasu wiele zmitrężyłam, zastanawiając się, czy znak dawać życia. Lecz miłość ma wielką przemożę i o możliwość ujrzenia Cię błagam. Bóg nas rozdzielił, za co gniew na Niego wielki miałam, jak i na Ciebie, mój Panie, za to, że walki o mnie nie stoczyłeś. Teraz dopiero doniesiono mi, pod jaką wielką rodziną byłeś, Panie, presją. Ofiaruję ci zatem przebaczenie wszelkich win i sama o zmiłowanie proszę.*

*Znajdziesz mnie, Panie, na kruszwickim zamku, gdzie mieszkam, nieznana wszystkim i przed światem się ukrywająca. Przybądź czym prędzej, nie wiem bowiem, jak dużo życia we mnie ostało.*

*Twoja na zawsze*

*Katarzyna*

Zamarł w bezruchu, zastanawiając się nad treścią listu. Z tego co wiedział, Katarzyna zginęła w pożarze. Skąd zatem ten list? Czyżby ktoś usiłował szantażować Kościeleckiego dawno pogrzebanymi sekretami?

Odstawił miecz pod ścianę i przykląkł, zbierając myśli. Krótka modlitwa zawsze oczyszczała umysł pana Andrzeja.

*Bądźcie mi życzliwe o Siły Boskiego Królestwa  
Niech Cześć i Wieczność będą w mej lewej i prawej ręce  
Prowadźcie mnie do dwóch filarów Świątyni, Jakim i Boaz.  
Tak abym mógł wesprzeć się na nich.*

*Aniołowie Netzach i Hod, sprawcie, aby moje stopy mocno stały na Yesod.  
Aniele Gedulach, pociesz mnie. Aniele Geburach – atakuj, jeśli tak musi być.  
Lecz wzmocnij mnie, abym stał się godnym wpływu Tiphereth  
Aniele Binach, obdarz mnie Światłem.*

Na schodach rozległ się łoskot metalowych trzewików. Załomotały drzwi. Po chwili rozwarły się i do środka wpadła straż, oblewając izbę blaskiem ognia pochodni.

- Panie, jest Nieciszewski – oznajmił zbrojny. Zmieszał się, widząc Kościeleckiego na klęczkach.
- Wprowadzić – mruknął, obracając się ku niemu, starosta.

Bartłomiej wniósł do komnaty błoto. Przeciąg spowodował zatrzaśnięcie okna. Mężczyzna rozejrzał się uważnie po ścianach. Wreszcie oczy sędziego spoczęły na staroście. Obaj się zmienili – pomyślał – obaj posunęli się w latach. Ich czoła pokryły zmarszczki, a oczy straciły młodzieńczy wigor. Lecz u bydgoskiego starosty było jeszcze coś. Dziwny, podejrzliwy wyraz oczu świecących jak po długiej chorobie.

- Czy jesteś niezdrów, panie? – zapytał, werbalizując niejako myśl.

Kościelecki mierzył go dalej bez słowa wzrokiem.

– Panie? – powtórzył sędzia. Podeszedł do gustownie rzeźbionego krzesła i zerwał z niego ciemny, mieniący się brokatem płaszcz z wzorzystego adamaszku, po czym nakrył nim plecy Kościeleckiego. Andrzej bez słowa złapał materiał w palce.

- Dostałem list – oznajmił.

– I po to kazałeś mi jechać taki szmat drogi? Nie masz skrybów, którym możesz podyktować odpowiedź?

- Nie o to idzie – starosta wyszeptał przejętym głosem. – To list... Od Katarzyny.

– Ona nie żyje – wysyczał przez zęby sędzia. Nic nie szło po jego myśli.

- Umarli nie piszą listów – zauważył Kościelecki.

– To jakieś bzdury. Idę stąd.

- Poczekaj. Jeszcze nie skończyłem.

– Ale ja tak. Już ci nie służę.

– Masz dług wobec mojej rodziny – odparł nieznośnym sprzeciwu głosem starosta. Zacisnął szczęki, aż zazgrzytały mu zęby. – Siadaj.

– Masz nowego sługusa od czarnej roboty, Piotra z Zagajewic. Poślij po niego.

– Piotr nie dorasta ci do pięt. Poza tym, nie zapominaj, to ty ją sądziłeś. I ty ją wywiozłeś do Kruszwicy.

– I co z tego?! – Bartłomiej wzruszył ramionami. – Widać ogień był jej przeznaczony. Uniknęła go tutaj, w Bydgoszczy, to dopadł ją na kruszwickim zamku.

– Powiedziałem, siadaj! – warknął Kościelecki.

Nieciszewski posłusznie opadł na krzesło.

– A teraz mnie słuchaj. Pojedziesz do Kruszwicy, na zamek. Weźmiesz tuzin zbrojnych ze straży, wraz z kapitanem. Za chwilę po niego pojedziesz. Chcę w cztery oczy omówić z nim plan działania. To Angus, dobry człowiek.

– Myślałem, że ma na imię Carolus.

– Plotzlicha odesłałem. Jest mi potrzebny do bardziej delikatnych misji, gdzie może wykorzystać swoje talenty i... rozmiary. Carolus jest już na miejscu. Posłałem go do Kruszwicy tego samego dnia, gdy wysłałem do ciebie list.

Nieciszewski zacisnął pięści. Nie znosił zadufanego w sobie Niemca. Nie ufał Plotzlichowi. A w skrytości serca bał się reputacji byłego Krzyżaka.

– Po co mam jechać do Kruszwicy?

– Wywołać ducha – odparł bez mrugnięcia Andrzej.

\*\*\*

Kiedy zszedł na dziedziniec zamku, stał tam jedynie okulbaczony siwy ogier, który należał do Bartłomieja. Ślad nie pozostał po bułanej klaczy, na której przyjechał Mateusz.

– Hej! – Złapał za rękaw przechodzącego stajennego chłopca o krzywych zębach i minie przygłupa. Pocerowane łachmany, które nosił na sobie, trudno było nazwać odzieniem. – Był ze mną mnich, cysters. Gdzie się podział?

– Odjechał, panie – odparł parobek. – Ledwo zniknąłeś za drzwiami.

Jedna myśl nasunęła się Nieciszewskiemu prawie od razu. Jediną osobą, która mogła wysłać list i miała motyw, aby go wysyłać, podszywając się pod Katarzynę, był Mateusz. Mateusz, który czytał akt oskarżenia i widział nazwiska przy nim widniejące. Oraz pieczęć podstarościego bydgoskiego, identyczną jak stempel starosty. Może nie domyślał się, że Andrzej Kościelecki jest jego ojcem. Lecz tym gorzej dla Kościeleckiego. To bowiem oznaczało, że chłopak jest tu dla zemsty. Będzie wypytywał o podstarościego Nieciszewskiego, a jedyną osobą wartą zapytania będzie ówczesny starosta.

Nagle przeszły go dreszcze. Zaraz, zaraz... Czy Mikołaj nie wspominał, że mały wie wszystko? Czy

nie mówił, że wypytywał braci o matkę i akta sądowe? A co, jeśli dowiedział się, że Bartłomiej ma w konwencie brata? Co, jeśli od początku zdawał sobie sprawę, z kim rozmawia w bibliotece?

Co, jeśli Bartłomiej wpadł we własne sidła?

Nieciszewski sklął los i spojrzał do góry, na okno. Stał w nim Andrzej Kościelecki. Chyba się uśmiechał. Dureń, pomyślał, nie wie, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad jego głową. Nad naszymi głowami – poprawił się w myślach.

\*\*\*

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytał kapitan Angus od drzwi. Bystre oczy patrzyły wesoło z nijakiej, nieogolonej twarzy.

– Zamknij za sobą – usłyszał z półmroku. W kaflowym kominku płonął ogień, lecz dawał niewiele światła. Kościelecki siedział przy kominku. Połowa głowy, na którą padało światło płomieni, wydawała się czerwona niczym krew.

– Prosiłeś mnie panie w związku z wyjazdem do Kruszwicy? Chcesz, żebym wybrał ludzi?

– Powoli – uspokoił go starosta. – Chcę, żebyś się rozebrał.

Angus nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Bieliznę możesz zostawić – ciągnął starosta. – Mam własną. Dostaniesz płaszcz i równowartość podwójnego żołdu za okres dwóch tygodni. Wystarczy, żebyś siedział w domu i trzymał jadaczkę na kłódkę. Broń Boże nie pokazuj się w karczmach. Za dwa tygodnie powinienem być już z powrotem. W tym czasie sprawami w mieście zajmie się pan Piotr z Zagajewic, więc o nic się nie martw.

\*\*\*

Srebrne brakteaty były na wyczerpaniu, Mateusz wiedział o tym doskonale. Do Koronowa nie miał po co wracać. Obrabowani cystersi wygarbują mu skórę. Pójdzie pod sąd opacki, a zaraz potem pod pręgierz. Ale potrzebował tych monet.

Musiał poznać prawdę. Odkąd sen podpowiedział Mateuszowi, gdzie szukać, chłopak nie ustawał w wysiłkach. Sto razy przeczytał akta procesu. Na początku wyobrażał sobie, jak odszukuje wszystkie osoby, które świadczyły przeciw jego matce. Jak mści się na nich, wszystkich tych Judaszach, aż wreszcie dociera do samego sędziego, Bartłomieja Nieciszewskiego.

Potem przyszło olśnienie. Nazwisko podstarościego, widniejące na dokumencie. Gdy tak długo mieszkasz z kilkunastoma innymi braćmi, po jakimś czasie wiesz o nich wszystko. Nazwisko Nieciszewski nie było młodemu nowicjuszowi całkowicie obce.

Tak więc Mateusz dowiedział się wszystkiego na temat mnicha Mikołaja. Poznał szczegóły jego

kalectwa, historie dotyczące rodziny, wpływów Nieciszewskich w Bydgoszczy. O bracie Mikołaja, zasiadającym przy boku bydgoskiego starosty, dowiedział się na koniec. Lecz cóż to był za koniec! Pan Bartłomiej we własnej osobie odwiedził opactwo i swojego brata-kalekę.

Od lat drażyły Mateusza te same pytania. Czy jego matka była czarownicą? Czy to przez nią nawiedzają młodego mnicha te wszystkie koszmary? Czy spłonęła na stosie? Akt sądowy nie wspominał nic na temat wyników rozprawy ani ewentualnego skazania Katarzyny Kucharczykowej. Sam fakt, że dokument przebywał w bibliotece opactwa, wśród wielu zwartych pism, kodeksów i przywilejów, wydawał się bardzo osobliwy. Wyrwany z kontekstu, niemający początku ani zakończenia akt, opatrzony pieczęcią i podpisami osób tak bardzo przekonanych o własnej racji.

Dziś się wszystkiego dowie, obiecał sobie, stojąc przed drzwiami chaty byłego pisarza sądowego, niejakiego Mikołaja. Skryba Mikołaj rozповідаł ludziom po karczmach niestworzone historie o uratowanej od stosu rudowłosej wiedźmie.

Był jeszcze jeden powód, żeby mu wierzyć. Jego podpis widniał na akcie oskarżenia. I choć mogła być to przypadkowa zbieżność, Mateusz w nią nie wierzył. Nie ma czegoś takiego jak przypadki, pomyślał. Wszystkim rządzi Opatrzność Boska.

Ostatnie monety zabrali mu w Bydgoszczy. Rodzina, która znała Mikołaja, wskazała Mateuszowi ów adres. Kazali Mateuszowi uważać. Bratem skryby był strażnik miejski, wielki awanturnik i zakała.

Od początku im nie ufał. Małomówni, smagli i szpetni Niemcy cuchnęli jak rzeźnicy, a język, którym się posługiwali, był wulgarny i twardy. Nie znosił Szwabów. Wszyscy byli tacy sami. Chciwi i podejrzliwi. Gorszi nawet od Żydów.

Zapukał raz, drugi. Potem wszedł do środka. Z paleniska na ściany chaty padały dzikie, czerwone cienie. Przypominały pręgi krwi. Z żelaznego kociołka zawieszzonego na długim łańcuchu umieszczonym gdzieś nad paleniskiem dobywała się ciężka woń, przez którą w chałupie panował zaduch. Strawa, zdaje się potrawka z królika, bulgotała w kociołku, a dym sprawiał, że wkoło wszystko wydawało się jakieś niewyraźne, jakby Mateusz spozierał przez mydliny. Z dachu zwisały na hakach kawałki wędzonki i jakieś zioła.

Naprzeciw cystersa, na wymoszczonym sianem barłogu, leżał z założonymi za głowę, włochatymi ramionami barczysty mężczyzna, zapewne strażnik, o którym mówili sąsiedzi.

Po pisarzu nie było ani śladu. Mateusz podszedł do stołu, wziął do ręki pusty dzban po piwie i z rozmysłem uderzył denkiem o stół.

Mężczyzna zerwał się, sięgając po nóż.

– A ty czego?! – Skrzywił się, odsłaniając szpary między zębami.

– Gdzie Mikołaj? – zapytał Mateusz, ukrywając strach.

– A bo ja wiem? Nie wrócił jeszcze z dziwek. Czego chcesz od mojego brata?

– Informacji. Chodzi mi o rudowłosą wiedźmę.

– O Kasię – poprawił go mężczyzna. Mówił z twardym akcentem. Jego przetłuszczone, zaczesane do góry włosy przypominały kolorem futro szczura.

– Wiesz, o kim mówię? – zapytał cysters.

Dryblas usiadł i parsknął pod nosem.

– Tak się składa, że wiem. Rozmawiasz z człowiekiem, który widział ją ostatni. – Rozmasował ręką kark. – Mikołaj był w tamtym czasie pisarzem sądowym, a ja już służyłem w straży. Wraz z kilkoma innymi strażnikami wyprowadziliśmy ją z ciemnicy. Potem odjechała.

– Gdzie?

– To pytanie wymaga monet. Bardzo wielu monet. Bardzo błyszczących.

– A jeśli je mam? – Mateusz spuścił wzrok. Nienawidził kłamać.

– W takim razie – kafar odłożył nóż – dostaniesz swoje odpowiedzi. Bo tak się składa, że wiem dokładnie, z kim i gdzie odjechała.

Oczy chłopaka rozbłysły. Podszedł do mężczyzny, kątem oka zerkając na ostrze noża. Miał wrażenie, że po jego powierzchni przemykają płomienie piekielne.

\*\*\*

1 lutego Roku Pańskiego 1509, majątek Kurozwęckich w Baranowie Sandomierskim

Obraz przed oczami Stanisława Kurozwęckiego wirował. Słyszał nad głową krakanie setek wron. Z trudem i wysiłkiem poderwał się w górę. Usiłował przyciągnąć do siebie prawą rękę. Okazało się, że jest przywiązana z tyłu pleców razem z lewą. Poczuł, że traci równowagę i z łoskotem zwałił się na łokieć. Krzyknął głośno z bólu.

Pierwsze co zobaczył po przebudzeniu to męska sylwetka, stojąca przy splukanym światłem oknie. Nieznajomy czytał list.

Kształty drzew za oknem topiły się w blasku stojącej na stoliku świecy.

– Jak się czujesz? – usłyszał jakby z oddali. Poczuł pod plecami miękkie poślanie łóżka.

– Jestem związany – zauważył Kurozwęcki. W myślach przeklął tę małą, wstrętą Żydówkę. Szarpnął powrozy. Na nic. Jakie jeszcze talenty miała?

– Jak poleć mięsa – odparł mężczyzna. Po głosie rozpoznał Alfreda.

– No to mnie do diaska rozwiąż! – zawył. – Co to ma znaczyć?

– To ja pytam: Co to ma znaczyć! – Niemiec podszedł do łóżka, pokazując Staszce list. – Co to jest? I kim jest Jaś?

– Niewiele pamiętam. – Więzień pokręcił głową. – Chyba... Chyba ją porwali. Mężczyźni. Trzech. Nie. Czterech.

– Ci od listu?

Kurozwęcki kiwnął głową.

– I pewnie byli wielcy jak stodoła?

Kolejne kiwnięcie.

– A to dziwne, bo służba nikogo nie widziała.

– Byli bardzo cisi.

– Widzę, że byli – odparł Ostenwald, spoglądając na klepisko podłogi. Kopnął butelczynę i uśmiechem skwitował plamy po czerwonym winie. – Dobra. Daleko nie uszli. Pojadę ich śladem. Ty tu siedź i nie ruszaj się.

– Hej! Rozwiąż mnie! – zawołał Kurozwęcki, widząc, że Alfred zmierza do drzwi. Zauważył siniaka na policzku byłego legata.

– Powiem parobkom, żeby cię odwiązali. I niech ci przyłożą zimne mięso do skroni. Masz paskudnego guza. Wygląda gorzej niż mój.



# Księga trzecia: Płomień zemsty

# Rozdział 5

3 lutego Roku Pańskiego 1509, Kruszwica

Jan Oporowski westchnął nieoczekiwanie. Spoglądał na czerniejącą w oddali ścianę zamku w Kruszwicy. Widoczny z trójkątnego, umieszczonego w rozwidleniu dróg rynku mur budowli przeglądał się w wodzie Gopła. Przeprawa mostowa wiodąca stąd na zamek uległa zalaniu.

Nawet teraz, w świetle zachodzącego zimowego słońca, masywny budynek, położony na Wyspie Rzępowskiej, oddzielony od miasta wodami jeziora, napawał starostę kruszwickiego dreszczem. Przekłete miejsce – pomyślał – raz jeszcze wyrzucając w sercu braciom, że tak po prostu pozostawili pamięć o ojcu, żeby powoli szezła. Jak mogli nic nie uczynić w sprawie tajemniczego pożaru? Wypadek czy nie, pochłonął zamek wraz z ojcem. Dobrze, że matka tego nie doczekała.

No i była jeszcze kwestia złota. Skarbu, który zaginął po pożarze. Jan z Oporowa zabrał swój sekret do grobu. Ale złoto przecież nie wyparowało.

Usłyszał skrzypienie drzwi, w które dmuchał cuchnący wilgocią i błotem wiatr. Przez chwilę dobiegła uszu Jana cicha kołysanka, śpiewana kobiecym głosem.

*Hen przed wiekami,  
przed dawnymi  
szumiały puszcze  
w polskiej ziemi.*

*W tych puszczech  
wielkich, pięknych, dzikich  
żyły niedźwiedzie, łosie, dziki.*

Powinien wrócić na zamek. Przywilej goszczenia był może wygodnym prawem, lecz chata do wygodnych z pewnością nie należała. Kryty spadzistym dachem, zrębowy dom, jak większość okolicznych, stojących w pewnym rozproszeniu domostw, napierał na krętą, zabłoconą i pożłobioną koleinami ulicę, z której rozpościerał się widok na dziką i osobliwą krainę pełną bagien i podmokłych łąk. Oporowski zerknął na spadzisty dach mieszczącego się w północno-wschodniej pierzei rynku kościoła świętego Klemensa. Wciągnął w nozdrza zapach wilgoci, pomieszany ze swądem ogniska dymarskiego z pobliskiej kuźni.

Może siedzący w stodole żołnierze Oporowskiego czuli się jak u siebie, lecz Jan nie był przyzwyczajony do twardych barłogów i cierpkiego smaku wina. I pomyśleć, że Kruszwica dostała

prawo miejskie! Ci ludzie tutaj niewiele się różnili od łączyckich chłopów. Prawda, część z nich trudniła się kupiectwem, ale kontakty kmieci nie wychodziły poza Inowrocław, Radziejów, a najdalej Włocławek. Rozbudowana sieć mostów i przepraw świadczyła o możliwościach miasta, lecz od lat możliwości tych nie wykorzystywano.

Przez ostatnie dziesięć lat miasto całkowicie podupadło. Wyludnione i zrujnowane, straszło przyjezdnych pustymi oknami, popękkanymi progami, i zapadniętymi strzechami omszałych, wynędzniałych domostw, a dym, mimo ostrego mrozu, unosił się już tylko nad nielicznymi, kruszejącymi kominami. Część zabudowań strawił wielki pożar, który wybuchł kilka lat temu. Domów nigdy nie odbudowano, mimo królewskiej pomocy i znacznych ulg dla pogorzalców.

Nawet cło pobierano na kruszwickim moście rzadko i jakby od niechcenia.

Czemu nie wróciłem tu wcześniej? – pytał sam siebie. Jan porzucił życie duchownego w 1504, gdy nie otrzymał kanonii gnieźnieńskiej, obiecaniej przez samego papieża. Wkrótce odziedziczył Oporowo i wszystkie inne rodzinne majątki. Dwa lata temu stał się kasztelanem kruszwickim, od roku był miejscowym starostą.

Nagle zeszywniał. W obrysie niskich drzwi spostrzegł zarys jakiejś sylwetki. Poczował natarczywy wzrok.

– Pochwalony – usłyszał syknięcie. Światło rozbłysło na ostrzu sztyletu. Mężczyzna obrzucił Jana świdrującym wzrokiem i błysnął zębami.

– Tylko spokojnie – rzekł Oporowski, cofając się. Spojrzał na ostrze, a potem w twarz przybysza. Nieznajomy ukrywał oblicze pod kapturem, a ciało w przylegającym ciemnym kaftanie. Jediną ozdobę zabójcy stanowił dyndający na szyi medalion z dziwnym symbolem. Oporowski na ugiętych nogach, oczekiwał ataku.

Ten nastąpił błyskawicznie. Ostrze przecięło powietrze. Jan zszedł z linii ciosu.

– Upuszczę ci zaraz krwi, klecho – warknął skrytobójca.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś. – Oporowski cofnął się jeszcze.

– Nie kpij!

Starosta wyszarpnął miecz. W tym samym momencie dłoń zabójcy zacisnęła się na ręce trzymającej broń. Szarpnął, ale miecz upadł w błoto. Ma krzepę – pomyślał Jan. Może i był chudy, ale mięśnie i żyły czuło się przez tkaninę rękawa. W dłoni mężczyzny rozbłysł przystawiony do gardła starosty lewak.

– Adonai, przyjmij moją ofiarę... – wychrypiął pełnym napięcia głosem.

W chwili gdy zamierzał ciąć, nadbiegli żołnierze. Większość w samych portkach, z mieczami i tarczami pokrytymi emblematem czarnego orła.

Skrytobójca odwrócił się, Oporowski usiłował chwycić mężczyznę za gardło. Nieznajomy wyrwał się. Palce Jana zdołały zamknąć się na naszyjniku i zerwać wisior.

Mężczyzna runął do ucieczki. Okrążając studnię, zmylił ścigającego go zbrojnego. Jeden z żołnierzy napiął łuk.

– Ustrzel, gada jednego! – warknął Oporowski. Strzała świsnęła, wbijając się w ramię zabójcy. Lecz nie zatrzymała ucieczki.

– Siodłać konie! – zawołał wójt, wychylając potarganą głowę z chaty. Wszystko pewnie słyszał, tchórz jeden, i siedział w środku, zamiast ratować starostę.

– Nic ci nie jest, panie?! – Do Oporowskiego dopadł zziębnięty dowódca zbrojnych.

– Dzięki wam, nie – mruknął starosta, przytrzymując krwawiącą szyję. – Drasnął mnie tylko, bydlak jeden.

– Co to jest? – Żołnierz wskazał mieczem medalion.

Wisior miał postać okrągłego krążka srebra, wypełnionego falującą, wieloramienną ni to sylwetką zwierzęcia, ni to literą.

– Nie znam się na tym za bardzo. – Jan zbliżył wisior do oczu. – Ale wygląda mi to chyba na hebrajską literę albo cyfrę.

Nadbiegli żołnierze.

– Umknął, panie. Pobiegł w trzciny i tyleśmy go widzieli. Miał zdaje się konia.

– No i ciemno było – dodał drugi.

– Mieszkają w Kruszwicy jacyś Żydzi? – zignorował zbrojnych Oporowski, kierując swe pytanie do wójta.

– Jest jeden Dawid. Prowadzi karczmę.

– Dyskretnie go tu ściągnijcie. Zadamy mu kilka pytań.

\*\*\*

6 lutego Roku Pańskiego 1509, okolice Gopła

Gdy Miriam zbliżała się do starego, opuszczonego wiatraka, stojącego w otoczeniu opuszczonych domostw nad wschodnim brzegiem Gopła, natychmiast odczuła dziwną aurę. Aurę śmierci. Nie zatrzymało jej złe przeczucie. W wiatraku ukrywał się Jasiu i jego złodziejska szajka. Tak przynajmniej twierdził prowadzący karczmę Żyd Dawid.

W dali zabrzmiały dzwony kościoła świętego Gotarda. Bliżej, od strony kruszwickiej wsi, zapiał kur. Obnażone słońcem ściany budynku odsłoniły pręgi krwi. Zsiadła z konia i rozglądała się czujnie,

węsząc. Nie było tu nikogo. A przynajmniej nikogo żywego. Tylko natarczywość ciszy, osobliwie kontrastująca z promieniami zimnego, lutowego słońca, padającymi na policzek dziewczyny. Cisza dawała ponure świadectwo czyjejś gwałtownej śmierci. Miriam dobyła miecza, pozostawiając kuszę przytroczoną do siodła. Poprowadziła konia za sobą, obchodząc budynek z obnażoną bronią w dłoni. Jej spojrzenie natrafiło na uchylone drzwi, nad którymi obracało się wte i wewte poruszane wiatrem ramię wiatraka.

Budynek od dawna był ruiną. Skrzydła zwisały nad podmokłą łąką, pokryte jakimś glonowatym słońcem, a podziurawiony dach na pewno przeciekał. Wrażenie zaniedbania jeszcze bardziej pogłębiała piękna, bezchmurna pogoda, z oświetlającym ten spokojny zakątek niedającym ciepła słońcem.

Schowała miecz do pochwy, zamknęła oczy i przytuliła dłoń do końskiej szyi. Westchnęła głośno. Mróz zakuł ją w policzki. Podróżny kaftan i zapinany na guziki kaptur oraz mocne, skórzane spodnie do końskiej jazdy chroniły resztę ciała przed chłodem. Na dłoniach nosiła rękawice, a na stopach wysokie, choć nie w jej rozmiarze, męskie buty.

Pierwsze ciało znalazła na progu. Widać, że mężczyzna uciekał czy raczej próbował dowlec się do progu. To przez jego ramię drzwi nie mogły się zamknąć, tylko uderzały go w głowę, targane wiatrem, powiększając wciąż ranę na niekrwawiącej już głowie.

Oblicze drugiego mężczyzny wykrzywiał wyraz nieludzkiego strachu. Paznokcie miał wyrwane, oczy wydłubane, nos zmiażdżony. Jego wnętrzności walały się rozwleczone po podwórku. Krew oblała czerwonymi pręgami ścianę i drzwi wiatraka.

Czuła, że na zawsze zapamięta te oczy. I usta, broczące krwią z wyrwanych siłą zębów. Obcegi, którymi zrobiono te i jeszcze wiele gorszych rzeczy, leżały opodal.

Żaden z trupów nie był Jasiem.

– Jak ci się podoba? – usłyszała. Gdy odwróciła głowę, zobaczyła stojącego za jej plecami mężczyznę. Miał na głowie wiązany pod pachami kaptur, pod nim ciemny surcot i pas obciążony mieczem. Jego podkrążone, brązowe oczy patrzyły każde w inną stronę, a pełne policzki znaczyły ślady po przebytej ospie.

– To twoje dzieło? – zapytała, starając się opanować drżenie głosu.

– Skądże znowu – odparł sucho. – Wykończył ich alchemik.

– Kto?

– Mężczyzna, który nas wynajął.

– Was? – Spojrzała dokoła. – Należałeś do szajki?

Odsłonił kaptur, pokazując jej czerwony, zabliźniony ślad po odciętym uchu.

– Ale z ciebie szelma bez ucha. – Dziewczyna gwizdnęła.

– Pamiątka po Ziemi Dobrzyńskiej. I Krzyżakach.

– Gdzie jest Jasiu? – zapytała prosto z mostu. – I dlaczego ty żyjesz, gdy oni... Wszyscy...

– Ma to ze sobą związek – odparł. – Jasiu nas wydał. Powiedział alchemikowi, gdzie nas znaleźć.

A mnie alchemik oszczędził, ze względu na starą zażyłość.

– Jaką znowu zażyłość? – Żydówka ściągnęła brwi. Podciągnęła pas, żeby mieć miecz w pogotowiu.

– I co to za alchemik?

– Mieszka w Mysiej Wieży. Niektórzy twierdzą, że jest duchem. Że zginął wraz z resztą w pożarze w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym czwartym roku.

– Pożarze? Jakim pożarze?

– Tym samym, który wywołał. Według legend przywołał samego Lucyfera i cały zamek spłonął doszczętnie. Tej nocy zginął starosta kruszwicki, Jan z Oporowa i jeszcze kilka osób. A alchemik, pokutując za swoje winy, nawiedza Mysią Wieżę, gdzie ongiś mieszkał i odprawiał swoje szatańskie rytuały. Ale to tylko ludowe klechdy. Ja wiem lepiej. Pamiętam alchemika i zadanie, które mi i moim kamratom wyznaczył.

– Zadanie? Jakie zadanie?

– Kazał mi ukraść kielich, służący do odprawiania mszy w kościele świętego Wita. Co razem z trzema towarzyszami uczyniłem. Dziś z całej trójki żyję tylko ja. Do mnie też się zwrócił, kiedy pojawił się znowu w Kruszwicy. I znowu chodziło mu o to samo.

– Kielich?

– Zgadza się. Ktoś wyniósł go po pożarze z wieży.

– I ten sam alchemik odnalazł was i zrobił te wszystkie straszne rzeczy?

– Pomógł mu Jasio. Oczywiście zdobyliśmy kielich dla alchemika. Lecz po odzyskaniu go zależało mu na czymś jeszczej. Chciał, żeby jego działania pozostały w tajemnicy. Dlatego uczynił te wszystkie, jak to określiłaś, „straszne rzeczy”. Ponieważ znamy jego największy sekret.

Miriam przez moment namyślała się. Wreszcie sięgnęła po miecz.

– Kłamiesz jak z nut – oznajmiła.

– Ja kłamię? – rzucił mężczyzna głosem, w którym faktycznie pobrzmiwała fałszywa nuta.

– Znam Jasia. To nie w jego stylu. Nie... to.

Wskazała sztychem miecza jedno z ciał.

– Poza tym powiedziałeś, że zostałeś tylko ty z czwórki złodziei, którzy ukradli kielich przed laty. Ty ich zabiłeś. Tak samo tych tutaj. Pewnie za pierwszym, jak i za drugim razem alchemik, czy jak go tam zwali, zapłacił wam, a ty nie chciałeś się dzielić. Lecz Jasiu był dla ciebie po prostu za cwany i dał

drapaką, gdy wyczuł, co w trawie piszczy.

– Ach, ty... – Parsknął z uciechy, po czym sam sięgnął po miecz. – A mogliśmy się najpierw zabawić, zanim z tobą skończę.

Zmierzyła mężczyznę wzrokiem z góry na dół.

– A w lustro ostatnio spojrzales? O co ja pytam, nawet jak spojrzales, pewnie nic nie zobaczyles z tym zezem.

Przez chwilę obchodzili się wkoło. W końcu mężczyzna skoczył ku dziewczynie, wydając z siebie dziki krzyk. Odsunęła się, a brzeszczot sieknął korzeń. Gdyby nie refleks, byłaby to dłoń Żydówki. Miriam odebrała kilka cięć na ostrze, wprawnie manewrując i obracając klingą. Brzeszczoty całowały się, donośnie brzęcząc. Żydówka cały czas się cofała, usiłując wyczuć słabe strony przeciwnika.

Wreszcie oparła się plecami o ścianę wiatraka. Wymanewrowała, nie spuszczając oka z wirującego ostrza przeciwnika. W końcu ścięła się mocno z napastnikiem. Chwyciła mężczyznę za rękę, próbując go pchnąć na ścianę budynku. Lecz nieznajomy był silniejszy. Odepchnął Miriam. Dziewczyna zatoczyła się. W tej samej chwili poczuła, że jej stopa w coś grzęźnie. Palce u nogi natrafiły na przeszkodę i zgięły się w bucie pod nienaturalnym kątem. Miriam straciła równowagę i zawisła w powietrzu, a potem uderzyła z impetem barkiem o twardą ziemię.

Mężczyzna w jednej chwili zaatakował. Miecze brzdęknęły i natychmiast się rozłączyły. Bron Miriam upadła z łoskotem na ziemię.

Usłyszała, jak bandyta podchodzi.

– To już koniec, skarbie. – Kopnął leżący na ziemi miecz.

Zamachnął się znad głowy. Miecz zatrzymał się tak blisko, że Żydówka niemalże poczuła jego zimno. Zwarła mocno powieki. Coś świsnęło obok, zbijając mordercę z nóg.

Miriam obróciła się. Nad brzegiem Gopła stała postać w ciemnym płaszczu, z kapturem na głowie. Cały jej obrys emanował odbijającym się w wodzie blaskiem słońca. Nieznajomy trzymał w ręku ciężką kuszę, należącą do Miriam.

– Ktoś ty?! – zawołała Żydówka, osłaniając oczy rozcapierzonymi palcami. Lecz postać opuściła kuszę i wycofała się, znikając wśród sitowia. Tylko cichy, przypominający szloch szum wody towarzyszący jej krokom rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę.

Miriam została sama, z trzema rozciągniętymi na ziemi trupami.

\*\*\*

6 lutego Roku Pańskiego 1509, okolice Gopła

Staszek był kłamcą, co do tego faktu Alfred Ostenwald nie miał żadnych wątpliwości. Na drodze

wiodącej z Baranowa Niemiec odnalazł ślady tylko jednego konia. Parobkowie wypytni w okolicznych wsiach widzieli dziewczynę gnającą konno polami, ale żaden nie wiedział na pewno, czy Miriam była sama.

Ostenwald zgubił trop po przejechaniu dobrej mili, zatem udał się po prostu w stronę Kruszwicy. Popenił wielki bład, że przed wyjazdem z Baranowa nie zmienił konia, lecz wyjeżdżając, był święcie przekonany, że pościg długo nie potrwa. Tymczasem musiał się udać tropem pozostawionym w liście.

Koń, wymieniony podczas powrotu z Kujaw, w Kielcach, padł prawie z wycieńczenia w jednej z wsi. W ten sposób Ostenwald przebył część drogi pieszo i zmitrężył mnóstwo czasu. Nowego wierzchowca nabył dopiero pod Łodzią.

Alfred miał do siebie uzasadnione pretensje. Powinien był pomyśleć. Mało, że przebył część drogi na nogach, prowadząc zgrzane zwierzę, to jeszcze po kilku męczących dniach w siodle bolały go wszystkie gnaty. Dwa tygodnie w kulbace! I w dodatku, jeżdżąc po Kujawach w te i nazad. To więcej, niż mógł znieść jeden podróżny. Ale Alfred miał charakter. A przynajmniej to powtarzał sobie w duchu za każdym razem, gdy siodło boleśnie wpijało się w krocze.

Jezioro Gopło wydawało się nie mieć końca. Otaczały je od południa wyniosłe drzewa, czarne olsze, wierzby i ciche, sędziwe topole. Dalej wznosiła się sylwetka zamku ze zdającą się nie pasować do reszty zabudowań ogromną wieżą stołbu. Znaną z dzieła Galla Anonima i innych kronik Mysią Wieżą. Pod zamkiem, rozdzielone wodami Gopła, przycupnęło małe miasto, z dwoma spadzistymi dachami należącymi do kościołów.

Nie znalazł łodzi w miejscu, gdzie trakt wiódł w kierunku przeprawy na Gople. Most był całkiem zalany. Alfred powiódł wierzchowca wzdłuż linii brzegowej. Może nie była to jedyna przeprawa? Ruszył na wschód, wzdłuż jeziora. Dostrzegł kawałek od traktu jakiejś tratwy czy może barki. Nad powierzchnią wody unosiła się mgła, czyniąc powietrze mało przejrzystym.

Alfred rozejrzał się. Dziwne to było miejsce. Woda szumiała, przelewając się monotennie. Przewoźnik, stojący nad brzegiem jeziora, był zaledwie wpół widzialnym cieniem na tle wilgotnej szarości.

Rozległo się ciche parskanie konia. Dopiero gdy było za późno, Alfred zauważył, że przy tratwie, ukryci wśród drzew, stoją jacyś zbrojni. Mężczyźni także spostrzegli Niemca, kiedy konie zwietrzyły się nawzajem.

– Ktoś ty? – usłyszał. Ośmiu mężczyzn, sądząc z wyglądu pod bronią, w tym jeden ogromny. Pomiedzy nimi dziewczyna albo chudy chłopak. Trudno było poznać, bo głowę okrywał kaptur.

– Spokojnie. – Alfred wyciągnął rękę. – Też chcę się przeprowić przez jezioro.

Zauważył kątem oka, że dziewczyna, zapewne zakładnik, poruszyła się raptownie, jakby zamierzała się wyrwać ze szponów zbrojnych. Przy okazji okazało się, że to, co Ostenwald wziął za kaptur, było



zwykłym, narzuconym na głowę workiem.

– Co zrobiła? – zapytał. W stronę Alfreda ruszył potężny mężczyzna. Dzwoniąc ostrogami, zrównał się z Niemcem. Niemiec westchnął, rozpoznając starą szramę biegnącą nad lewą brwią znajomego mężczyzny. Blizna dotykała przyciętych do skóry, siwych włosów. Ciężkie, pamiętające wiele bijatyk i potyczek oblicze przeciął suchy grymas, mający prawdopodobnie uchodzić za uśmiech. Carolus Plotzlich nie nosił na sobie pełnej zbroi, jak podczas ostatniego spotkania. Zastąpił ją podróżnym kaftanem, pokrytym przez grube ćwieki, na który narzucił wyłożone sierścią do ciała futro. Tylko metalowe trzewiki i nogawice brzęczały na nogach. Reszta blach jechała na dereszowatym luzaku, z tyłu.

Czarne rękawice zamknęły się na gałce miecza. Drugi, większy miecz podzwaniał na masywnych plecach. Ubłocone buty ślizgały się w glinie, odklejając z głośnym cmokaniem.

– Kogo widzą moje piękne oczy? – Zmierzył Alfreda spod przerażających, zrosniętych brwi. – Byłem pewny, że ktoś cię do tego czasu ubił.

– Rozczarowany? – rzucił przez zęby Niemiec.

– Bynajmniej, legacie – odparł z zadowoleniem Carolus. – Więcej ludzi twojego pokroju to więcej roboty dla mnie. Ale, ale...

Rozejrzał się.

– Gdzie ta zgrabna Żydóweczka? Puściła cię kantem, co?

– Myślałem, że ty mi powiesz... – Wskazał sylwetkę z workiem na głowie. Choć szczerze wątpił, że to Miriam. Szaty, które miał na sobie człowiek, wyglądały jak habit. Przedzielona czarnym szkaplerzem, zszarzała biel szaty wskazywała na cystersa lub dominikanina. Dłonie więźnia były z całą pewnością skrepowane, a koniec powroza trzymał mocno w karwaszu jeden z siedzących w kulbace żołnierzy. Alfred zauważył czerwień szat ukrytych pod wypranymi płaszczami.

– Ciagle u Kościeleckiego?

– Zgadza się. – Plotzlich ściągnął brwi. – To więzień pana Andrzeja.

– Myślałem, że pójdziesz po rozum do głowy i zmienisz pana.

– Cóż ci powiem. – Carolus wzruszył ramionami. – Ma w piwniczce dobre piwo.

– Co uczynił? – Alfred raz jeszcze popatrzył w stronę jeńca. Z budowy wyczytywał, że wbrew wcześniejszej opinii ma przed sobą mężczyznę.

– Zapytaj, czego nie uczynił – mruknął cicho Plotzlich. – Ten szelma napisał do pana Andrzeja list z pogrożkami, podszywając się pod kogoś innego. Chciał wciągnąć starostę w pułapkę.

– Muszę znowu odwiedzić Bydgoszcz, skoro ścigacie teraz za pisanie listów. Musi to być bardzo spokojne miasto. Albo mam lepszy pomysł. Sam coś skleczę, żebyśmy jak za starych, dobrych czasów mogli się trochę poganiać w kółko.

– Nie drwij sobie – oznajmił na tę samą modłę Carolus. – To poważna sprawa. Chłopak jest obłąkany. Twierdzi, że ognisty anioł kazał mu tu przyjechać. To uciekinier z koronowskiego konwentu cystersów, gdzie także niezłe narozrabiał. Pan Nieciszewski dobrze zna jego sprawę. Ukrywał się w okolicznym gospodarstwie. Chłop z Łagiewnik przyjął nicponia z dobrego serca, myśląc, że ma do czynienia z prawym i bogobojnym zakonikiem. Nie spodziewał się, jakiego to zbira wziął pod swój dach. Dopiero my wyprowadziliśmy go z błędu.

Alfred poczuł cień podejrzenia. Po co Carolus gnał taki szmat drogi? I to dla jakiegoś zbiega? Nie, to się nie trzymało kupy.

Zwrócił wierzchowca w stronę tratwy. Na razie wolał zachować milczenie na temat swoich podejrzeń.

– Pomieścimy się? – spytał. – Muszę się dostać do Kruszwicy.

Plotzlich wzruszył ogromnymi ramionami.

– My zdążamy na wyspę. Gopło wystąpiło z brzegów i zalało okolicę – zauważył Carolus. – Nie płyniemy do miasta.

– Ja także – odparł bez mrugnięcia Alfred. Dobrze było rzucić okiem na ruiny zamku.

– W takim razie popłyniesz z nami. Choć może będą potrzebne dwie tury.

\*\*\*

– Wraca Carolus, widziałem go ze zbrojnymi na drodze! – zawołał strażnik Kacper, wpadając do gospody. Mieszcząca się w pewnej odległości od zamku gospoda była pierwotnie zapleczem dla drewnianego grodu i mocno podupadła, odkąd jezioro zaczęło wylewać, powodując, że ludność umknęła do ośrodka lokacyjnego poza granicami wyspy.

Żołnierz zerwał z głowy barbutę, odsłaniając zwichrzone włosy i ślady po ospie na czerstwej twarzy, po czym cisnął hełm w diabły. Zatoczył się od ławy do ławy. Zaklął siarczyście.

W karczmie brakło stołów. Nigdy nie było ich za wiele, a teraz do tuzina zbrojnych przebywających już od bez mała tygodnia w mieście dołączył tuzin kolejnych.

Andrzej Kościelecki, w przebraniu kapitana straży, chwycił z ławy litrowy kufel spienionego piwa. Nie ściągał wyciętego w szachownicę kaptura z głowy, nawet w pomieszczeniu. Twierdził, że przeiębił uszy. Lecz Nieciszewski już coś podejrzewał. Nawet teraz siedział z założonymi na stół nogami, wyciągnięty jak jakiś pan przy oknie, i świdrował ukrytego w ciemności przeciwległego kąta starostę.

Oszust wzniosł kufel, oblizując się ze smakiem, i przechylił z zamkniętymi oczami, pozwalając, żeby piana poląła się po policzkach.

Trzej żołnierze byli już całkiem pijani, lecz gdy odgrywając rolę Angusa, starosta zaczął mężczyzn

łajając, Bartłomiej uspokoił go wzniesioną ręką.

– Niech piją – rzekł. – I tak nie mamy tu nic do roboty.

Szelma – pomyślał Kościelecki. – Myśli, że jest na wakacjach. Lecz tak po prawdzie nic nie mógł na razie uczynić. Musiał poczekać, aż Carolus wróci z chłopakiem. O ile informator nie kłamał.

Jeden z pijaków spadł pod stół. Nieciszewski zmierzył mężczyznę ponurym spojrzeniem i nic nie powiedział. Silne dwie pary rąk zaraz postawiły żołnierza na nogi. Cała gospoda ryknęła śmiechem.

Dobre miejsce – pomyślał w duchu Andrzej. Ciemność tylko trochę ustępowała przed światłem, jakie dawały rude płomienie ogniska. Dobrze, że spędzali tu tak wiele czasu. Trudno było cokolwiek dojrzeć w oświetlonym potężnym kominkiem piwnicznym pomieszczeniu. Mrok zalegał pod niskim, beczułkowanym stropem kolebkowego sklepienia.

– Nie padaj mi tu, Jaromirze! – Jedna ze służących, otyłe dziewczę z ogromnym biustem, ledwo utrzymywanym przez niedbale zasznurowany stan, potargała głowę pijaczyny. – Kto inny mnie dzisiaj popieści, gdy ty zlegniesz jak trup, hę?

Sala gruchnęła gardłowym śmiechem.

– Baśka! Sprawdź różno! Żwawo! – przekrzyczał wszystkich karczmarz Dawid, wychodząc zza wyszynku swoim charakterystycznym, rozchwianym krokiem. Jedną nogę miał krótszą. Co nie było jedynym ubytkiem w urodzie starego Żyda. Wszyscy spojrzeli w kierunku mężczyzny. Broda sięgała Żydowi niemalże do pasa, którym przepasane było jego robe. W jednym ręku gospodarz trzymał pusty kufel, w drugim nie pierwszej czystości szmatę.

– Daj spokój, Żydku – uspokoił go stojący przy barze żołnierz. – Niech sobie pożartuje dziewczucha.

– Taa, a w tym czasie baranina się sama obróci i poda gościom! Baśka!

Nieciszewski pokręcił głową. W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem. Stał w nich, mocno pochylając, Karol Plotlich. Za plecami mężczyzny rozlegało się wściekłe parskanie i dudnienie drepzczących po obejściu koni. Huk uderzających o zmarzniętą, pokrytą plamami śniegu ziemię kopyt odbijał się od budynków otaczających obejście.

– Mam hultaja – oznajmił. Wszyscy ucichli. Sędzia zatarł dłonie.

– Wreszcie – oznajmił. – Możemy wracać.

– Problem w tym, że chłopak twierdzi, że żadnego listu nie pisał.

– I to ma być problem?

– Jest też charakter pisma – mówił dalej Plotlich.

– No i co z tego?

– No, że jest zupełnie inny.

– Charakter można podrobić – nie dawał się przekonać Nieciszewski.

No i właśnie, pomyślał Andrzej. Bartłomiej od początku podejrzewał tego chłopaka, niejakiego Mateusza. Cystersa, który zbiegł z konwentu w Koronowie. Starosta miał bardzo mgliste pojęcie, dlaczego. Raz usiłował dyskretnie wypytać Nieciszewskiego, kiedy sędzia był lekko podchmielony. Z rozmowy dowiedział się tyle, że chłopak ma jakieś kosmary i jest niespełna rozumu. Że śnią mu się diabły i aniołowie oraz że wymalował w opactwie koronowskim jakieś bluźniercze freski, które Bartłomiej, po ujrzeniu malowideł na własne oczy, rozkazał zamalować. Nic z tego, co sędzia mówił, nie miało większego sensu.

Od czasu rozmowy Bartłomiej stale obserwował fałszywego kapitana, podejrzewając go Bóg wie o co. Czyżby się domyślał? Wszak słabo znał nowego kapitana straży... Ale może wypytał żołnierzy? Kilku na pewno widziało twarz starosty, lecz wołało trzymać język za zębami. Kilku następnych zauważyło, jak się wymknął jednej z nocy po to tylko, żeby wrócić nad ranem z krwawiącą ręką. Nadal czuł tępy ból w opatrzonej ranie. Zagryzał zęby, udając, że nic mu nie jest.

– Jest ze mną stary znajomy. – Karol Plotlich wskazał drzwi. – Duchowny z Rzymu.

– Nicolo Flamenco – wszedł mu w słowo Alfred, kłaniając się od progu.

Twarz starosty wykrzywił pod kapturem ponury uśmiech.

\*\*\*

Rudowłosa kobieta stała przed wysokim jak ona sama lustrem, ale nie rozpoznawała się. Światło bijące od kominka tworzyło jaśniejsze kule na powierzchni szkła. Wołała patrzeć w lustro niż w któryś z kątów komnaty. Miała dość tego miejsca. Spędziła w nim zbyt wiele długich, wypełnionych smutkiem i samotnością nocy.

Zestarzała się przez te lata. Jej policzki były napięte, pod oczami utworzyły się kurze łapki. Lecz jej włosy nadal płonęły czerwienią, choć ich kolor delikatnie zmatowiał.

Ta izba jest dziwna – pomyślała – jak i reszta spalonej wieży. Po pożarze każda ściana sprawiała wrażenie trawionej chorobą. Przeklętej. Kiedy kobieta wyglądała na zewnątrz, czasem wydawało jej się, że okno zawieszono jest wyżej, czasem niżej. Krawędzie blanek, widzianych przez okno Mysiej Wieży, zlewały się w jedno z odległymi, dostrzegalnymi w dole drzewami, z których rozlegał się skrzek dziesiątek wron. Czasami odnosiła wrażenie, że daleko, za ciemnymi wodami Gopła, zamiast odległych dachów Inowrocławia widzi swoją rodzinną Bydgoszcz.

A może po prostu traciła zmysły?

Ciężka tkanina ciemnej, obszytej futrem sukni ciągnęła się za stopami kobiety po zimnej komnacie. Gdy Katarzyna oparła dłonie na biodrach, rozległ się brzęk grubych zwojów metalowych bransolet. Obróciła się bokiem, stawiając nogę na wprost lustra i spoglądając w dół, na śmiałe rozcięcie sukni, z

którego wysuwało się jej udo, którego nie był w stanie zasłonić nawet spięty broszą gruby, podszyty futrem płaszcz. Sama dokonała przeróbki. Chyba jednak przesadziła. Pokręciła głową z dezaprobatą, a potem popatrzyła na oparcie wysokiego krzesła, gdzie przewiesiła swoje stare, zakurzone ubranie.

Wtem straciła zainteresowanie własną osobą i spojrzała na niewielki piedestał, na którym leżało złote naczynie ozdobione osobliwymi, hinduskimi ornamentami. Motywy plecionek i kamienie szlachetne na pewno coś oznaczały. Tutaj była to ledwie ozdoba. Przynajmniej dla zwykłych ludzi.

Ale, uśmiechnęła się pod nosem rudowłosa, ja nie jestem zwykła. Dotknęła czakramu opuszkami palców. Promieniował ciepłem. Miała wrażenie, że słyszy z wnętrza naczynia jakiś obcy, a zarazem znajomy głos. Wydawał się coś cicho nucić.

Zamek w drzwiach zaszczekał.

– Jak leży? – rozległ się echem ponury bas. Strop komnaty nikał w ciemności, powodując te niesamowite efekty akustyczne. Z góry zwieszał się na łańcuchu ogromny, brzęczący, metalowy pająk.

Do komnaty zajrzał odziany w łańchmany starzec. Dłonie mężczyzny ukryte były w gałganach. Twarz zasłaniały szmaty. Tylko raz Katarzyna spojrzała na to, co znajduje się pod nimi. Pożałowała prawie natychmiast. Od tej pory pokryta bąblami, zmartwiała skóra śniła się jej po nocach.

– Skąd masz ten łańch? – zapytała.

– Ten łańch, jak to pięknie ujęłaś, należał do mojej żony, Zofii – odparł, zanosząc się kaszlem.

Powłócząc nogami, zbliżył się do naczynia.

– Po co ci to?

– Pamiątka.

– Po Bogumile? – parsknął. – Ja noszę lepszą pamiątkę po starym alchemiku.

Zerknęła współczująco na starego.

– Ja też mam poparzenia.

– Tak? – odparł złowrogo. – Jakoś ich nie widzę.

– Żaden mężczyzna już ich nie zobaczy.

Mężczyzna skinął brodą w kierunku okna.

– Powinnaś się zająć czymś lepszym, Katarzyno. Nieciszewski jest w mieście. Z ludźmi Andrzeja.

– Wiem – odparła. – Sama wysłałam zaproszenie. Dziś w nocy udam się do karczmy Żyda, żeby się zemścić.

– Myślałem, że napisałaś do Kościeleckiego list.

Odwróciła się i spojrzała intensywnie w jego łzawiące, ukryte w różowych strupach oczy.

– Bo tak było. I to jest odpowiedź na mój list.

– Co cię przygnało w te strony, mości Nicolo? – przepił do Alfreda Nieciszewski. Popijał potrawkę z królika. Plotzlich milczał, stojąc przy kominku. Spoglądał w ogień, jakby był czymś zmartwiony i wygrzewał się blisko trzaskających wesoło polan.

– Światło świętego Wita – odparł bez ogródek Ostenwald. Kościelecki stał się czujny. Carolus przerwał zadumę, podszedł do rozmawiających mężczyzn i stanął nad Niemcem.

– Znowu jakieś czary? – zapytał.

– Co masz na myśli? – rzucił sędzia, nie wiadomo do którego z mężczyzn. Spojrzał jednak na Alfreda.

– Światło świętego Wita – powtórzył Ostenwald. – A dokładnie legendy z nim związane. Czytałem Kadłubka, panie. Mistrz sporo napisał o Kruszwicy.

– Mówisz o legendzie Pompiliusza? – spytał sarkastycznie Nieciszewski. – Myszy wylęgające się z ciał otrutych przez złego władcę wrogów? To bajki. Dobre dla dzieci.

– Ale na temat światła świętego Wita wspomina kilka innych źródeł.

– Tak jak i o Mysiej Wieży. – Bartłomiej wzruszył ramionami.

Alfred westchnął. Nie miał zamiaru się kłócić.

– Mam powody, aby poszukiwać prawdy w legendach Kadłubka – oznajmił z naciskiem. – Bardzo mnie cała sprawa zainteresowała. Choć nie ukrywam, jest z pewnością dosyć zagadkowa.

– O, a to ciekawe. Mijaliśmy kaplicę świętego Wita – zauważył Carolus. – To ten niewielki, drewniany przybytek prawie naprzeciwko karczmy. Pełnił dawniej funkcję kaplicy dla zamku. No ale nikt tam już nie mieszka, a świątyni pilnuje jedynie jeden przygłupi ksiądz. Odkąd wylewa Gopło, wszystko szlag trafił. Karczmarz także żałuje, że nie zwinął interesu i nie wyniósł się nad jeden z brzegów jeziora, bliżej miasta.

– Przygłupi ksiądz? – powtórzył Alfred.

Bartłomiej wymienił spojrzenia z Plotzlichem.

– Ale nie jesteś przypadkiem jakimś następnym legatem? – zapytał Nieciszewski.

– Dlaczego legatem? – Ostenwald przełknął ślinę.

Carolus położył ciężką rękę na ramieniu Alfreda.

– Mieliśmy w okolicach jednego takiego – rzucił. – Straszna szuja i łotr. Okazał się też mordercą i złodziejem.

– Niebywałe – odparł przez zęby Alfred. Potem uśmiechnął się szeroko, odwracając półgębkiem w stronę olbrzyma. – Na szczęście ja jestem prostym duchownym.

- Którego stać na tak dalekie podróże? – zauważył sędzia.
- Mam możnego patrona – wybąkał Ostenwald.
- A wy dwaj skąd się znacie? – zapytał Nieciszewski. – Nie ze studiów, jak mniemam.
- Carolus uratował mnie kiedyś w Bydgoszczy.
- Tak? A przed kim?
- Przed przekupniami – odpowiedział bez zmrużenia oka Niemiec.

Sędzia gestem nakazał dolać Alfredowi gorzałki.

- Tak? A jak to się stało? – spytał aż nazbyt entuzjastycznie.

Rozległ się trzask drzwi. Bartłomiej zdążył jeszcze zobaczyć plecy odchodzącego Angusa. Żołnierze twierdzili, że kapitan zrobił się osobliwie spokojny i cichy. Nieciszewskiego zaczynała trochę ta skrytość zastanawiać.

\*\*\*

Strażnik Konrad wpatrywał się w strumień oddawanego przez siebie moczu, gdy uwagę mężczyzny zwrócił gruby, wirujący w powietrzu puch. Spojrzał w górę, z trudem łapiąc równowagę. Wytrzymał jeszcze parę kropel, po czym zaczął chować kutasa.

Ciemności połykały okoliczne drzewa. Głównie były to rozgałęzione, szare topole, pokryte kwitnącą jemiolą. Nagie i wykrzywione, wydawały się Konradowi straszne. Większość drzew otaczających gospodarstwo miała powykręcane i martwe gałęzie. Olchy, dęby i wierzby wydawały się spojierać na mężczyznę smutnymi oczami dziupli. Niektóre, szczególnie te blisko drogi, nie miały koron, za to ich wybujale korzenie groziły potknięciem w ciemności, w której wydawały się poruszać i wić niczym węże. Z oddali dobiegały tylko ni to stęki, ni to jęki.

Mróz orzeźwił mężczyznę. Niebo przykrył ciemny granat. Konrad nie przestawał się oglądać dziko rozbieganymi oczami. Czuł, że nie jest sam. Także karczma, z jej słomianym dachem i diabelskim śmiechem rozbrzmiewającym przez okna, przypominała scenerię jakiejś starej legendy o duchach. Dreszcze wstrząsnęły ramionami mężczyzny. Nad okolicą wisały gęste, pierzaste chmury nabuzowane padającym śniegiem. Rogal księżycy, który spomiędzy nich wyjrzał, przypominał wyszczerzony profil trędowatej osoby.

Po chwili żołnierz ruszył chwiejnym krokiem, pozostawiając w świeżej warstwie śniegu odciski stóp. Pod stopami skrzypiały ukryte pod śniegiem sterty liści. Twarz Konrada ociekała wodą, a we włosach zagnieździły się płatki.

I wtedy go ujrzał. Mężczyzna stał twarzą do ściany, odwrócony plecami. I chyba wymiotował. Na głowie nosił kaptur, na ramionach ubłocony płaszcz.

– Ejże, przesadziło się, co? – Podszedł, żeby poklepać nieszczęśnika i trochę się z niego ponaigrywać. – Przeszarżowałeś, przyjacielu?

– Adonai... – usłyszał cichy, prawie złowróźbny pomruk.

– Co tam bełkoczesz? – zapytał, opierając się o wiązkę strzechy zwieszającej na wysokości ramion.

– Przyjmij moją ofiarę...

Rozległ się syk, a potem z szyi nierozumiejącego nic Konrada siknęła struga krwi. Mężczyzna padł na kolana. Chwycił się za gardło, nadal nie rozumiejąc, czemu nie może nabrać powietrza. Raz jeszcze zakrztusił się, po czym upadł twarzą do ziemi.

Nie żył, gdy morderca ciągnął go już za nogi.

\*\*\*

– Może tak zdejmiecie mu ten worek z głowy i dacie pooddychać? – zapytał Alfred, opierając głowę na łokciu. Nad więźniem stanął z założonymi przed sobą ramionami Karol Plotzlich.

– Po co? – burknął Carolus.

– Biedak się zaraz udusi – wyjaśnił Ostenwald.

Nieciszewski poruszył nonszalancko palcami, na co Plotzlich zerwał lniany wór z głowy Mateusza, odsłaniając potargane rude kędziory oraz wytrzeszczone oczy, z których jedno było porządnie opuchnięte. Usunięto knebel krępujący usta cystersa.

– Powiedz mi. – Ostenwald wzniosł brew. – Naprawdę jesteś opętany? Czy tylko, no wiesz...

Pokręcił wskazującym palcem wkoło skroni.

– Nie napisałem żadnego listu – wymamrotał mężczyzna.

– Nie o to pytałem. – Niemiec pokręcił głową. Ściągnął brwi, nie bardzo rozumiejąc, o jakich listach mówi chłopak.

Więzień dokładnie wypowiedział każde słowo. I nie brzmiało to jak bełkot szaleńca.

– No to jak z tobą w końcu jest? – nie poddawał się Alfred. Zauważył, że Carolus wymienił spojrzenie z Nieciszewskim.

– Widzę różne rzeczy – rzekł cysters. – I są po temu powody.

Ostenwald poruszył brwiami na znak, żeby chłopak nie przerywał.

– Moja matka była wiedźmą i spółkowała z diabłami.

Alfred parsknął głośno śmiechem.

– Kto ci to powiedział?! – zapytał.

– Koronowscy bracia.

– I uwierzyłeś w te bzdury?



Chłopak wzruszył ramionami.

– Modlili się każdej nocy o moją duszę. – Zmrużył oczy. – Teraz sam się o nią modłę. Na wszelki wypadek.

– Mądrze – oznajmił nie do końca szczerze Ostenwald. Zwrócił się do sędziego: – Puśćcie tego człowieka wolno. Jest nie bardziej szalony ode mnie. Po prostu nagadano mu wyjątkowych głupot.

– Właśnie o tym musimy pomówić, drogi Nicolo – oznajmił Bartłomiej, wstając i obchodząc stół, przy którym siedział Niemiec. Alfred przyglądał się uważnie sędziemu, gdy ten przemierzał swą drogę. Bartłomiej stanął nad rozmówcą, oparł nogę o ławę i zerknął z namysłem na Ostenwalda. Niemiec upił gorzałki. Bardzo polubił ten napój. Szczególnie zimą, kiedy rozgrzewał nie tylko ducha, ale przede wszystkim ciało.

– Kiedy w końcu przyznasz się, kim naprawdę jesteś, legacie?

Niemiec wypluł wszystką wódkę. Posłał w kierunku sędziego długie i badawcze spojrzenie chytrych oczu.

– Wiesz od początku? – W oczach Alfreda pojaśniało. Atmosfera w izbie uległa zagęszczeniu.

– Wiem od początku – zgodził się rzeczowym tonem Nieciszewski. – Widziałem cię na synodzie we Włocławku. Mam pamięć do twarzy. Ale nie martw się. Nie zdradzę cię.

– Cięży nade mną oskarżenie – zauważył Niemiec.

– Pomówienie raczej. – Carolus przysiadł się do mężczyzn. Posłał Alfredowi gorzki uśmiech zmęczonych warg. – Pan Bartłomiej wiedział o wszystkich matactwach starosty, jakie miały miejsce za czasów, gdy sam sprawował urząd podstarościego.

– Latem tysiąc pięćset trzeciego nie było mnie w mieście – przyznał rację sędzia. – A nawet gdybym był, to nic by nie zmieniło.

Ręką skinął na Niemca, żeby ten zbliżył się i sam jeszcze nachylił się do rozmówcy.

– Widzisz, Ostenwald, jesteśmy w gruncie rzeczy tacy sami. Ty i ja.

– My? – Słowa mężczyzny zbiły Alfreda z tropu.

– Zgadza się. Wiemi jak psy. Ty Kurozweckim, choć żaden nie kiwnął palcem, gdy oskarżono cię o te morderstwa na duchownych. Ja Kościeleckim, choć wiem, że większość to szuje.

– Być może. – Niemiec wstał. Poczul delikatne zawroty głowy. – Ale sam przeczysz temu, co przed chwilą powiedziałaś. Że mnie nie zdradzisz.

Sędzia wzruszył ramionami.

– Cóż, jestem człowiekiem pełnym przeciwieństw. Lecz w tym wypadku możesz być spokojny. Ten pies szczeka już jedynie we własnym imieniu. Odszedłem ze służby Kościeleckiego.

Alfred niespodziewanie wstał.

– A tobie dokąd się spieszy? – Carolus ściągnął brwi.

– Także odchodzę. Panowie wybaczą, dobrze się rozmawia, ale muszę wynająć jakąś izbę na noc. Od rana będę szukać pewnej osoby. A jakbyśmy się nie zobaczyli z rana... To zastanówcie się nad tym, co wam powiedziałem o zakonniku.

– Domyślam się, kogo będziesz szukał – odparł z krzywym uśmiechem Plotzlich. – Tej pięknej Żydówki z buzią jak łąszka. Powodzenia. A, i na twoim miejscu od razu kierowałbym się do stajni. Wszystkie pomieszczenia wynająłem już na kwatery dla moich ludzi. A co do chłopaka, to obaj dobrze wiemy, że musi z nami pojechać do Bydgoszczy. Powodzenia, Ostenwald.

– Dzięki za radę – odparł niechętnie Alfred, kierując do wyjścia.

\*\*\*

Mateusz był jedyną osobą, która jeszcze nie spała. Było mu zbyt niewygodnie, aby choć próbować drzemki. Siedział w sali, zgarbiony nad stołem, nie mając o co oprzeć pleców. Wpatrywał się w migoczące czerwono węgle. Płomień już dawno się skurczył. W miarę jak z izby wychodzili żołnierze, śpiesząc do swoich kwater, wśród stołów zaczęła gościć cisza i ciemność. W końcu pozostał z pięcioma śpiącymi na siedząco zbrojnymi i karczmarzem, uwijającym się wraz z dziewczkami w sąsiedniej, kuchennej sali.

Cysters drgnął. Drzwi uchyliły się. Ujrzał wpadający przez próg śnieg oraz palce w rękawicy, ostrożnie rozchylające wrota. Do środka bardzo dyskretnie wsunęła się niczym cień jakaś postać. Jej oczy rozbłysły spod kaptura. Po chwili mężczyzna ruszył sprężystym krokiem wprost na Mateusza.

Mnich spiął się jak struna. Nieznajomy położył palec na ustach. Rozbłysł nóż. Po chwili światło przybladło, wraz z ostatnim płomykiem, który wychynął spomiędzy węgli.

– Kim... Kim jesteś? – zapytał drżącym głosem więzień.

– Cicho – wysyczał obcy. Nie sposób było domyśleć się, czy głos jest kobiecy, czy męski. Postać obeszła belkę podtrzymującą strop, o którą oparty drzemał jeden z żołdaków, i zniknęła Mateuszowi z oczu.

Po chwili chłopak poczuł dotyk zimnej stali, a potem strzelające sznury. Kimkolwiek był tajemniczy człowiek, właśnie go uwalniał.

– Ukryj się na razie w stajni – usłyszał ten sam syk. – Za bardzo pada, żebyś uciekał w las. W stajni jest ciepło. Sucho. No i to ostatnie miejsce, gdzie będą cię szukać.

– A jeśli pójdą po konie? Wolę się ukryć w świątyni.

– To nie jest dobry pomysł – odparł z naciskiem przybysz. – Mówię ci. Idź do stajni. Ukryj się tak, żeby cię nie widzieli.

– Komu mam dziękować za wybawienie? – wyszeptał do mroku zakonnik.

– Za wybawienie? Za to tylko Bogu. Poza tym jeszcze nie uciekłeś – zauważył nieznajomy. Chłopak wstał, po czym poczuł szarpnięcie za rękaw. Obcy udnął brodę cystersa i uważnie obejrzał. Oczy przybysza świeciły ostro z męskiej twarzy. Chyba nie zamierzał jednak uwolnić chłopaka.

– Puszczaj! – Młodzieniec wyrwał się, prawie zapominając o zagrożeniu. – O co ci chodzi?!

– O nic – odparł mężczyzna. – Po prostu kogoś mi bardzo przypominasz. Ale to tylko kolor włosów. Nic więcej. A teraz idź już.

Mateusz ostrożnie, omijając inne stoły, ruszył do wyjścia. Zakapturzony mężczyzna ruszył śladem uciekiniera, powoli wychodząc na obejście. Spojrzał na pierzeje bramy wiodącej do budynków stajni. Pokiwał głową, gdy zobaczył, jak chłopak znika za wrotami, po czym odwrócił się z rozmysłem. Podeszedł, wkładając stopę pod ławę, na której drzemał, z głową opadającą na stół, jeden z żołnierzy. Pociągnął nogą, przewracając ławę wraz z mężczyzną.

Żołdak warknął i sięgnął po miecz.

– Zapłacisz za to, ty...

– Później – mruknął zakapturzony nieznajomy. – Znalazłem ciało. To chyba Konrad.

– Ciało? – warknął strażnik. – Konrad? Co mu?! Zamarzył?

– Myślę, że nie to było przyczyną śmierci. Ktoś poderżnął mu gardło. Jak świni. Nawet nie zakopał biedaka dobrze w śniegu.

Zbrojny popatrzył w miejsce, gdzie siedział Mateusz.

– Nawet wiem, kto za tym stoi – wyświszczał przez zęby. – Podaj no mi dłoń! Trzeba obudzić pana Nieciszewskiego.

\*\*\*

Idioci – pomyślał starosta. Pognali z pochodniami prosto w padający śnieg. Jeszcze widział pochodnie migające wśród drzew. Światła ześlizgiwały się niczym białe ptaki, goniąc wirujące cienie. Zamrożone liście chrupotały pod stopami Kościeleckiego. Spod białej skorupy wyzierał kamienny murek.

Opatrzona przez niego samego rana piekła. Ale jakoś dawał sobie radę.

Okrzyki mężczyzn oddalały się z każdą chwilą. Starosta uśmiechnął się i ruszył w stronę stajni. Zerknął w dal, na czerniejącą bryłę kościółka odcinającą się od tła pasem pokrytych częściowo przez lasy bagien. Dotknął rękojeści ukrytego pod fałdami płaszcza noża. Dotyk zimnej stali uspokoił go.

– Zaraz cię naprawdę uwolnię – mruknął pod nosem. W tej samej chwili usłyszał dudnienie i chrapanie wjeżdżającego na podwórze konia. Początkowo myślał, że to Carolus. Z tych wszystkich

półgłówków Plotzlich miał najwięcej oleju w głowie. Lecz zamiast wielkiego, bojowego ogiera ujrzał smukłą, kasztanową klacz z białym krawatem i skarpetami. W kulbace siedział jeździec, którego rozwiany, ciemny płaszcz uspokoił się zaraz, gdy zwierzę stanęło. Za to burza rudych włosów szalała na twarzy. Było to oblicze ze wspomnień Andrzeja. I z jego koszmarów.

– Dobry wieczór, Andrzeju – usłyszał. Zmieniła się. Zestarzała. Lecz przez to cera kobiety wyglądała na dojrzałą, a oblicze przepełniło doświadczenie, zastępując tak dobrze znaną starości świeżość. Zaokrąglone zdziwieniem oczy nadal błyszczały, a kości policzkowe były ładniej osadzone. Rozstał się z dziewczyną, pomyślał Kościelecki, teraz ma przed sobą kobietę.

Zobaczył króciwą w jej rękawicy o szerokich połach. Grube płatki wirowały znacznie rzadziej niż przed chwilą. Omiatały twarz kobiety, zatrzymywały w jej lokach.

Oparła rękę na łęku siodła.

– Dostałeś mój list? – spytała, jakby nie było to oczywiste.

– Zastrzelisz mnie? Tak po prostu?

– Nic nie jest proste, starosto. Wiem to, odkąd kazałeś otłuć mojego męża tojadem. Odkąd zabrałeś mi rodzinę i synka, odkąd podłożyłeś ogień pod wieżę Bohumila. Powiedz mi, chodziło o mnie czy o książki alchemika? Widziałam, jak twoi bandyci je wynosili.

– Synka? – Ściągnął brwi.

– Nie udawaj, że nic nie wiesz.

Pokręcił głową.

– Gdzie jest kielich?

Przyjrzała się mężczyźnie, rozbawiona.

– Wyniesiony z miejsca, gdzie go ukryłeś. Książdz od Świętego Wita opowiedział mi o twojej „zbożnej fundacji”. Co jeszcze byłbyś w stanie zrobić, żeby ukryć prawdę?

– Cokolwiek będę musiał – oznajmił. – A odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie: Chodziło o wszystko, Kasiu. Bo ja nie znoszę, jak mi się coś odbiera. Zaraz to muszę mieć z powrotem.

– Ja nie jestem rzeczą. – Miała dosyć tej rozmowy. – Gdzie Nieciszewski? Obaj myśleliście, że jesteście tacy szlachetni, ratując mnie od stosu. A tak naprawdę zabrane mi zostało wszystko.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę z tego spotkania – oznajmił Andrzej. W chwili gdy wargi kobiety wykrzywił grymas pogardy, poczuł, że nie powinien tego mówić. Między nim a tą kobietą nie było już żadnych więzi.

– Ja też się cieszę. Tęskniłam za twoimi ustami – oznajmiła. – Za tym, co ze mną robiły. Ale za tobą samym nie tęskniłam nigdy.

Wypaliła. Wystrzał odrzucił mężczyznę w śnieg. Huk wypełnił okolicę, przebrzmiewając wraz

z krakaniem wron zerwanych tym dźwiękiem do lotu. Nad ciałem nadal unosił się dym, gdy Katarzyna pogalopowała z powrotem. Bok zwierzęcia był mokry od potu, ale ona w ogóle o to nie dbała.

\*\*\*

Przebudził go huk. Zerwał się, sięgając po broń. Wypluł z siebie powietrze wraz z gęstym, białym obłokiem pary. Na szczęście tutaj, między zadami stojących koni, było Alfredowi stosunkowo ciepło. Zerwał z barków derkę i rozejrzał się błędzącym wzrokiem. Nic nie widział w ciemnościach, co najwyżej drewniane belki stropu i sylwetki rozkulbaczonych zwierząt. Zaczął grzebać w jukach, gdy nagle znieruchomiał. Nie, nie mogło mu się wydawać. Huk jeszcze przebrzmiewał wśród okolicznych drzew.

Lecz usłyszał jeszcze jeden, ukradkowy dźwięk. Skrzypienie. Nie był sam. Rozpalił pochodnię i omiótł ogniem ogromną stodołę. Podłogę zaścielało siano. Wierzchowce dreptały niespokojnie lub strzygły uszami, lecz na ogół po prostu stały uwiązane do pierścieni.

Alfred wyszedł spomiędzy boksów, minął torby na obroki i zerknął w kierunku pustego fragmentu pomieszczenia. Nikogo. Westchnął. Wsadził pochodnię do kubła z wodą. Chwilę musiał pogmerać, cienka warstwa lodu zeszkliła powierzchnię. Zadymiło w środku, a konie podreptały spłoszone.

Coś poruszyło się w mroku.

– Kto tam? – Ostenwald wyjrzał, żałując, że zgasił jedyne źródło światła. Zgrzytnął zębami. Czuł tę noc całym ciałem, czuł zimno pod skórą i ból w skroniach. Czoło mężczyzny skleił zimny, swędzący pot.

Zawiało przez próg, pod drzwiami. Niemiec ścisnął mocniej kolbę broni. Idiota – pomyślał o sobie. Broń nie była nabita. Popatrzył za siebie, na prowizoryczne posłanie, z którego się przed chwilą zerwał. Pas z mieczem wisiał tam, gdzie go zostawił, na haku.

Usłyszał szmer i odwrócił się raptownie, podnosząc króciwą. W tej samej chwili usłyszał wrzask. Zobaczył trzy zakrzywione, żelazne zęby mknące w jego kierunku. O włos uniknął grabi i runął na trzymającego narzędzie człowieka. Atak posłał obu mężczyzn dobre osiem stóp do przodu. Nogi szaleńca zawisły w powietrzu, w płucach zabrakło mu powietrza. Ostenwald uniósł przeciwnika, jakby bandyta nic nie ważył. Z rozpędu uderzyli w ścianę ostatniego z boksów. Napastnik krzyknął donośnie. Poczł na plecach twarde deski. Wystraszone zwierzę po drugiej stronie załomotało kopytami w boks. Napastnik usiłował strząsnąć Alfreda z siebie, lecz zabrakło mu siły. Zatem splótł palce obu rąk i rąbnął Niemca w kark. Powtórzył. I znowu. Dopiero za trzecim razem Ostenwald runął twarzą na klepisko, na co zbir chwycił ręką jedno z siodła i zamierzył się znad głowy. Wykrzyknął z wysiłku. Kulbaka prawie go przeważała.

Alfred zareagował natychmiast, podkładając przeciwnikowi nogę. Mężczyzna zaplątał się w swoją długą, ubłoconą szatę i runął twarzą na glebę. W tej samej chwili Niemiec spostrzegł, jak pod wpływem

upadku podnosi się tępy koniec wideł. Ciałem chłopaka wstrząsnęły konwulsje, a z szyi siknęła krew.

Dopadł do nieszczęsnej ofiary, lecz było już za późno. Mateusz, rozpoznał go razu, wykręcił szyję pod nienaturalnym kątem. Oko, policzek i grdykę przebiły zakrzywione szpony wideł. Chłopak charknął po raz ostatni, zamiótł nogami i zeszywniał.

# Rozdział 6

– Przychodzi do siebie – usłyszał. Poczuł, jak w fali ognia, która wstrząsnęła jego ciałem, głos zbliża się.

Nabrał powietrza w płuca. Oczy starosty zatrzepotały. Ujrzał czerwone cienie podrygujące na suficie izby. Nad jego łóżkiem nachylały się jakieś postaci. Na początku widział jedynie zamazane blade kształty, z czarnymi otworami w miejscu oczu. Poruszył się, chciał krzyknąć. Czyżby w końcu trafił do Piekła? Wszystko na to wskazywało.

Poza bólem, który czuł w piersi. Odkaslnął. Zamazane sylwetki przybrały kształt znanych osób.

– Masz silny organizm, starosto – mruknął z uznaniem Carolus.

– I wielkie jaja – dodał Bartłomiej. Siedział obok na zydlu, z czołem opartym o rękę. – Co cię podkuśiło, żeby urządzić te przebieranki?!

Andrzej nie słuchał. Dudnienie wypełniło czaszkę starosty. Pulsujący ból nie minął, kiedy zagryzł mocno zęby, zwierając je, aż zaskrzypiały. Usiłował wstać.

– Nie podnoś się – ostrzegł Nieciszewski. Starosta usłuchał. Miał wrażenie, że jego ciało jest tak gorące, że aż bucha z niego para.

– Co... Co się stało? – zapytał słabym głosem. Czuł tępy ból w piersi, ale przede wszystkim wielkie zmęczenie.

– Nie wiemy dokładnie. Ktoś do ciebie strzelił. Kto? Tego nikt nie wie. Byliśmy wszyscy w lesie. Część jeszcze nie wróciła.

– W... lesie?

– Długa historia. A, właśnie, możesz odwołać resztę, Carolus. Nie mamy już kogo szukać.

– Jak to? – Plotzlich zdjął stopę ze stołka.

– Znaleźliśmy Mateusza w stajni. W dość makabrycznej pozycji.

Zerknął na starostę, poszukując reakcji. Zawiódł się jednak. Oczy Andrzeja były puste.

– A Ostenwald? – zapytał Carolus, zapominając, że nie powinien wymieniać jego imienia.

– Zbiegł – oznajmił sędzia. – Zostawił to na pamiątkę.

Wzniósł w rękę króciwą o pięknie grawerowanej kolbie i długiej lufie.

– Myślisz, że to on zabił Mateusza, tak? – oznajmił Plotzlich.

– Nie, myślę, że cysters przewrócił się i sam nadział się na widły – odparł sarkastycznie Bartłomiej.

– To była Kasia. Ona do mnie strzeliła – przerwał kłótnię starosta. Wystękał te słowa zdesperowanym tonem.

Bartłomiej wstał i z obojętnym wyrazem twarzy nachylił się i dotknął wierzchem dłoni czoła starosty. Było rozpalone.

– Gorączka się utrzymuje – zauważył. – Idziemy, Carolus. Musimy omówić parę kwestii.

Andrzej złapał się kurczowo jego rękawa.

– Nie rób ze mnie wariata! Musisz ją znaleźć! – warknął. – Syn...

– Wiem. – Sędzia odczepił palec po palcu. Zignorował słowa starosty, choć głęboko nim wstrząsnęły. I jeśli do tej pory nie wierzył, że Kucharczykowa żyje, teraz już wiedział, że to prawda. – Po to zaraz jadę na kruszwicki zamek.

– I ja z tobą – dodał Carolus.

– Nie. Jadę sam – rzekł tak, aby starosta nie usłyszał. Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Muszę pomówić z tą kobietą. Wyjaśnić parę spraw.

– A jeśli i do ciebie zaczną strzelać? – Carolus przewrócił oczami. Twarz miał spokojną, prawie niewzruszoną.

– To się nigdy nie dowie, w jakich okolicznościach zginął jej syn. Jej sprawa.

– Syn! – wychrypiał Kościelecki. Zerwał się, odkrył pierzynę, obnażając poplamione krwią bandażę uwite wkoło ramienia i piersi. – Co to za syn?! Kasia mówiła mi o nim!

Nieciszewski przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć. W końcu nachylił się nad rannym.

– Ale już nie ma o czym mówić – rzekł cicho, modulowanym głosem. Nie miał litości dla pana Andrzeja. – Mateusz był twoim synem. A teraz nie żyje. Zamordował go mężczyzna podający się za włoskiego duchownego, który tak naprawdę nazywa się Alfred Ostenwald i przyjechał przed paru laty jako legat papieski z Rzymu.

Kiwnął do Carolusa.

– Idę na dół – rzekł ostrym głosem. – Pilnować mi go. Cały czas trzymać straż nad tym pokojem. Przewieziemy go, jak tylko poczuje się lepiej, na drugi brzeg, do Świętego Gotarda. Jest tam szpital, zajmą się nim jak trzeba.

Plotzlich zmierzył mężczyznę złowrogo.

– Nie ty wydajesz mi rozkazy, podsędku.

– To prawda – przyznał mu rację Bartłomiej. – W takim razie rób, jak uważasz. Chcesz, aby Kościeleccy okryli się hańbą przez dumne zachowanie starosty? Przez grzechy młodości? Proszę bardzo. Nie słuchaj mnie. Rób po swojemu.

\*\*\*

Schodząc na dół, został zatrzymany przez jednego z żołnierzy. Kilku innych wstało na widok



sędziego z ławy. Większość była mokra od potu. Zgrzana ich oddechami izba wydawała się parować. Niektórzy zzuwali buty albo zdzierali z siebie zmoczone płaszcze. Żołnierze pili lub spoglądali złowrogo w stronę płomieni.

– Znaleźliśmy kogoś w lesie – oznajmił żołnierz, który zatrzymał Bartłomieja.

– Tego cudzoziemca? – zapytał Nieciszewski.

– Nie, kobietę. Była uzbrojona. Jej koń przewrócił się ze zmęczenia. A ona sama prawie zamarzła.

I ugryzła mnie w rękę. O, tutaj. Przez rękawicę.

Pokazał dłoń, na której odcisnięte zostały ślady zębów.

– Nie sądzę, aby rana była zakażona – prychnął sędzia. – Ta kobieta? Jest ruda?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, ale wygląda podejrzanie.

– Gdzie jest?

– Zamknęliśmy ją w stajni.

– Razem ze zwłokami?! – Bartłomiej złapał mężczyznę za kołnierz. – Czy wyśta do reszty ogłupieli?!

Żołnierza przeszedł dreszcz.

– Nieważne. – Nieciszewski ochłonął szybko. – Powiedz o tym Carolusowi. Niech się tym zajmie, bo chyba tylko on wie, kim jest ta kobieta. Mnie to mało interesuje.

Odwrócił się do reszty.

– Przygotować mi konia. I przynieście mi prochu oraz kule. Powinny być w ekwipunku Angusa. Za chwilę wyruszam. Do czasu mojego powrotu dowodzenie przejmuje Plotzlich.

\*\*\*

– Smacznego – rozległo się z góry. Miriam tylko zerknęła, zajęta pochłanianiem jedzenia. Chleb ze smalcem połykała w całości, podobnie mięso królika w potrawce.

– Plotzlich – wybełkotała, popijając piwem. Beknęła. Nalała sobie więcej z dzbana. W ogóle nie sprawiała wrażenia zdziwionej spotkaniem.

– Myślałem, że będziesz bardziej wylewna. W końcu moi ludzie uratowali twoje dupsko przed zamarznięciem.

– Dziękuję – odparła między kęsami chleba. – Moje dupsko tym bardziej. Bardzo nie lubi zamarzać.

– Co ty tu właściwie robisz, he? – zapytał.

– Może usiądziesz? – zaproponowała.

– Może postoję.

Oparła się plecami o ścianę, a potem opowiedziała pokrótce Carolusowi o Jasiu, szajce złodziei

i spotkaniu w młynie. Nie zapomniała wspomnieć o tajemniczym wybawcy.

– Uratował mnie alchemik – oznajmiła.

– Skąd pewność?

– Intuicja. – Wzruszyła ramionami. – Niestety, rzucił zabawki i umknął, nim zdołałam sklecić jakiegoś podziękowanie.

– Masz szczęście – przyznał Carolus. W końcu usiadł i przyjrzał się dziewczynie z zainteresowaniem.

– A wiesz? Zawsze mi się podobałaś.

– To bardzo miło, że to mówisz, ale jaki masz interes? – zapytała bez ogródek.

– Uważam po prostu, że marnujesz swój talent. – Twarz Carolusa poczerwieniała z zapału. – Powinnaś się zadawać z prawdziwym mężczyzną. Kimś, kto cię obroni przed kłopotami, w które, jak oboje wiemy, bardzo lubisz wpadać.

– I niby to ty jesteś tym prawdziwym mężczyzną? – zapytała, mierząc wzrokiem Plotzlicha. Nie podobało jej się, że stanął nad nią, a teraz otwarcie przyciskał brzuch do jej pleców.

– Odsuń się – rzuciła opanowanym głosem, choć czuła, że jej oddech przyspiesza ze złości.

– Mogę ci bardzo pomóc. Pomyśl, moja droga. Pod moją opieką nikt by ci nie podskoczył. Moglibyśmy stworzyć zgrany duet. A przy okazji zaznałabyś trochę tego, czego nie dał ci nikt przede mną.

– Ciekawa propozycja – oznajmiła. – Ale muszę ją niestety odrzucić.

To mówiąc, zerwała się z miejsca. Zatrzymał dziewczynę.

– Poczekaj, Miriam – rzucił szybko. – Widziałem się z Alfredem.

– Kiedy? – Przywołała na twarz wyraz bezbrzeżnego zdziwienia.

– Nie dalej jak parę godzin temu.

– Co on robi w Kruszwicy?

– Zanim ci to powiem, jest coś jeszcze. Coś, o czym powinnaś wiedzieć. Pamiętasz tę noc, kiedy was zgarnęli w burdelu, w Bydgoszczy? – Mężczyzna usadził dziewczynę z powrotem za stołem.

Skinęła głową.

– Był z tobą ten Litwin, który zginął od kuli Francesca.

– Piołun – oznajmiła. – I nie zgarnęli nas tej nocy. Oboje uciekliśmy.

– Ale mogło to się dla was skończyć naprawdę źle, prawda? – spytał Plotzlich. – A wiesz, skąd straż wiedziała, gdzie was szukać?

Spróbowała się uśmiechnąć.

– Co to ma do rzeczy? – spytała.

– Wszystko od tego momentu potoczyło się swoim torem. Być może gdyby nie burda w burdelu,

Litwin nadal by żył.

– No dobrze. – Dziewczyna założyła ramiona po sobie. – Kto nas zdradził?

– Ostenwald.

Ściągnęła brwi.

– Do czego zmierzasz?

– Do niczego. – Carolus zrobił minę niewiniątka. – Po prostu uważam, że powinnaś troskliwiej dobierać przyjaciół. On sprzedał was. Nasłał strażników miejskich, żeby odwrócić uwagę od siebie. A teraz wygląda na to, że znowu usiłuje cię wciągnąć w kłopoty. Wypytuje o ciebie. Głośno i bez ceregieli wymieniając twoje imię, wraz z tym, co zrobiłaś jego zdaniem w Bydgoszczy.

– Ostenwald to zamknięty rozdział. – Odwróciła wzrok. – Nic ci nie da oczernianie go przy mnie. Poza tym nie wierzę, że opowiada o mnie czy wypytuje, jak to określiłeś „bez opamiętania”.

– Bez ceregieli.

– Zwał, jak zwał. Po prostu guzik mnie to wszystko obchodzi.

– Czyżby? – zapytał. – A jednak zabolęło cię to, co powiedziałem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Zabolęło – oznajmiła. – A tobie co do tego?

– Jak bardzo? – nie odpuszczał.

– Bardzo. Nie lubię być zdradzana.

– Cóż, nikt nie lubi. I tutaj wracamy do mojego pierwszego stwierdzenia. Co uczynisz, aby się zemścić?

– Do czego ty pijesz, Plotzlich? – wyszeptała Żydówka, uważnie mierząc wzrokiem rozmówcę. – Co ty mi proponujesz? Sojusze? Chcesz się ze mną podupczyć czy założyć spółkę?

Carolus zignorował wulgarną uwagę.

– Tak, jak już powiedziałem, Alfred był tutaj. Szuka cię po całej Kruszwicy. Niezła by była heca, gdyby się okazało, że nie miał cię po co szukać. Nie uważasz?

– Jesteś prawdziwym łotrem, Carolusie Plotzlichu – zauważyła z uśmiechem.

– Nawet nie wiesz jak bardzo – przyznał. – Jestem zwykłym sukinsynem, dziewczyno. Nic mi do rycerzyka pokroju Ostenwalda.

– Nie szukam nikogo takiego. Coś ci powiem. – Oparła brodę na łokciu i wpiła spojrzenie w Carolusa. – Spędziłam przy boku tak zwanych szlacheckich ludzi ostatnie pięć lat. I wiesz, co mi z tego przyszło? Wróciłam w to samo miejsce. Nie mam nic, poza paroma złamanymi groszami i odmarzniętym tyłkiem. Poszłabym z każdym za wikt i parę dukatów. Nie patrz tak. Żadna ze mnie wytworna dama. Jestem łotrzyką, Carolusie. Kradnę, kłamię i łamię reguły. To jest mój świat. A z tego,

co słyszę, świat ten nie różni się od twojego.

– Podoba mi się twoja szczerość.

– Czy ty mnie próbujesz uwieść, Krzyżaku? Bo jeśli tak, to...

– To co? – spytał, słysząc wahanie w słowach dziewczyny.

– To lepiej sobie daruj i od razu chodźmy w ustronne miejsce.

Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– No, co się tak gapisz? – dodała pogardliwie. – Sam mówiłeś. To będzie piękna zemsta.

\*\*\*

Alfred wytarł czoło, mokre od coraz rzadziej padającego śniegu. Zapalił kolejną pochodnię, po czym wyrzucił wypaloną. Poświecił na drogę. Blask oblał okolicę, wydłużając cień mężczyzny w sylwetkę szkaradnego demona. Ryzykował zauważenie, lecz wolał to niż wypadek. Mógł utonąć albo skrócić kark. Było to o wiele bardziej prawdopodobne od śmierci z powodu jakiegoś wystrzelonego w ciemności bełtu, zatem zaryzykował. Nadal nie doszedł całkiem do siebie. Właściwie sam nie rozumiał, dlaczego po wszystkim od razu osiodłał konia i wyruszył w noc. Ani dlaczego przy tych przygotowaniach drżały mu dłonie.

Może dlatego, że pierwszy raz w swoim życiu z jego ręki zginęła niewinna osoba.

Pora znaleźć Miriam i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Zostawić Rzeczpospolitą, udać się do jednego z krajów Rzeszy albo z powrotem na półwysep. Byle dalej od zimna, brudu i krwi.

Pytanie tylko, czy na zachodzie nie znajdzie tego samego. Zimna, brudu i krwi.

Wymknięcie się nie było problemem. Otwarta zabudowa osadzonego nad jeziorem miasta umożliwiała przemieszczanie w którym się chciało kierunku. Poza ludźmi Kościeleckiego nie było na wyspie zbrojnych. Żadnej straży miejskiej czy ludzi kasztelańskich.

Nie wiedząc czemu, doszedł do wniosku, że gdyby Miriam tu była, ukryłyby się w ruinach zamku. Przed mężczyzną wznosił się wyniosły masyw kamiennego budynku, z jego obronnymi murami i groźnie wyglądającą basztą, wedle miejscowej legendy, miejscem śmierci księcia Popiela. Całości broniła fosa, obecnie połamana, potrzaskana i gnijąca. Dalej rozciągał się widok na spadziste dachy miasta Kruszwicy.

Idealna kryjówka dla zbiegłej łotrzyki.

Rozejrzył się. Zamek nie był właściwie ruiną. Alfred zastanawiał się, dlaczego obecny starosta nie zagospodarował z powrotem murów. Tym lepiej. Może znajdzie tu Żydówkę. Poprowadził konia wzdłuż Gopła, kierując się na północny wschód, w stronę nadal istniejącego, zwodzonego mostu, broniącego drogi przez fosę. Zerknął pod górę, na stojący w północno zachodnim krańcu warowni stołb,

owianą złą sławą Mysią Wieżę, której czarna, kanciasta bryła wyglądała niczym namalowana z nocnym niebem kołyszającym się w tle. Przed oczami Niemca zamajaczył zarys blank. Masywny kształt murów rozmywał się w powietrzu.

Most, na który ostrożnie wszedł, znikał we mgle, a deski pod stopami mężczyzny chygotały się, jakby były zawieszony w próżni. Łomot pod kopytami wzmógł się.

– Ostrożnie, mały. – Poglaskał zwierzę po chrapach. Koń zaczął okazywać zaniepokojenie, drecząc w miejscu i głośno parskając. Alfred obrzucił wzrokiem kształtny łeb zwierzęcia.

Z ulgą zszedł z mostu. Zerknął w górę, spostrzegając na murze wędrujące światło. Blask mknął po blankach, aż w okolicy wykusza nad bramą rozplątał się w nicość.

– Hej! – zawołał. – Poczekaj!

Ruszył w kierunku opuszczonej do połowy kraty chroniącej bramę. Zerknął raz jeszcze na mur, aby upewnić się, czy światło znikło. Ściana musiała mieć z pięć łokci grubości i pięć sążni wysokości. Nic nie rozświetlało nawet skrawka muru.

Ślady pożaru znalazł dopiero na dziedzińcu. Osmolona podmurówka budynków gospodarczych i resztki nadgniłych rusztowań sprawiały wrażenie szkieletów porzuconych byle jak i byle gdzie. Jedyne budynek stajni ocalał przed pożarem, za to w ciągu lat jego dach zapadł się do środka.

Zwrócił uwagę na światło widoczne w jednym z podłużnych otworów strzelniczych stołbu. Zmarszczył brwi. Więc to tam zniknął tajemniczy mieszkaniec zamku!

Przywiązał wierzchowca do jednej z osmolonych belek i ruszył w stronę muru. Wyślizgane stopnie, popękane i oblodzone groziły upadkiem. Szedł więc bardzo ostrożnie stawiając każdy krok. Mur wiódł w stronę drewnianego ganku przybudowanego do wieży. Drzwi poddały się jednemu pchnięciu miecza. Przegniłe drewno było całkiem wypaczone, a metalowe okucia i zawiasy pokryła rdza. Zajrzał do środka, oświetlając pomieszczenie pochodnią. Okazało się to całkiem niepotrzebne, albowiem ściany rżęsiście oświetlały tkwiące w metalowych uchwytach żagwie. Klatkę schodową zasłaly liście i inne śmieci. Stopnie i balustrada nosiły ślady nadpalenia, lecz najwyraźniej uniknęły w dużej mierze pożaru. Wyglądały całkiem bezpiecznie.

Szedł w górę, niczym natchniony, czując zatechły zapach piwnicy, z pleśnią, zgnilizną i wilgocią zmieszanyymi w jedno. Wiedziony impulsem, parł do przodu. Nie spodziewał się, że to Miriam rozpalila całe to światło. Zatem kto mógł tu mieszkać? Duchy?

– Czego tutaj chcesz? – usłyszał. Na kręconych, prowadzących pod górę schodach stała wysoka, odziana w mieniącą się, purpurową suknię kobieta. Większość jej twarzy tonęła w czerwonych, spowijających komnatę cieniach, bijących za pochodniami oświetlającymi blaskiem ściany. Jej usta, w kolorze krwi, odcinały się od błości podłużnej twarzy z wysoko osadzonymi policzkami i oczami w kształcie migdałów.

– Nie wyglądasz mi na ducha – zauważył Alfred.

– A skąd pomysł, że miałabym nim być? – Wzniosła w dłoni króciwą o dwóch groźnie wyglądających lufach.

Męski głos, dobiegający zza pleców Alfreda, zabrzmiał beztrąsko.

– To bardzo trafne pytanie.

Oboje drgnęli. U podstawy schodów stał, pogrążony w cieniu, mężczyzna również z króciwą w dłoni. Alfred bez oglądania się wiedział, że to Bartłomiej Nieciszewski.

– Może ja rozjaśnię trochę sytuację i dokonam prezentacji – zaproponował sędzia. – Oto Katarzyna Kucharczykowa, czarownica, od blisko piętnastu lat uznana za zmarłą. Jest zarazem matką Mateusza, którego zamordowałeś z zimną krwią tej nocy.

– Matką? – Tym razem Ostenwald wykręcił szyję i spojrzał w twarz Bartłomieja.

– Zamordował?! – wrzasnęła rudowłosa. Lufa króciwy przesunęła się od sędziego i wycelowała w Niemca.

– Poczekaj! – Ostenwald wyciągnął rozpostartą dłoń. Za późno. Kobieta wypaliła. Wieżę wypełnił huk grzmotu. Alfred padł na twarz, zasłaniając głowę, którą zasypały odłamki z przedziurawionej ściany. Wrzasnął przeciągle, odbijając się od podłogi nogami. Odskoczył do tyłu. Cisnął w stronę kobiety pochodnię. Ogień podskoczył na drewnianych stopniach.

Katarzyna przymierzyła się do kolejnego strzału. Jej twarz przeciął obłąkany grymas.

– Nie ruszaj się! – wrzasnęła z chmury dymu, którą wywołał pierwszy wystrzał.

– Nieciszewski! Zrób coś, na litość boską! – wykrzyknął Alfred, usiłując ukryć się pod drewnianymi stopniami. Bartłomiej wycofał się w cień. Ryk kolejnego wystrzału króciwy wstrząsnął sędzią. Niemiec nie zdążył. Bartłomiej ujrzał osuwającego się po ścianie Niemca i Katarzynę, która wpatrywała się w swą ofiarę oszalałym wzrokiem.

– Teraz moja kolej. – Sędzia wyszedł z kryjówki. – To koniec, Katarzyno. Powinienem to zrobić lata temu. Naprawię swój stary błąd...

Kopniak wytrącił pistolet z dłoni mężczyzny w chwili, gdy lufa eksplodowała wystrzałem. Smród siarki i dym omiotły twarz Bartłomieja. Sędzia zerknął w dół, na leżącego pod nim Ostenwalda.

– Ty? Dlaczego? – Przystawił broń do twarzy Niemca.

Kopniak w brzuch pozbawił Nieciszewskiego powietrza. Sędzia osunął się do tyłu. Usłyszał za sobą huk. Po chwili Bartłomiej leżał na ziemi.

Nad ogłuszonym sędzią stanął odziany w łachmany tajemniczy mężczyzna. Żagiew w jego okutanej gałganami dłoni ledwie migotała.

Alfred zasłonił głowę, obawiając się, że będzie następny. Bok przeszył mu rozdzierający ból. Po nim

nadeszła fala mdłości. Poczuł, że zaraz zemdleje. Co prawda kula zagnieździła się w ścianie i jedynie drasnęła mężczyznę, ale cierpienie było realne.

Na schodach rozległy się kroki.

– Dobra robota, Janie – mruknęła kobieta, najwyraźniej zwracając do zgarbionego łachmaniarza.

– Chciałbym powiedzieć to samo o twoich strzałach – odrzekł skrzekliwym głosem mężczyzna nazwany Janem.

– Byli sami? – zignorowała przytyk, schodząc po ostatnich stopniach.

– Nie widziałem nikogo innego. – Łachmaniarz pokręcił głową. – Co z nimi?

Skierował głowicę pochodni w stronę Niemca. Alfred osłonił twarz dłonią, wyczuwając bijący z drewna żar. Był w dalszym ciągu na granicy omdlenia.

– Nieciszewskiego daj na dół, do jednej z cel. Tego drugiego na górę. O cholera, mdleje, gad jeden...

\*\*\*

Ocknął się, czując, że ktoś go ciągnie. Zaciśnięte palce boleśnie wpijały się w pachy Alfreda. Spojrzał w mrok. Cienie obrastały ściany jak czarne pajęczyny. Okiennice podrygiwały na oknach w takt dzikiego tańca wiatru.

Wtargano go po schodach na górę. Cuchnący słodkim potem i brudem mężczyzna zatoczył się, wpadając na ścianę i prawie wypuścił Alfreda z rąk. Więzień syknął ze strachu. Na szczęście łachmaniarz nie usłyszał. Położył Ostenwalda na czymś w rodzaju prymitywnego siennika.

Po chwili wyszedł, a okute sztabami ołowiu drzwi zwały się z łoskotem. Dopiero wtedy Niemiec ośmielił się otworzyć szeroko oczy.

Jedyne źródło światła, umieszczony wysoko nad głową Ostenwalda uchwyt z wetkniętą żagwią, rzucał słabiutkie prążki żółtego blasku na zimną, wymoszczoną źdźbłami siana posadzkę. Przykryty skórami barłóg otaczały okopcone, czarne ściany. Niedaleko barłogu dostrzegł ślady ogniska.

Podniósł głowę i zobaczył, że nie jest sam. Wpatrzone w niego zielone oczy rozbłysły w ciemności.

– Dawne laboratorium alchemika – oznajmiła, mierząc wzrokiem nieufnie wyrazisty profil mężczyzny rudowłosa niewiasta. – Czasem tu sypiam.

– Co... Co stało się ze ścianami? – zapytał i usiłował podeprzeć się na łokciu. To w tym momencie zrozumiał, że ma związane z przodu nadgarstki.

– Nie słyszałeś o pożarze? – zapytała, podchodząc do okna. – Był to bardzo dziwny pożar. Wybuchł w paru miejscach naraz.

– Aha – skwitował Alfred. Nastąpiła nieprzyjemna cisza.

– To może teraz ja zapytam, kim do cholery jesteś? – rzuciła. – Mordercą Kościeleckiego?

Alfred milczał.

– To, co Nieciszewski powiedział, to prawda? – Oderwała się od okiennicy. – To o Mateuszu?

Znowu nic.

– Odpowiadaj! – wykrzyknęła.

– To był wypadek – padło w końcu. – Poza tym rzucił się na mnie z widłami. Bronilem się.

Parsknęła.

– Wszyscy tak mówicie – oznajmiła.

– Rzucił się na mnie z ciemności. Był obłąkany. Zapytaj Nieciszewskiego.

– Nieciszewski jeszcze się nie obudził. Wygląda na to, że uderzenie Jana było trochę za mocne. –

Podeszła do barłogu i po namyśle dodała: – Nie rozumiem dlaczego, może to tylko przecucie, ale z jakiegoś powodu wierzę tobie. Jesteś w tym wszystkim ofiarą, jak my wszyscy.

– Ofiarą? Co masz na myśli?

Przysiadła ostrożnie na skraju barłogu.

– Nieciszewski mówił prawdę. Naprawdę jestem czarownicą. Prawie posłano mnie w Bydgoszczy na stos. Są noce, gdy myślę, że byłby to lepszy los. Ten człowiek, który wygląda jak trędowaty, to Jan z Oporowa. Ogień pozbawił go twarzy i przyszłości. Ten ogień, tak jak i ten pod moim stosem, podłożyła ta sama osoba. Andrzej Kościelecki.

– Masz na to dowody? – zapytał zimnym głosem Alfred.

– Nie – oznajmiła. – Ale był w Kruszwicy w noc pożaru. Widzieli go ludzie Jana. Poza tym to zbiry Andrzeja zabrały wszystkie książki alchemika po pożarze.

– Nie spłonęły?

– Mistrz Bogumił zdołał je wyrzucić oknem. Wraz z kielichem.

– Kielichem?

– Kościelecki ukrył kielich w kościele Świętego Wita. Ale to już nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Kościelecki nie żyje.

– Nie żyje? Kto go zabił? – zapytał Alfred. – Ty?

Posłała w kierunku Alfreda słaby uśmiech.

– Nie rozumiem. Skąd ta cała nienawiść między wami? – zapytał Niemiec.

– Byłam jego kochanką – odparła bez żadnego wstydu. – Matką jego bękarta. Latami myślałam, że Mateusz zmarł przy porodzie. Dopiero w zeszłym roku Jan powiedział mi, że Mateusz żyje i jest zakonikiem w Koronowie.

Zerknęła na Alfreda kątem oka.



– A jaka jest twoja historia? – spytała.

– Szukam przyjaciółki – odparł niechętnie.

– Śniada dziewczyna z ciemnymi, kręconymi włosami? – zapytała.

Zerwał się, na ile pozwalały mu więzy na rękach. Chwyciła go pod pachą i pomogła usiąść.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Spotkałam ją.

– Czyli jest w Kruszwicy – rzucił do siebie Niemiec.

– Zależy ci na niej?

– Mnie? – Popatrzył Katarzynie w oczy. – Mnie tak.

– A jej nie zależy?

– Na początku myślałem, że ją porwano. – Sam nie wierzył, że rozmawia o Miriam z tą obcą kobietą.

– Teraz zastanawiam się, czy po prostu nie uciekła.

– Nie jest raczej typem kobiety wyczekującej na upragnionego mężczyznę w domu, prawda? – odparła. – Sama trafiłam na podobną osobę. Wiem, co czujesz. Jesteśmy do siebie podobni. Ty i ja. Mamy podobnego pecha.

– Czyżby? Ostatnia osoba, która mi tak powiedziała, nie potrafiła nawet oddać jednego strzału w mojej obronie. Uważaj.

– Uważam – usłyszał, po czym poczuł dłoń kobiety na swoim policzku. Była szorstka jak papier. – Jesteś bardzo pięknym mężczyzną, wiesz? Przypominasz mi trochę Andrzeja. Szkoda, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach.

Oderwał gwałtownie rękę, miażdżąc palce Katarzyny. Niewiasta wstała.

– Jestem dla ciebie za stara? – Wargi rudowłosej zauważalnie zadrżały. – To o to chodzi?

– Nie wiem, ile masz lat, ale nie wyglądasz staro – odrzekł szczerze. – Chodzi raczej o to, że do mnie strzelałaś. I o powód, dla którego strzelałaś.

– Nie ufasz mi? – Podeszła. W jej dłoni rozbłysł nóż.

– Dziwnie się o to starasz – odparł, cofając się. Katarzyna przyklękła przed mężczyzną. Chwyciła mocno za nadgarstki więźnia. Alfredowi przeszło przez myśl, żeby ją kopnąć. Powstrzymał się jednak. Przyłożyła ostrze do więzów i nacięła. Naprężył sznury, aż pękły.

Ich spojrzenia spotkały się. Alfred odepchnął delikatnie kobietę i wstał.

– Nie znam cię – oznajmił, stając na środku izby. Po tych słowach wyszedł.

Stanął dopiero przy swoim koniu. Ostrzegł go brzęk łańcucha i rumor podnoszonej kraty. Spojrzał w stronę bramy. Najpierw ujrzał drepczące kopyta i brzuchy koni, potem całe zwierzęta, wreszcie odzianych w czerwień jeźdźców.

– Jak to się doskonale składa. Kopę lat, Ostenwald – rzucił pełnym zadowolenia głosem Carolus. Tuż przed Plotlichem na tym samym ogromnym, umięśnionym ogierze w czarnym kropierzu siedziała Miriam. Przy szyi spojonej pustym wzrokiem dziewczyny rozblęskło wąskie ostrze mizerykordii. Jej koniec dotknął gardła.

– Musisz coś dla mnie zrobić – oznajmił Carolus. – Przez wzgląd na stare czasy. I życie kochanki. Ale najpierw rzuć broń.

Upuszczony na śnieg miecz wydał głuchy dźwięk.

\*\*\*

– Katarzyno? – zapytał Alfred. Ciemność pochłaniała sylwetki zbrojnych, którzy szli za Niemcem. Buciory skrzypiały na osmolonych, drewnianych schodach. Carolus szedł pierwszy, trzymając mizerykordię przy policzku Miriam. Dziewczyna uśmiechała się tylko cierpko, zawzięcie milcząco. Praktycznie nie wypowiedziała słowa, odkąd się zobaczyli. Alfred zachodził w głowę, co musiało się zdarzyć, by tak odmieniło zazwyczaj pyską dziewczuchę. Obawiał się najgorszego.

Poczuł jak jego kolana drżą. Minął kolejny otwór w ścianie i stanął naprzeciw pomieszczenia, gdzie rozstał się z Katarzyną. Trzymając miecz opuszczony przy udzie, pchnął drzwi do środka. Usłyszał wielokrażki nakręcane przez dwójkę kuszników.

Obrócił się. Przed oczami mignęła mu okropna szrama zdobiąca głowę Plotlicha. Oczy Żydówki rozszerzyły się, gdy poczuła czubek mizerykordii raniący ją w policzek.

Ostenwald pokiwał nerwowo głową i wkroczył do środka.

Rudowłosa odwróciła się w jego kierunku. Ciężkie loki omiotły jej twarz.

– Więc jednak... – zaczęła, kiedy Carolus kopnął z rozpędu drzwi i znalazł się w środku, wraz z jednym z kuszników.

– Zdradziłeś mnie? – Zerknęła na Alfreda.

– Sami by tu przyszli – odparł zgnębionym głosem Niemiec.

– Ale to ty ich przyprowadziłeś – usłyszał. Zmierzyła Ostenwalda rozognionym wzrokiem. – Judasz.

– Dobrze już, dobrze – mruknął Carolus, ściskając policzki Żydówki palcami w rękawicy. – Dość tych sprzeczek. Pod ścianę, oboje. Z tobą, rudy kociaku, ma do pomówienia pan Andrzej Kościelecki. A ty, legacie, nie próbuj swoich sztuczek.

– Andrzej? – prychnęła. – Pomówić ze mną? Musiałbyś mnie posłać na tamten świat!

– To nie będzie konieczne – odparł spokojnie Plotlich. – Naucz się lepiej strzelać, ptaszyno. Pod ścianę!

Oboje posłusznie spełnili rozkaz. Pomógł im w tym widok drugiego kusznika.

– Gdzie jest Nieciszewski? – zapytał Carolus. – Z tego co wiem, wybierał się tutaj.

Rudowłosa uśmiechnęła się złowrogo.

– W bezpiecznym miejscu – oznajmiła. – Każ im odłożyć kuszę, a jakoś się dogadamy. Pan Bartłomiej bardzo na tym skorzysta.

– Nie próbuj mnie brać pod włos, więdźmo – ostrzegł kobietę Carolus. – Ja nie z tych.

– On naprawdę nie z tych – potwierdził Alfred.

– Dobrze – odpowiedziała. – W takim razie zaprowadzę was do Nieciszewskiego.

– Bardzo mnie twoje nastawienie cieszy – odparł Plotzlich. – No to przodem. I bez sztuczek.

\*\*\*

Szła w dół schodami, od czasu do czasu zerkając za siebie. Za nią stapał popychany przez Carolusa Alfred, oświetlając drogę trzymaną wysoko w górze pochodnią, dalej Miriam, z przystawioną do pleców kuszą. I pozostali zbrojni.

– Sprzedawczyk – wysyczała Katarzyna.

– Nie miałem wyboru.

– Jasne. To samo mówiłeś o Mateuszu – parsknęła wysokim, dziwnie metalicznym głosem. – Teraz rozumiem, co mogłeś mieć na myśli.

– A ty powiedziałaś, że rozumiesz – odparł. – I wiesz, do jakiego to prowadzi wniosku? Że oni mieli rację. Jesteś szalona, Katarzyno. Tak samo jak twój syn. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mizdrzy się do osoby, która zabiła jej syna.

Miriam, słysząc słowa Niemca, rozszerzyła oczy ze zdumienia. Żołnierze wymienili rozbawione spojrzenia.

Schodzili coraz niżej. Minęli poziom muru i cały czas szli w dół. Ciemność zgęstniała.

– Mam w piwnicach dobre wino, uratowane z pożaru! – zawołała, nie odwracając się rudowłosa.

– To sama je sobie wypij – mruknął Carolus, lecz jego zbrojni zaszemrali. – Nie zamierzam skończyć otruty.

– Naprawdę myślisz, że trzymam w beczce zatrute wino? – zapytała. Stanęli u wylotu cuchnącego stęchlizną korytarza. Było tu sporo miejsca, lecz po zaledwie kilku krokach dwóch mężczyzn ledwo mogło iść koło siebie. Mimowolnie zatrzymali się.

– Które? – zapytał Plotzlich. W obu ścianach korytarza dostrzegł wnękę mieszczącą drzwi z wizjerem przedzielonym kratą. Mogło ich być jeszcze więcej. Także w podłodze dostrzegł kanciasty otwór zapadni, do którego drogi broniła ciężka krata.

– Puść mnie, a powiem ci, gdzie Oporowscy zgromadzili skarb. Tyle złota nigdy nie widziałeś na

oczy.

Carolus prychnięciem dał kobiecie do zrozumienia, co myśli o jej ofercie.

– I tak mi to powiesz – oznajmił.

Kobieta wskazała ostatnie drzwi. Carolus chwycił ją brutalnie pod rękę i poprowadził za sobą, po czym, gdy dotarli do końca korytarza, wepchnął do środka, torując sobie drogę ramieniem.

Alfred ruszył za nimi. W tym momencie popchnięta kobieta przewróciła się na kolana.

– Czego kłamiesz?! – zawył Plotlich. W świetle żagwi trzymanej przez Alfreda dostrzegł zawieszony na hakach pęta kielbasy, wędzone mięsa i dwie beczki wina oraz antałek miodu.

– I tak ci nie powiem, gdzie on jest. – Katarzyna szarpnęła się. Ciągłe klęczała, z głową spuszczoną.

Carolus zerwał się i chwytając kobietę za włosy, szarpnął rudą za szyję. Obrzucił spojrzeniem dekolt Katarzyny. Zanim zdołała zaprotestować, wsunął tam rękę i silnym szarpnięciem rozerwał stan sukni, uwalniając dwie kształne, blade piersi.

Alfred drgnął. Nie wierzył własnym oczom.

– Plotlich... – mruknął. Katarzyna krzyknęła, na co Carolus wymierzył jej siarczasty policzek na odlew. Zatoczyła się, ale przyciągnął ją raz jeszcze za włosy.

– Wyjdź stąd – mruknął bez cienia uśmiechu, odwracając twarz w kierunku Alfreda.

– Nie ma mowy, Krzyżaku. Zostaw ją – zaprotestował Niemiec. Widział przerażone spojrzenie rudowłosej.

– Dawaj to. – Plotlich wyszarpnął z ręki Ostenwalda pochodnię i cisnął ją na podłogę. – A teraz wynocha! Bo każę moim ludziom wypatroszyć cię jak prosię!

Jego wrzask przywołał jednego z kuszników. Mężczyzna zmierzył Alfreda wzrokiem od stóp do głów, a potem podniósł broń, celując w brzuch Niemca.

– Wyprowadź stąd naszego przyjaciela – rozkazał Carolus, przyglądając się łakomym wzrokiem rudowłosej. Było w tym spojrzeniu coś zwierzęcego. Katarzyna cofnęła się, zalekniona, pod ścianę. – I pilnujcie dobrze drzwi, żeby mnie i naszej krnąbrnej gospodyni nikt nie przeszkadzał.

– Nie mogę ci na to pozwolić, Carolus – oznajmił Niemiec.

– To może wolisz popatrzeć? Albo może mam zaprosić w to miejsce twoją małą Żydówkę, he?! Wyjdź stąd, legacie. Po dobroci, zanim każę przyprawić ci drugi pepek.

Płomień spalił policzki Ostenwalda.

– Wynocha – powtórzył od niechcienia Carolus. – Inaczej zrobię, co powiedziałem.

Kusznik bez wyraźnego rozkazu znalazł się przy Alfredzie i zdzielił go kolbą kuszy w brzuch. Niemiec zgiał się w odpowiednim momencie, aby przyjąć kopniaka w twarz. Dwóch drabów chwyciło go pod ramię i wytargało na zewnątrz.

Po chwili z izby zaczęły dochodzić dźwięki szamotaniny. I wrzask. Katarzyna nagradzała każde pchnięcie Carolusa głośnym okrzykiem bólu. Mniej więcej po pacierzu w drzwiach pojawił się Plotzlich. Sznurowując nogawice, zerknął w wygłodniałe oblicza mężczyzn. Zastygł w bezruchu.

– O, co to, to nie – oznajmił po namyśle. – Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie. Możecie ją stamtąd zabrać. Ale wara mi gwałcić. Bo kości porachuję.

– A wino? – zapytał jeden z żołdaków. – Tu jest w bród wina i gorzały.

– Jeszcze wam mało? – warknął, lecz po chwili machnął zbywająco ręką. – A chlejcie, ile wlezie. Nic mnie to nie obchodzi. Tylko kobiety macie zostawić. Wyżywajcie się na chłopkach. Obie niewiasty zaprowadzić na górę. I trzymać pod kluczem.

– A pan Nieciszewski? – burknął od niechcienia jeden z żołnierzy.

– Ta jędza twierdzi, że utopili zwłoki Nieciszewskiego w Gople. A mnie się nie kwapi tego sprawdzać. Zadawaj więcej takich pytań i wściubiaj nos w nie swoje sprawy, a każe ci nurkować w jeziorze. No, już. Robić, co kazałem.

Z tymi słowami ruszył do schodów. W drogę olbrzymia wszedł Alfred.

– To nie koniec, Carolus – rzekł przez zęby Niemiec. – Zapłacisz za tę zniewagę.

– Tylko się nie popłacz – odparł Plotzlich, spoglądając w dół, na wysokość zaczerwienionych oczu rozmówcy. Ktoś chwycił Niemca za włosy. Ostenwald odwrócił się z prawym sierpowym. Ofiara runęła w stronę kompanów, którzy gruchnęli śmiechem, podając sobie kołyszącego się na rozchwianych nogach kamrata z rąk do rąk.

Alfred stanął w rozkroku, czekając na kolejny atak. Miriam wykrzyczała imię Niemca, lecz szarpnięta za włosy i ramiona, natychmiast zamilkła.

Ktoś popchnął Ostenwalda. Jeden z żołnierzy dźgnął ofiarę włócznią w kostkę. Ostenwald zawył, zebrał się z kolan, po czym odwrócił błyskawicznie i runął na żołnierza. Atakowany mężczyzna przyjął pełen furii atak na tarczę.

Któryś ze zbrojnych posłał cios karwasza prosto w kark ofiary. Alfred padł jak długi przy akompaniamencie śmiechu Plotzlicha.

– Wygląda mi na to, że jednak skończyłeś – oznajmił, wymijając powalonego znowu na kolana mężczyznę.

\*\*\*

Karol Plotzlich rozglądał się, wodząc pochodnią dokoła głowy. Słyszał odgłosy pijatyki. Stał w ciasnym korytarzu opodal zamkniętego kratą otworu. Tunel wydawał się napierać na byłego Krzyżaka. Ramiona i stopy mężczyzny tarły o ceglane ściany. Tkwiącą w posadzce kwadratową dziurę

przedzielała krata. Otwór był szeroki na tyle, żeby zmieścić człowieka. Zaciekawiony co tam znajdzie, Carolus wetknął żagiew między otwory kraty, lecz nie potrafił ocenić głębokości dziury. Odgłosy pijących mężczyzn oddaliły się.

Carolus poczuł się nieswojo. Spojrzał na boki. Miał wrażenie, jakby został na zamku całkiem sam. Sam jeden przeciw ponurym sekretom tego dziwnego miejsca, które wszyscy miejscowi unikali ze strachu. Przeciw nieludzkim straszidłom, skradającym w ciemności, wprost z legend o Popielu. Zerknął przez ramię, jakby spodziewał się stamtąd ataku.

Obejrzał dokładnie ściany. Odkrył rząd otworów biegnących w podłodze. Każdy z nich miał grubość męskiej pięści. Nad głową mężczyzny wznosił się kolebkowy dach. Zarysowany w kilku miejscach wyraźnymi pęknięciami.

W końcu skierował światło pochodni w kierunku otworu w podłodze. Nie potrafił przeniknąć spowijającego ciemnicę mroku. Rozpoznanie dodatkowo utrudniała krata. Za to spostrzegł coś na granicy widzenia. Czy go oczy myliły? Co tam tak świeci?!

Rozejrzał się z ogniem w oczach. Gdzieś powinna być drabina. O, jest. Stała pod ścianą, nie zauważył jej w pierwszej chwili. Teraz mógł działać dalej, złapał kratę w obie dłonie i z całej siły pchnął ją. Napiął jak tylko mógł mięśnie, wydawało mu się, że zaraz pękną mu ścięgna. Donośny rumor wypełnił komnatę. Przesunął kawał żelastwa o niecały łokieć i upuścił. Musi wystarczyć – pomyślał, wycierając czoło z brudnego potu. Skierował pochodnię w kierunku dziury.

Carolus odkrył w świetle żagwi, że komora była częścią znacznie większej, naturalnej jaskini, głębszej niż jakakolwiek ciemnica, którą widział w życiu. Przed oczami miał rozgałęzienia straszące groteskowością przybieranych form. Wybijały cienie, niczym jaszczury, pięły się w po ścianach w stronę kraty. Labirynt olśniewał liczbą naturalnych rozwiązań.

Natrafił spojrzeniem na otwory w podłodze, z których roztaczał się widok na niższe piętra koszmarne ciągu.

Obrzucił światłem miejsce, które już wcześniej zwróciło jego uwagę.

W odległym kącie jaskini zamigotało światło. Wśród pajęczyn, z nadjedzonego przez myszy, pękniętego worka wysypywały się złote monety.

Zatoczył się wzdłuż ściany, wzdychając z zachwyty. Nagle usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Rozejrzał się z szalem w oczach. Poczul ciarki. Szurające, ciągnące po ziemi kroki rozbrzmiewały ospale w ciemności.

W pośpiechu zaczął zasuwac kratę, kiedy nagle dotarło do niego, że kroki ucichły. Teraz słyszał rozmowę dwóch żołnierzy. Dochodziła z pewnej odległości.

Carolus zląkał się w myślach za ten pokaz tchórzostwa. Nawet gdyby go zobaczyli ze złotem, to co z tego? On tu dowodzi. Nie Nieciszewski, nawet nie Kościelecki, lecz on, Carolus.

Wystarczy wydobyć monety, a na zawsze uwolni się od wszystkich szlachciców i panów. Sam będzie sobie sterem i żaglem. Nareszcie! Bogaty i niezależny.

# Rozdział 7

Miriam stała przy oknie przykrytym drewnianą kratą w ciężkie, roślinne wzory. Jej spocone ciało studził powiew zimnego wiatru wpadający przez szpary. Na ramiona i plecy drobnej kobiety spadały jej kręcone kasztanowe włosy. Izbę wypełniały zeschnięte liście i kurz. Poza pojedynczym siennikiem i kilkunastoma gromnicami z zamkowej kaplicy, których światło wypełniało komnatę, pospołu z ogniskiem rozpalonym wprost na kamiennej posadzce, leżały tam również wymięte, ciśnięte byle gdzie szaty oraz prawie pusty dzban i dwa kubki.

Miriam spostrzegła cień nagiego mężczyzny podkradający się ku niej. Zadrżała jak liść.

– Co robisz? – zapytał Plotzlich, przesuwając palcami po łopatce dziewczyny. Z pozoru szorstki dotyk sprawił, że Żydówkę przeszył przyjemny dreszcz.

– Myślę – odparła sucho, wkładając palce między kratki. – Nie przeszkadzaj mi.

Odwróciła się. Stała przed mężczyzną z bezwstydnie obnażonymi kształtnymi piersiami. Ujrzała grymas na jego brzydkich, mięsistych wargach. Choć sprawiały wrażenie nieczułych, przyniosły już Żydówce sporo przyjemności. Zlustrowała uważnie kochanka. Kanciastą, umięśnioną pierś pokrywały gęste włosy, a ramiona i wielkie dłonie sprawiały wrażenie niezgrabnych. A jednak pozory myliły.

Uśmiechnęła się drżącymi ustami.

– Nie podoba mi się, co uczyniłeś. – Spojrzała prosto w oczy mężczyzny. – I nie rozumiem, po co to uczyniłeś.

– Miałem na to ochotę. Zresztą nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Nie masz na mnie wyłączności, a to co robię, nie musi ci się wcale podobać.

– Mogłeś mieć to samo po dobroci. – Splotła palce mężczyzny ze swoimi i położyła obie dłonie na swojej piersi.

– Takie jak ona nie idą z takimi jak ja – oświadczył sucho. Warknęła i zamierzyła się wolną ręką. Pochwycił palce w locie. Skręciła biodra i wyszarpnęła się.

Carolus Plotzlich przyjrzał się dziewczynie. Była wspaniała, aż zapierało dech. Carolus widział przed sobą kobietę doskonałą. Piękność przyglądała się mężczyźnie, nagradzając jego podziw zimnym uśmiechem.

– Skończ z tymi bzdurami. Wiesz, że nie o nią mi chodzi – mruknęła oschle. – I znajdź lepiej mój płaszcz. Zanim tu zamarznę.

Carolus przeszukiwał rozrzucone na posadzce ubrania. Natrafił palcami na ciepły, wełniany płaszcz. Zmiał materiał w dłoni.

– Jesteś zazdrosna? – zapytał, nieruchomiejąc. Podniósł wzrok. – To o to tu chodzi?



– Nie żartuj sobie. – Policzki Miriam oblał rumieniec. Wyciągnęła ramię. – Dawaj płaszcz, psiakrew!

– Masz, bierz go sobie – mruknął Carolus. Jego spojrzenie zderzyło się ze wzrokiem kobiety. – I posłuchaj mnie lepiej. Tym światem rządzi przemoc. Nie chcesz stać się ofiarą? Musisz być czasem łotrem. Jak ja. Jak ty. Myślałem, że to rozumiesz. To świat nas stworzył takimi, jakimi jesteśmy. I nie było w tym naszej woli.

– Czyżby? – Najwyraźniej tym razem nie za bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

– Czyżby. Popatrz na siebie. Nie wziąłbym cię poważnie, nie traktował na równi z sobą, gdyby nie twoja mała zdrada. Gdybym nie wiedział, z kim mam do czynienia. A ta kobieta? Nie jest w żadnym razie lepsza od nas. Ja nasłuchiwałem się trochę o niej w Bydgoszczy. I powiem ci coś jeszcze. Wielka krzywda się jej nie stała. Ot, rozłożyła nogi raz więcej, niż chciała. I tak nikt tego nie policzy.

– Czy i mnie byś tak wziął, gdybym się nie zgodziła? – odszczekała.

– Ciebie? – parsknął. – Nie. Jakoś tego nie widzę. Nie, moja droga. My jesteśmy tacy sami.

– Przed chwilą powiedziałeś to samo o rudej – zauważyła.

– Nie łap mnie za słówka, dziewczyno – odparł. Poczł zimny pot na czole i karku. A wraz z nim pełne namysłu spojrzenie Żydówki.

– Nie łapię cię za słówka – oznajmiła. – Powiedz mi lepiej, co będzie z Alfredem.

Prychnął.

– A co ma z nim być? Widziałaś, żeby ktoś go pilnował? Więził? Będzie chciał, to sobie pójdzie. Nikt go tu nie trzyma. Chyba że ty.

– Co to miało znaczyć? – odpowiedziała ostrym głosem.

– A jak ci się zdaje? Widzę, że nadal ci na nim zależy.

– Chyba sobie kpisz. – Miriam odwróciła wzrok.

– Ja sobie kpię, tak? – Wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu Plotzlich. – Popatrz tylko na siebie.

To żałosne.

Wziął głęboki wdech. Poczł falę gorąca, zalewającą go niczym przyływ. Potrząsnął głową.

– Co ci jest? – Ściągnęła brwi.

– To chyba wino. Mocne było.

– Lepiej usiądź – powiedziała. Zamiast posłuchać rady, złapał ją za oba ramiona i wycisnął na ustach Miriam mokry pocałunek. Początkowo sztywne ciało dziewczyny poddało się, a potem zaczęła cicho mruzczyć.

– Bydlak. – Roześmiała się cicho. W jej głosie nie było cienia niedawnej złości.

Alfred chodził od ściany do ściany wilgotnej, pokrytej liszajami grzybu celi. Miał już tego wszystkiego serdecznie dość. Staął i wymierzył cios prosto w mur. W słabym świetle, padającym od drzwi, przyjrzał się swojej dłoni. Zdarł sobie skórę z paliczków. Do krwi. Zaklął i odruchowo zaczął ssać ranę.

Nic nie mógł zrobić. Nic, żeby pomóc tej biednej kobiecie, gdy Plotzlich ją spokojnie gwałcił. Boże, jak nienawidził byłego Krzyżaka! Jak nienawidził siebie za niemoc, za to, że tak naprawdę nic nie uczynił.

Za bardzo przywykł do osłony, którą dawała reputacja, kontakty i cudze pieniądze. Bez nich był jedynie jeszcze jednym cudzoziemcem, z którym nikt się nie liczy. Mądrałą, którego każdy mógł sponiewierać.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Gdy sześć lat temu pojawił się w Polsce jako legat, miał znaczenie. Był kimś ważnym. Kim był dzisiaj? Bez papieskiego glejtu i Kurozwęckich? Kim był Alfred Ostenwald?

Zabijaką i przybłędą. I tak właśnie skończy. W rynsztoku, zapomniany przez wszystkich dureń, zbyt szlachetny, aby postępować jak reszta. Miał ochotę napluć sam sobie w twarz.

Przez korytarz ponownie przetoczyły się salwy śmiechu. Żołnierze byli już nieźle wstawieni. Czy mógł teraz zaryzykować wyjście? Pójść na górę i poszukać Miriam? Czy Plotzlich zrobił jej to samo co rudej? Był zdolny do wszystkiego.

Gdzieś w tle ktoś głośno zarechotał. Tu, w celi, piszczały jedynie myszy. A może powinien pomóc Katarzynie? Skoro Kościelecki ocalał, nie czekało jej nic dobrego. Znając Plotzlicha, już ten pokrzyżacki zbir zadba, aby nawet nie dotarła przed oblicze starosty.

Co zrobić?

Znieruchomiał, odwracając się w stronę drzwi. Usłyszał łomot, jakby coś ciężkiego zważyło się na podłogę. A po chwili nastąpiła grobowa cisza. W tle kapiała woda. Trwał tak, w zupełnym bezruchu, przez dobry pacierz albo dwa.

Potem usłyszał kroki. Przybliżyły się.

W uchylonych drzwiach z kratą stanął Jan.

– Co ty tu robisz? – zapytał Alfred. W ręku mężczyzna niósł pochodnię. Bez słowa przepuścił Ostenwalda. Niemiec rozejrzał się. Korytarz wypełniały ciała i rozlane resztki wina. Odór gorzelni przyprawiał o wymioty.

– Co im się stało?! – Alfred westchnął.

– Trucizna. Była dosypana do wszystkich beczek.

– Ale... dlaczego? – zapytał. Z mroku wyłoniła się Katarzyna. Jej oblicze przypominało woskową maskę, kroki stawiała bardzo ostrożnie. W oczach gorzał obłąd. Rozerwany stan naprawiała dratwą. Ścieg

wydał się Alfredowi bardzo niezgrabnie poprowadzony.

– Te bydlaki zasłużyły sobie na to – oznajmiła z nienawiścią. – Tak samo Kościelecki.

Przygotowałam beczki właśnie dla niego. Myślałam, że przyjedzie.

– Truczna? – powtórzył Ostenwald. – Wszystkie beczki?

Pokiwała głową.

– Tojad – odparła. – Truczna, którą Kościelecki otruł mojego męża.

– Gdzie Miriam?! – zawył, a potem runął po schodach do góry.

Nie musiał daleko szukać. W tej samej izbie, gdzie przetrzymywała go wcześniej kobieta, spali przykryci skórą Carolus wraz z Żydówką. Obnażone, białe udo Miriam dotykało pokrytej gęstymi włosami nogi byłego Krzyżaka. Palce rozplotła na szerokiej piersi mężczyzny. Oboje byli nadzy. W izbie dawało się wyczuć zapach przetrawionego wina.

Na ziemi tuż obok dogasającego ogniska stały puste kubki i dzbanek po winie.

Alfred cofnął się w stronę drzwi, nie wierząc własnym oczom.

– Przykro mi – usłyszał. Słowa docierały do niego jak z oddali. Oczy Niemca zamigotały szaleństwem.

– Wszyscy? – Pokręcił głową.

– Wszystkim się należało. – Jan stanął za kobietą. Niemiec rzucił się na mężczyznę..

– Jak mogliście?! Wy... wy... wy potwory!

Katarzyna spokojnie podniosła pusty dzban, odwróciła się i zdzieliła Ostenwalda w tył głowy. Osunął się prawie natychmiast, odepchnięty przez Oporowskiego.

\*\*\*

– Nie musiałaś tego robić – zauważył Jan z Oporowa. Katarzyna obdarzyła go wyjątkowo paskudnym uśmiechem.

– Żal ci go? – spytała, a potem raz jeszcze omiotła wzrokiem słoczone przy kracie konie. Stali na dziedzińcu. Jan pokręcił kołowrotkiem, wznosząc z rumorem kratę. Następnie sięgnął po żagiew. W jej świetle cienie zwierząt przywodziły na myśl sylwetki diabłów. Ziemia dudniła od łomotu kopyt. Kilka pierwszych wierzchowców pocwałowało na zewnątrz.

Jedynie dwa jednolicie czarne w ciemności wierzchowce stały, bezpiecznie uwiązane. Trochę dalej stał także ogier, na którym przyjechał Niemiec.

– Wiesz, że nie chodzi o to. – Jan przełożył żagiew do drugiej ręki. Brudne gałgany, którymi okrył zniekształcone poparzeniami palce, czyniły lewą rękę niezdarną. Byle praca powodowała, że palce szybko drętwiały. Sytuację dodatkowo komplikował częściowy brak czucia.

– A o co?! – warknęła i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę pozbawionej prawie dachu, zrujnowanej stajni i ukrytego w ścianie budynku tajnego przejścia.

– Okłamałaś go. – Jan odwrócił się za kobietą. – Pozwoliłaś uwierzyć, że wymordowałaś tych wszystkich ludzi.

Na dźwięk pełnego wyrzutu głosu stanęła raptownie.

– Martwisz się, że ten głupiec tak o mnie pomyślał? – spytała gorzkim głosem. – Czy że to mogła być prawda, gdybym miała na podorędziu prawdziwą truczkę?

Zaśmiała się, odginając do tyłu głowę i pozwalając kaskadzie rudych włosów opaść swobodnie na ramiona. Odebrała od mężczyzny pochodnię.

– Przestań marudzić i zabierz lepiej konie – oznajmiła. – Przed nami długa droga.

Jeszcze wypowiadając te słowa, rozwarła szeroko skrzypiące drzwi stajni i znikła we wnętrzu zrujnowanego zabudowania.

\*\*\*

Po omacku obszukała ściany. Zerknęła w kierunku pozostałości wiązań stropu, nad którymi wisiało już jedynie odmienione ciemnoróżową barwą niebo. W końcu odkryła charakterystyczne wybrzuszenie na jednej ze ścian, przypominające zaskorupiony guz. Pchnęła je lekko. Rozległo się głośne szuranie i mur ustąpił. Wejście miało blisko dwa metry kwadratowe szerokości, ale w świetle pochodni prawie stapało się z murem, przypominając płytką wnękę w ścianie. Woń stęchlizny i metaliczny zapach minerałów uderzył kobietę po nozdrzach.

– Idziesz? – Odrzuciła włosy do tyłu, wołając do Jana.

– Jestem tutaj – odparł, podchodząc z końmi. – Myślałem, że tylko ja wiem o tym przejściu.

– Nic nie pamiętasz? – Odwróciła twarz. – Tutaj zabrałam cię kiedy szalał pożar.

– Ach, więc to tak. – Jan zamyślił się. – Kto ci pokazał tunel? Alchemik?

– Sama go znalazłam.

– Czy jesteś pewna, że to dobry pomysł, by zabierać konie? Wystraszą się i będzie kłopot.

– Nie większy niż z tobą – oznajmiła. – Ale niech ci będzie. Zostawmy je tutaj. Choć nie uśmiecha mi się piesza wędrówka, to chyba faktycznie nie mamy wyboru. Ludzie Kościeleckiego krążą po okolicy. Nie zamierzam się na nich natknąć. Mamy złoto. Poradzimy sobie.

– Powinniśmy zabrać cały skarb – rzekł Jan.

– Wrócimy tu jeszcze, gdy wszystko przycichnie – usłyszał. – Myszy mogły nadgryźć worki, ale nie zeżrą złota.

Tuż za wrotami zaczynał się wiodący w dół tunel. Ściany pokrywały inskrypcje, prawie niemożliwe

do odczytania wzory, a może runy.

– Wiesz, że ten tunel pochodzi z czasów Władysława Hermana? – spytał Jan z Oporowa. Szybkim spojrzeniem obrzucił strop.

– Tak? – zapytała bez zainteresowania.

– Król pewnego dnia zarzucił synowi Zbigniewowi, że zamiast dbać o mury obronne miasta, oddaje się pijatykom – ciągnął ponurym głosem Jan. – Rodzinna kłótnia zakończyła się buntem Zbigniewa. Król powrócił do Gniezna po swoje hufce i z nimi stanął pod Kruszwicą. Zwycięska dla ojca bitwa rozegrała się na obszernej polanie. Król wybił rycerzy Zbigniewa i zdobył zamek. Samego syna jednak nie złapał, bo ten schował się tutaj. Chciał dostać się tym tunelem daleko poza Kruszwicę. W tamtym czasie podziemia prowadziły aż do gościńca. Król zobaczył jednak uciekającego syna i rzucił na Zbigniewa klątwę. Na skutek czaru przejście zawaliło się i stało się grobem dla Zbigniewa i garstki jego przyjaciół. Zawsze sądziłem, że to coś więcej niż legenda. Tunel faktycznie kończy się, urywa opodal Gopła, choć dawniej wiódł do starej drogi prowadzącej w stronę Świątnik. Od tamtej wiosny woda jeziora nad dawnym przejściem ma inny kolor. Zdarza się też, że gdy piorun uderzy w Gopło, nad lustrem wody unoszą się cienie, słychać też jęki ginących ludzi.

– Urocze – wystękała Kucharczykowa. – Usiłujesz mnie ująć opowieścią o duchach? Daruj sobie w takim razie. Sami uchodzimy za duchy, ja i ty. A ja miałam już do czynienia z podobnymi tobie. No, co się tak przyglądasz?

– A jak ci się wydaje? Mówisz, że miałas z takimi jak ja do czynienia... Pewna tego jesteś? Zastanów się. Ale dobrze się zastanów.

– Co masz na myśli? – odburknęła.

– Że mnie nie doceniasz. Że jestem lepszy od wszystkich Andrzejów Kościeleckich razem wziętych. Zastanów się. Co on ci dał, ten twój kochanek, poza łzami i uwięzieniem?!

– Zapłaci za wszystko, jeśli o to pytasz – warknęła ze złością. – Za każde poniżenie. Za cały ból.

– Zemścisz się? – zapytał z uciechą w głosie Jan. – Ciekawe jak. On jest poza twoim zasięgiem, dziecko. Jak masz zamiar coś zrobić? Wyślesz mu kolejny list? Ostatni nic nie dał.

– Nie twoja sprawa – oznajmiła zawziętym głosem.

– Nie moja?! – Roześmiał się kobiecie w twarz. – Popatrz na mnie i powtórz, że to nie moja sprawa! Gdyby nie Kościelecki, myślisz, że byłbym tutaj? Pomyśl ile poświęciłem! Moje własne dzieci myślą, że zginąłem w pożarze. Poświęciłem wszystko, majątek, nawet własną twarz! I dlaczego? Aby cierpieć dalej w pogardzie i ciemności. A wszystko to dla kobiety, która nawet na mnie nie spojrzy!

Głos Jana z Oporowa przybrał płaczliwy ton.

– Jesteś żaloszny – odrzekła Katarzyna. – Popatrz na siebie.

– Codziennie na siebie patrzę – rzucił ponuro mężczyzna. – I wiesz co? Ani razu nie rozpoznałem własnej twarzy.

– I ja mam czuć się temu winna?! – Parsknęła śmiechem, w którym czaiła się źle skrywana złość.

– Tak! – wykrzyknął, łapiąc dziewczynę za oba ramiona i przyciągając ją ku sobie. Poczowała jego oddech na karku.

– Trzymaj się z dala, bydlaku! – warknęła, wrywając się i odwracając błyskawicznie na pięcie. Zamachnęła się pochodnią. Żar uderzył Jana po twarzy. Mężczyzna odskoczył, ukrywając twarz w ramionach. Kucharczykowa pożałowała swojego zachowania. Zrobiło jej się żal towarzysza. Zerknęła na pochodnię i na wyszczerzone strachem oczy byłego starosty.

– Ja... – Wyciągnęła palce wolnej dłoni w kierunku kaleki. – Ja nie chciałam... Przepraszam...

– Zabierz to ode mnie! – zawył histerycznie. Oczy mężczyzny zaczęły łzawić. – Zabierz to światło!

Stała, niezdecydowana co powiedzieć i jak się zachować. W końcu zwyciężył zimny charakter kobiety.

– Przykro mi z powodu twoich blizn – oznajmiła chłodno. – Ale nie czuję się im winna. A co do twoich wyborów i tego całego afektu, to wiedziałeś, co robisz i na ile możesz u mnie liczyć. Nigdy cię nie oszukiwałam.

– Zwodziłaś mnie – wysyczał zjadliwie. – Ale coś ci powiem, Katarzyno Kucharczykowa. Gdybym był młodszy, piękniejszy, wtedy patrzyłabyś na mnie inaczej. Masz rację, tkwię tu przy tobie jak pies liżący rękę, która go łąja. Ale z naszej dwójki to ty jesteś bardziej żalosna. Bo gdybym był młodszy i nie miał tych blizn, chciałabyś mnie. Chciałabyś, wiedząc, ile naprawdę jestem wart. A tak? Masz swoją zemstę i swojego Kościeleckiego. Płomienie ciebie porwą, Katarzyno Kucharczykowa. A mnie razem z tobą.

To mówiąc, wrócił do koni. Przewiązał je do starego, zardzewiałego pierścienia tkwiącego w ścianie.

Rudowłosa zaczęła dygotać.

– Na co czekasz? – Jan z Oporowa wskazał dziewczynie tunel. – Idziemy.

Już po przejściu pierwszych paru kroków ogarnęły dwójkę towarzyszy nieprzeniknione ciemności wraz z wilgocią i osobliwym, piwnicznym chłodem. Pochodnia niewiele pomagała. Czarny dym sprawił, że bez przerwy kasłali. Katarzyna zawzięcie milczała.

Z ciemności dobiegło ich uszu kapanie wody, które przeradzało się z wolna w zupełnie inny, trudny do określenia dźwięk.

– Czy to aby bezpieczna droga? – spytała, przyświecając pochodnią.

– To Gopło – odparł Jan. – Jesteśmy dokładnie pod jeziorem. W jaki sposób tylko część tuneli się zapadła, nie mam pojęcia. Powinna zalać je wszystkie woda. Jeśli legenda mówi na ten temat prawdę. Im

szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej.

Odgłos wody zaczął coraz mocniej przypominać dźwięk kopyt dudniących na twardym podłożu, choć przypuszczali, że to tylko złudzenie dźwiękowe. Nie potrafili wyzbyć się dziwnego dreszczu przebiegającego wzdłuż kręgosłupa i po ramionach. Tak, jakby nie byli tu całkiem sami.

Dźwięk osłabł, aż do zaniknięcia.

– Niebywałe – wysyczała szeptem Katarzyna, dotykając palcami ściany. – Jakie gładkie... – Faktycznie, ściany wydawała się pokrywać dziwna, półprzezroczysta glazura.

Czuła się tutaj jak robak. Duchota i napierające ściany przerażały kobietę. Cały czas ogarniało ją drżenie i chłód. Opadła na ścianę. Przetarła spocone czoło. Obrzuciła wzrokiem mężczyznę. Jej umysł spowił strach. Myśli zastąpiła dzika galopada skojarzeń i obrazów. Miała wrażenie, że słyszy bicie własnego serca. Po chwili zrozumiała, że się myli. To nie był odgłos bijącego serca, tylko tupanie. Kroki, odmierzane przez ogromne, ciężkie stopy.

– Co to jest?! Słyszysz ten dźwięk?! – Rozejrzała się. Zaczęła nerwowo nasłuchiwać każdego odgłosu. Ruszyła do przodu. Uderzyła łokciem w ścianę i skuliła się z bólu.

– To złudzenie – odparł. – Nie wsłuchuj się w to, bo oszalejesz.

Mężczyzna przetarł powieki wierzchem dłoni. Wcale nie czuł się lepiej od Katarzyny w tych cuchnących podziemiach. Z rosnącym zdumieniem odkrył, że nie może skupić wzroku. Obraz rozpląwał się. Rozłąził.

Zrobiło się niezwykle ciasno. Ramiona i stopy tarły o ściany korytarza. Ich gładka powierzchnia meandrowała, odbijając płomień pochodni.

Powróciło dudnienie. Tym razem towarzyszyły mu głosy przyprawiające o zawroty głowy okrzyki. Dźwięki trudno było umiejscowić. Rozbrzmiewały w oddali, choć wprawiały ściany i podłogę w drgania.

– Co to jest?! – krzyknęła przestraszonym głosem Kucharczykowa. – Co to za diabelskie dźwięki?! Słyszysz, Oporowski?! Odpowiadaj! Byłeś tu wiele razy!

– To Zbigniew – mruknął ponuro Oporowski. – Zbigniew i jego zbrojni.

Wziął głęboki oddech. Nie pomogło. Nadal czuł, jakby miał za mało powietrza do oddychania. Poczł ciarki. W ciemności ponownie rozległy się kroki. Szurające, ciągnące po ziemi kroki, rozbrzmiewające ospale w mroku.

– To już niedaleko, Kasiu – oznajmił, choć sam nie był pewny, kogo usiłuje uspokoić, kobietę czy samego siebie. – Jeszcze tylko pół kilometra i będziemy na powierzchni. Wytrwaj.

\*\*\*

To był koszmarny sen. I trwał, mimo przebudzenia. Alfred zerwał się z ziemi. Dotknął tyłu głowy. Rozcięcie nie było głębokie. Powytrzepywał pęknięte skorupki z odzieży i włosów. Obraz uciekał, zastępowany przez ciemność. Zmierzył spojrzeniem dwa nieruchome, splecione z sobą ciała. Jedno należało do kobiety, którą kochał. Śmierci mężczyzny od jakiegoś czasu gorąco pragnął. Ironia losu – pomyślał wpadając w korytarz. Szedł powoli, z ręką przy barierce. Wiedział, że nie znajdzie na zamku żywego ducha.

Koń stał nadal przywiązany, tam gdzie go pozostawił. Czego nie można było powiedzieć o reszcie wierzchowców. Pewnie zwierzęta rozpierzchły się po okolicy. Świtało. Wrony głośno skrzeczały wśród czarnych posepnych drzew. Podniósł miecz. Z trudem wpełzł na kulbakę. Zostawił wierzchowca wraz z siodłem na całą noc. Biedne zwierzę – pomyślał absurdalnie. Obrócił głowę, spoglądając smutnym wzrokiem w kierunku wieży. Może powinien chociaż pochować Miriam, pomyślał.

– Mogę się przyłączyć? – usłyszał. Poruszony, zerknął skąd dobiegał głos.

– Mój koń jest niedaleko stąd – dodał pan Bartłomiej. Kroczył powoli. Miał na sobie rozchełstaną koszulę i rozpięty kaftan. Nie wyglądał jednak, aby było mu zimno.

– Podobno jesteś topielcem – zagadnął zrezygnowanym głosem Alfred.

– O tobie powiedzieli mi to samo. Widać chcieli mnie przekonać w ten sposób, żebym gadał.

– I gadałeś?

– Gadałem – parsknął. – I jak widać, dobrze na tym wyszedłem. Lepiej niż Karol Plotlich. Gdzie pojechali? Jak myślisz?

– Jak to gdzie? – Alfred wzruszył ramionami. – Skończyć z Kościeleckim.

– W takim razie wskazałem im drogę.

– Jak to?

– Powiedziałem, że zawieźliśmy Kościeleckiego do świętego Gotarda. To szpital na wschodnim brzegu Gopła. Przy Kruszwickiej wsi.

– Kłamałeś.

– Oczywiście. Co nie zmienia faktu, że muszę tam jechać. Jedziesz ze mną?

Ostenwald westchnął.

– Pod warunkiem, że będę tu mógł wrócić i zatroszczyć się o ciało mojej przyjaciółki. I że oddasz mi krócicę.

Sędzia pokiwał głową i wręczył Alfredowi broń.

– Masz moje słowo.

– Poszukajmy zatem tratwy.

Nieciszewski pokiwał głową.



– Znam jedną sprawną przeprawę. Można mówić o upadku tego miasta, ale na drugi brzeg Gopła zawsze się przedostaniesz.

\*\*\*

Przed wyniosłą, ponurą fasadą otoczonego przez zaniedbany cmentarz i budynki przytułku drewnianego kościoła ujrzeli stojącego mężczyznę w długich, powłóczystych łachmanach. Na początku wzięli go za pospolitego żebraka. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się Alfred rozpoznał Jana z Oporowa. Mężczyzna spokojnie wyszedł dwóm jeźdźcom naprzeciw. Za nim czerniał w blasku jutrzenki czarny front świątyni, ze spadzistym, pokrytym wypaczoną dachówką dachem. Alfred obwiązał sobie przedramię cugłami i zajął się nabijaniem pistoletu.

– Gdzie ona jest? – zagadnął Bartłomiej. – Gdzie Kucharczykowa?

– W środku – odparł Jan. – Nie przeszkadzajcie jej.

– Co robi w kościele? – zapytał sędzia. – Dziurawi hostię?

– Modli się za duszę syna – odburknął pytany. Alfred pokiwał głową i przerzucił nogę przez łąk siodła, zsuwając na ziemię.

– Przepuść mnie – zażądał od Jana, który stanął w przejściu.

– Powiedziałem, żebyście jej nie przeszkadzali. Dajcie się kobiecie pomodlić, szubrawcy. Potem możecie ją zaaresztować, jeśli chcecie.

– To morderczyni i trucicielka – zawołał z siodła Nieciszewski. – A ty jej pomagalesz. Lepiej się odsuń i nie pogarszaj swojej i tak trudnej sytuacji.

– Chcę z nią tylko pomówić – rzekł posepnie Alfred, nie zważając na ostrzeżenie sędziego. – Jest mi to winna.

Mężczyzna przepuścił Niemca. Ostenwald zagłębił się w mroczny ganek kościoła jak w jakąś mroczną czeluść. Minał rozwartą na oścież kratę i wszedł w przedsionek. Drzwi, które otworzył, przeraźliwie zaskrzypiały. Klęcząca w rozjaśnionej kopcącymi świecami nawie kobieta drgnęła, lecz nie zerwała się. Nie odwróciła też twarzy od pomalowanej pstrokatymi farbami figury Chrystusa.

– Katarzyno Kucharczykowa! – zawołał Ostenwald. Głos jego zabrzmiał głucho w mrocznym wnętrzu pachnącym trocinami, kadzidłem i zgnilizną.

– Czego chcesz? – Zebrała się z ziemi. – I skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Wiedziałem, że wrócisz po Kościeleckiego. Przyszłaś się wypowiadać przed ostatnim morderstwem?

Słowa zabrzmiały jak zarzut, choć nie chciał, żeby tak było.

– Nie wróciłam tu dla niego. – Katarzyna pokręciła głową. – Opuszczam miasto.

– Mam ci uwierzyć? – spytał Niemiec. – Daj spokój. Bartłomiej powiedział ci, że tu znajdziesz Kościeleckiego. Ale jego tu nie ma. Został na wyspie.

– Przyszłam pomodlić się za jego duszę. Co w tym dziwnego? Było mi po drodze.

– Pomódl się też za duszę Miriam. To dziewczyna, którą otrują. Niewinna dziewczyna, podobna do ciebie. Tylko młodsza. Miała przed sobą jeszcze wiele lat, Katarzyno. Mogła żyć.

W ustach Alfreda brzmiała gorycz.

– I żyje – oznajmiła ruda. – Tak samo jak i reszta. Zatruli się odwarem z niedojrzałego maku, ale żyją.

– Widziałem ich martwych. – Ostenwald pokręcił głową.

– Widziałeś ich śpiących. To działanie maku. W odpowiedniej dawce i z dodatkami w rodzaju kolcowoju pospolitego czy melisy uspokaja, a nawet osłabia oddech.

– To po co kłamałaś?! – Przyjrzał się kobiecie z uwagą.

– Chciałam być okrutna. Chociaż w słowach. Bo inaczej nie potrafię. Nie jestem morderczynią. Ani potworem.

W tej samej chwili do środka wdarł się Nieciszewski. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków do przodu. Twarz miał bladą i przejętą, a czoło ściągnięte wielkim wysiłkiem. Obrócili się oboje. Bartłomiej dopadł ławki i oparty o nią, usiłował najwyraźniej wydukać jakieś zdanie.

– Star... Staro...

Dopiero po chwili Alfred spostrzegł, że po policzku sędziego kapie krew. W tej samej chwili Nieciszewski legł, przewracając ławę.

W kościele rozległ się po raz pierwszy i ostatni dźwięk całkowicie obcy i niepasujący do takiego miejsca. Były to oklaski. Alfred wyszarpnął króćcę.

– Starosta – dokończył za Bartłomieja nieznajomy. W rękę chwycił miecz i natychmiast opuścił broń. Wszedł do środka w rozchełstanej, poplamionej krwią koszuli, spod której wyzierały tak samo zabrudzone bandaże, z potarganymi włosami i blady niczym śmierć. Sprawiał wrażenie mściwego ducha, przychodzącego odebrać zapłatę od osób, które wysłały go na drugi świat. Pot perlił się na jego czole, a podkrążone oczy świeciły się nienaturalnie.

– Andrzej Kościelecki – rozpoznał Alfred.

– Co zrobiłeś Janowi? – Katarzyna zasłoniła usta dłonią.

– Zaopiekowali się nim moi zbrojni. Spełnił swoją funkcję. Gdyby go nie zauważyli z gospody moi ludzie, w ogóle bym nie wiedział o twych odwiedzinach. Bądźcie spokojni, kościół jest otoczony.

– Andrzeju... – Alfred powstrzymał mężczyznę wyciągniętą ręką. – Uspokój się. Dojdziemy do porozu...

– Zawrzyj jadalnię, legacie. Za twoją głowę też jest nagroda. Myślisz, że nie pamiętam?

Ostenwald zerknął w kierunku rozciągniętego na drewnianej posadzce Nieciszewskiego.

– Myślałem, że to twój człowiek.

– To zdrajca, który zataił przede mną wiele spraw. Choćby istnienie Mateusza.

– Jak to? – Katarzyna ruszyła w stronę starosty. Minęła Alfreda.

– Nie miałem pojęcia o Mateuszu – zachnął się w odpowiedzi. – Oboje zatailiście jego istnienie przede mną. Ale to już nie ma znaczenia, prawda? No, no, nie podchodź tak blisko...

Kobieta zaśmiała się wyzywająco, stając naprzeciw mężczyzny. Starosta wymierzył jej policzek wolną ręką. Odskokzyła spoglądając z niedowierzaniem.

– Dość – oznajmił Alfred, celując do starosty.

Rudowłosa dotknęła policzka.

– Wyślesz mnie na stos? – zapytała bez ogródek, ignorując słowa Niemca. Widząc zachowanie Katarzyny, Ostenwald zawahał się i powoli opuścił dłoń z kolbą. Dał krok do tyłu. Miał wrażenie, że tych dwoje lepiej zostawić samym sobie.

– Gdybym chciał posłać cię w ogień, w ogóle bym tu nie wchodził – oznajmił, ukrywając szyderstwo, starosta. – Podpaliłbym kościół. Nie, moja droga. Zadałem sobie zbyt wiele trudu.

Raptowny krok, który dał Andrzej do przodu, całkiem zaskoczył kobietę. Alfred ujrzał jedynie, jak jej stopy tracą kontakt z podłożem, a na posadzkę kapie krew. Kobieta zwała się na podłogę, odsłaniając zakrwawiony miecz.

– Adonai – oznajmił, dokładnie akcentując każdą sylabę, Andrzej. Oczy mężczyzny lśniły obłędem. – Przyjmij moją ofiarę.

Ostenwald wyprostował ramię z króciwą, tym razem pewnie celując do zabójcy.

– Dlaczego?! – zawył na całe gardło. – Podaj mi jeden powód, dla którego nie miałbym cię zastrzelić!

– Podam ci nawet kilkanaście powodów. To moi ludzie. Stoją z kuszami i tylko czekają, żeby nimi naszpikować takiego głupca jak ty. Strzel, proszę. Obedrą cię żywcem ze skóry za zabicie szlachcica.

– Tacy jak ty powinni gotować się na wolnym ogniu w oleju – mruknął bezsilnie Niemiec. – A nie rządzić miastem.

– Taki był od początku plan, legacie – usłyszał cichy, modulowany głęboko głos starosty. Brzmiało w nim ponure rozmarzenie, wraz ze szczyptą okrutnego sarkazmu. – Ale jak idealnie klocki się dopasowały. Nawet nie masz pojęcia.

– O czym ty do kroćset mówisz?!

– O notatkach alchemika – odparł rzeczowym tonem mężczyzna. – A o czymże innym? Wedle

notatek Flamela potrzebowiałem trzech ofiar, aby dokończyć, co zaczął lata temu stary Bogumił. Duchownego, opętanego przez diabła i trzecią ofiarę, czarownicę. Nie mogły to być ofiary rytualne, lecz prawdziwe, męczennicze. Reszta była zbiegiem okoliczności. Jak twoje pojawienie się w mieście. Albo Mateusz. Bartłomiej Nieciszewski nic o tym nie wiedział, ale podesłał mi dwie ofiary, w jednej osobie. Mateusza. Szkoda tylko, że zapomniał nadmienić, że jest to zarazem mój syn.

– Nadal nic z tego nie rozumiem. – Ostenwald pokręcił głową. Palce Niemca zaczynały cierpnąć. Dłoń zadrżała.

– O duchownego znacznie łatwiej niż o człowieka, którego Szatan trzyma w mocy – dodał bez związku Kościelecki. – Widzisz, na początku pragnąłem, aby moje ofiary coś znaczyły. Jan Oporowski, syn Jana z Oporowa, którego wyjątkowa głupota i krótkowzroczność odebrały mi jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochałem, miał być duchownym. Ofiarą z czarownicy miała stać się sama Kaśka, w imię tego, że nigdy mi nie wybaczyła i nawet swoim listem zamierzała mnie wciągnąć w pułapkę. Problemem było znalezienie opętanego. Dziwne, zważywszy na to, ilu szaleńców błąka się po świecie. Ale dziwnym trafem ja nigdy nie trafiłem na prawdziwie opętanego przez złe moce.

– Trzeba było popatrzeć w lustro – wywarczał przez zęby Niemiec.

– W ogóle mnie nie rozśmieszyłeś – oznajmił Kościelecki. – Plotzlich twierdził, że masz poczucie humoru. Coś ci powiem, Ostenwald. Na początku naprawdę pomyślałem, że odebrałeś mi ofiarę, gdy skróciłeś męki Mateusza. Ale teraz głębiej zrozumiałem, co Flamel miał na myśli w swoich zapiskach. Ten dureń, Bogumił, myślał, że chodzi o krew! O rytuały. Ha! Tu cały czas chodziło o ofiarę! Prawdziwą ofiarę! O poświęcenie.

Dał niezdecydowany krok do przodu. Oczy starosty gorzały szaleństwem.

– A nawet, jeśli i ja źle to interpretuję, to ciemnica bydgoska pełna jest szaleńców. Z pewnością znajdzie się między nimi chociaż jeden nawiedzony przez złe moce.

– O co ci tak naprawdę chodzi? – zapytał Alfred, jednocześnie zdziwiony i oburzony osobliwym wyznaniem.

– O ofiary, Ostenwald. I ty będziesz jedną z nich. – To mówiąc, odwrócił się i ruszył do wyjścia. – Nie muszę brudzić sobie rąk krwią. To, co zrobiłem przed chwilą, było wyłącznie folgowaniem własnej przyjemności. Nie musiałem zabijać tej kobiety. Inni mogli uczynić to za mnie. Po prostu miałem na to wielką ochotę.

– Zaczekaj! – Alfred runął za nim. – Stój, bo strzelę!

– I nie wyjdiesz stąd żywy – usłyszał odpowiedź. Kościelecki spokojnie wytarł ostrze o kurtę sędziego i schował broń do pochwy. – Lepiej sam się poddaj.

Ostewald odciągnął kurek zamka i z wściekłym wyrazem twarzy cisnął pistolet między ławki. Wiedział, że starosta ma rację. Zresztą widział w oknach i przez drzwi zgromadzonych przed wejściem

kościół kuszaków.

Nie spodziewał się jednak, co usłyszy, gdy starosta opuścił przedsionek.

– Brać go! – zawołał donośnie. – W środku jest morderca kobiety, której zwłoki leżą w kościele.

# Rozdział 8

Ziemia dudniła pod kopytami koni. Zmuszeni zjechać z traktu, dotarli nad brzeg jeziora. Piach i woda rozbryzgiwały się naokoło, gdy kluczyli na płyciznach. W końcu skręcili w stronę brzegu i zwolnili. Tuzin mężczyzn w ubłoconych płaszczach, pod którymi ukrywały się czerwone tuniki z symbolem strzały i podkowy na środku. Jechali wolno, stępa, nie zważając na przejmujący, pędzący chmurami wicher, który zrywał się raz po raz i marszczył wody Gopła.

Wiódł ich starosta. Tuż za nim, w towarzystwie dwóch żołnierzy jechał więzień, którego ręce związane sznurem z przodu, aby nie spadł z konia i nie skręcił karku. Za Ostenwaldem i jego strażnikami podążał konno Nieciszewski, ponury i milczący, zapewne z powodu obrażeń na głowie atakujących go raz po raz nową falą tępego bólu.

Kościelecki szarpnął za wodze, zmuszając zwierzę do przygryzienia wędzidła i zerknął w stronę omiatanej śniegiem bryły zamku, widniejącej po drugiej stronie jeziora.

Zerwał się wiatr. Zamiótł i podrzucił liście. Drzewa zachwiały się. Coś odpowiedziało pomrukiem z trzewi ziemi.

Usłyszeli wołanie. Wszyscy poza sędzią obrócili głowy. Śladem bydgoszczan podążała grupa uzbrojonych jeźdźców w żółto-czarnych barwach. Przodem galopował na lekkim koniu szczupły, odziany w kaftan i związany pod pachami kaptur mężczyzna. W ręku dźrzyił sztandar, na którym, zamiast czarnego orła powiewał, na białym tle, kielich wraz z hostią.

– Panowie! – powtórzył nieco wyraźniej. – Panowie, stójcie!

– Coś za jeden? – zawołał jeden z żołnierzy.

– Zwą mnie Janko Ordowąż! – wykrzyczał przejętym głosem. – Jestem giermkim pana Jana Oporowskiego, który ku panom podąża i słówka się doprasza.

– Nasz pan nie ma czasu – odparł żołnierz. – Wieziemy przestępcę na przesłuchanie do zamku.

– Kruszwickiego zamku – wszedł mężczyźnie w słowo Janko. Jego chytrą twarz przeciął słaby uśmiech. – To posiadłość należąca do pana Oporowskiego. A kimże jest wasz przestępca?

– Słynny bydgoski morderca. Niemiec, Alfred Ostenwald.

– Z nim właśnie pomówić chciałby pan Oporowski. Nalegam.

Kościelecki wykrzyczał coś gardłowym głosem i kiwnął zdawkowo.

– Zatem pomówicie sobie panowie na zamku – odparł, odwracając głowę zbrojny. Andrzej Kościelecki ruszył w drogę. Za nim pociągnęli pierwsi jeźdźcy.

Wiatr gnał nad zamek posępne, nabuzowane chmury, z których spadły już pierwsze krople lodowatego deszczu. Oblodzony mur ciągnął się, przyparty do wieży. Miriam stała, oparta o blanki, wsłuchując się w wytłumione głosy kapiącej po rynnach wody. Nadal czuła oddziaływanie makowego mleka, lecz już jedynie w postaci bólu głowy i uczucia suchości w ustach.

Uwagę dziewczyny przykuł nagle spory, ponaddwudziestoosobowy oddział jeźdźców, przemieszczający się w mdłym świetle poranka. Poprzedzał ich jadący przodem chorąży. Mężczyzna wioził w ręku sztandar Kościeleckich, powiewającą na krwistoczerwonym tle strzałę z podkową zamiast grotu.

Stała, przypatrując się. Na początku drobne, podobne mrówkom sylwetki rosły. Mijały chwile, wypełnione głuchym dudnieniem kopyt. Wyostrzyły się zamazane początkowo rysy poszczególnych mężczyzn. Potrafiła już rozróżnić dwa herby. Pierwszy należał do czerwono odzianych żołnierzy bydgoskiego starosty. Drugim oznakowani byli jadący z tyłu, w pewnym oddaleniu od zbrojnych Kościeleckiego mężczyźni. Orzeł krzyczał czernią z jednolicie żółtych tunik i tarcz.

W pewnej chwili poczuła, że nie panuje nad drżeniem warg. Rozpoznała pochmurne oblicze wiedzionego przodem więźnia. Pod Miriam ugięły się kolana. Szybko zeszła na dziedziniec, kierując się w stronę stajni. Tu, pod murem, nadal panowała noc. Schody wychodziły na dziedziniec, na wprost zrujnowanych budynków gospodarczych. Przy klatce schodowej, w chybotającym świetle pochodni, w rozwianych płaszczach z kapturami, stali czterej strażnicy. Pozdrowiła mężczyzn niepewnym skinieniem.

Obserwowała przez chwilę wszystko w świetle trzymanej przez jednego ze strażników latarni, wciśnięta w płytki, wiodący na dziedziniec korytarzyk. Blask upodabniał głowę mężczyzn do łbów gigantycznych chrząszczy. Latarnia poruszyła się w przekłutej ćwiekami rękawicy. Cienie śmigwały w tym świetle, przemieszczając niczym czarne ptaszyska.

– A ty dokąd? – burknął jeden z żołnierzy.

Odburknęła pod nosem odpowiedź, której żaden z mężczyzn nie mógł usłyszeć, i szybko minęła zbrojnych.

Ze stajni rozlegało się nerwowe dudnienie kopyt. Dostrzegła ślepią koni iskrzące w ciemności. Przez cały dzień ośmiu mężczyzn ścigało rozpędzone po okolicy wierzchowce. Nawet teraz zwierzęta były jeszcze niespokojne. Zaznały wolności, której Miriam nigdy nie pozna.

Od razu podeszła do wyróżniającego się wielkością ogiera o oleście czarnej maści i masywnej szczęce. Zwierzę było spokojne, niemal ospałe. Obok odkryła przewieszoną przez barierkę kulbakę o wyjątkowo wysokich łękach. Chwyciła siodło i westchnęła z wysiłku. Kulbaka niemal ją przeważała, gdy wciągała ją na wierzchowca. Przytroczone do siodła juki wydały się Miriam podejrzenie ciężkie. Odgarnęła klapę i wydobyła podzwaniający miech. Złapała go mocno w obie garście. Nie zaglądając do

środką, wiedziała, że zawiera monety. Pokażny trzos monet. Pękate kształty wypełniające wór dzwoniły, jak tylko złoto potrafi podzwaniać.

Początkowo pomyślała, że tylko głupiec trzymałby tyle złota w jukach. Potem jednak doszła do wniosku, że coś się musi za tym kryć. A jeśli Plotzlich celowo się tak przygotował? Może planował ucieczkę? Ciekawe, skąd miał to złoto... Były Krzyżak był pełen sprzeczności, ale przede wszystkim mrocznych sekretów.

Osiodłała konia w ciemnościach i poprowadziła zwierzę wzdłuż ściany.

Wychodząc na dziedziniec, starała się przybrać hardą minę.

– Oszalałaś? – Zbrojny zastąpił jej drogę. – To koń Plotzlicha! Gdzie go zabierasz?!

– Karol kazał go przyprowadzić pod bramę – oznajmiła. – Puścisz mnie? Czy może chcesz sam z nim na ten temat porozmawiać?

– Ja... Eeee... – Imię byłego Krzyżaka wywarło dokładnie taki wpływ na mężczyznę, jaki miało wyrzecz.

– No widzisz. – Z każdego słowa dziewczyny biła pewność siebie. Mówiła coraz szybciej, natężonym złością głosem. – Nie potrafisz wydusić nawet słowa. Przepuść mnie, bo zaraz sama pójde po Carolusa i opowiem, jak mnie usiłowałeś zatrzymać, ignorując rozkazy.

Miała wrażenie, że dostrzegła nerwowy skurcz na twarzy mężczyzny. Któryś z kompanów żołnierza odciągnął biedaka na bok, kręceniem głowy dając do zrozumienia, że nie warto się stawiać.

Drżała, prowadząc wierzchowca do bramy. Blef się powiódł, myślała, ale na jak długo? W dodatku zaczął coraz mocniej siąpić deszcz. Prawie natychmiast przemoczył ubranie dziewczyny. Lodowaty kaftan stał się w ciągu paru chwil boleśnie ciężki, po kilku następnych zeszywniał na jej ciele.

Ostrożnie wsunęła się w siodło i przejechała pod kratą z pochyloną do przedniego łęku głową. Usłyszała za sobą okrzyki mężczyzn. Po chwili galopowała. Jej włosy zmagaly się z wiatrem bijącym Żydówkę po twarzy.

\*\*\*

– Zwą mnie Jan z Oporowa. Jestem starostą kruszwickim – rzucił od wejścia Jan Oporowski.

– Witam w moich skromnych progach – zakpił ochrypłym głosem Alfred. – Proszę się rozgościć, starosto.

– Wiem wszystko od sędziego. – Oporowski kiwnął głową. Umieszczono Alfreda w tej samej pokrytej liszajami brudu i saletry kwaterze, gdzie poprzednio. Blask pochodni, trzymanej przez pochmurnego mężczyznę, towarzyszącego Oporowskiemu, omiółł ciemności. Niemiec zauważył czarnego, groźnie wyglądającego orła zdobiącego żółte tuniki obu mężczyzn pospołu z trzema



kamieniami wypełniającymi herbowe pole u dołu.

Wstał z klęczek.

– Modliłeś się, panie? – zapytał Oporowski.

– Nie jestem religijny – odmruknął Alfred. – Od czasu do czasu pozwalam sobie jednak na rozmowę z Bogiem. A wtedy z przyzwoitości klękam.

– Za to twoja przyjaciółka jest bardzo religijna – oznajmił Jan, po czym kiwnięciem wyprosił zbrojnego, odbierając od mężczyzny pochodnię.

– Nie wiem, kogo masz na myśli, panie – wyrzucił z siebie Ostenwald.

Usłyszał brzęk. Starosta celowo upuścił coś z ręki. Alfred chwycił w palce okrągły wisior przedstawiający coś, co wyglądało na symbol płomieni. Albo hebrajską literę.

– Co to jest? – Wzniósł spojrzenie.

– Myślałem, że ty mi to powiesz. Karczmarz, którego przepytywałem, mówił mi, że szukasz w Kruszwicy znajomej Żydówki. Wszystko wskazuje na to, że to należy do niej.

– Ach, tak? – Alfred skrzywił się, oglądając pod światło medalion. – A co na to wskazuje? Bo Miriam jest jeszcze mniej religijna ode mnie. A ten wisior przedstawia dwie cyfry, Alef i Bet. Symbolizują nieskończoność, Boga. To nie w stylu Miriam.

– Powiem prosto z mostu. Ktoś mnie zaatakował. Na początku podejrzewałem mężczyznę. Może to byłeś ty? Zdziwiająco dużo wiesz o hebrajskim.

– Co masz na myśli? – Zmierzył Oporowskiego spojrzeniem. Mężczyzna sprawiał wrażenie raczej niepozorne, lecz zmarszczone czoło i trzeźwe spojrzenie skupionych oczu znamionowały silny charakter.

– Ty i ta kobieta jesteście poszukiwanymi zbiegami. Tak przynajmniej powiedział mi pan Andrzej Kościelecki. Kilka lat temu zamordowaliście kilku zakonników.

– To teraz jest ich już kilku? – wysyczał Alfred. – Pięknie.

– Jeden, kilku, nie rozumiem różnicy.

– A szkoda. Bo to wszystko kłamstwo. Nikogo nie zamordowaliśmy. A jeśli szukasz Miriam, to ja jestem ostatnią osobą, którą powinieneś zapytać. Spytaj Carolusa. To ten wielki, z brzydką gębą. Sypia z Miriam. Choć może się nikomu do tego nie przyznawał, są od niedawna kochankami.

Oporowski westchnął i przeszedł się po izbie. Myszy umknęły od światła. Lecz nie przestały popiskiwać.

– Ten medalion, który trzymasz – wskazał pochodnię Jan – został zerwany z szyi zamachowca, który porwał się na moje życie. Wedle tego, co sam wiem i dziwnego mamrotania zabójcy, doszedłem do wniosku, że to jakiś żydowski fanatyk.

– Udało mu się uciec po próbie zamachu? – zapytał bez specjalnego zainteresowania Alfred.

– Moi ludzie go przepędzili – zgodził się Oporowski.

– A co takiego mamrotał?

– Coś o ofierze.

– „Adonai, przyjmij moją ofiarę?” – wyrecytował beznamiętnie Niemiec. Oporowski zadrzał.

– Skąd wiesz?

– Nie chcesz wiedzieć, kto się na ciebie porwał, panie. – Alfred wbił spojrzenie w rozciągnięte skrzydła czarnego orła. – A nawet jeśli ci powiem i tak mi nie uwierzysz. A nawet jeśli mi uwierzysz, to i tak mi nie pomożesz. Znam was, panowie szlachcice. Dbacie wyłącznie o własne interesy. A to, o czym nie wiecie, to nie wasza troska. Lecz tym razem wszyscy możecie za to zapłacić. Wśród was bowiem, w waszych szlachetnych szeregach, ukrywa się szaleniec. Łotr i szuja, któremu służą jeszcze gorsi od niego. A jeśli nie wierzysz, a nie sądzę, abyś uwierzyć był skłonny, zapytaj pana Andrzeja Kościeleckiego. Bo to z jego ust usłyszałem przytoczone przeze mnie słowa. To on jest szaleńcem, o którym mówię.

Szlachcic stał z wpółotwartymi ustami. Zmierzył raz jeszcze więźnia lodowatym wzrokiem.

– Wierzę ci – oznajmił.

– Wierzysz?

– Wierzę – potwierdził, westchnąwszy. – Niestety, masz także rację co do mnie. Moja wiara nie ma żadnego znaczenia. Kościeleccy to potężny ród. Do tego zaprzyjaźniony, ba, spokrewniony z Oporowskimi. Jeśli dziś wystąpię przeciw nim, jutro pożałuje tego cała moja rodzina.

– Twój ojciec już pożałował.

– Nic nie wiesz o moim ojcu – wysyczał Oporowski.

– Poznałem go.

– To niemożliwe. Jan z Oporowa...

– Przeżył ten pożar – dokończył Alfred. – Nie wiem, gdzie jest teraz, ale przez długi czas zamieszkiwał zamek. Ludzie sądzili, że jest duchem.

– To niemożliwe.

– Pomóż mi, a udowodnię, że moje słowa są prawdą.

– Za późno – odparł po chwili namysłu Oporowski. – Nie w twojej sytuacji.

– A jaka jest moja sytuacja? – parsknął gniewnie Niemiec.

Jan spuścił wzrok.

– Ktoś przyjdzie do ciebie. Zadba, że nie opuścisz tej celi. Nieciszewski nie powiedział mi tego wprost, ale bardzo subtelnie zasugerował. Jesteś dla Kościeleckiego zawadą. Teraz zaczynam rozumieć dlaczego.

– Nie ja jeden – oznajmił Alfred. – Twój ojciec wie, kto wywołał pożar na zamku. A tobie, panie, bardzo się dziwię.

– Dlaczego?

– Że jako starosta kruszwicki pozwalasz u siebie na takie bezprawie.

– To nie jest bezprawie. – Głos starosty stał się osobliwie natężony, jakby słowa nie mogły przejść mężczyźnie przez gardło. – Oni twierdzą, że mają przekonujące dowody świadczące o twej winie. Andrzej na własne oczy widział, jak zamordowałeś z zimną krwią tę kobietę.

– On ją zamordował.

Wzburzenie pojawiło się na twarzy kruszwickiego starosty.

– Na litość boską! Czego ode mnie oczekujesz? Twoje słowo nie waży tyle, co słowo szlachcica!

– Czego oczekuję? – odparł Alfred. – Sprawiedliwości. Prawa.

– Mam pod sobą trzynastu ludzi. Po więcej musiałbym posłać do Oporowa. Zanim wrócę, będzie po tobie.

– Masz tu też sędziego. I po twojej stronie stoi władza.

Oporowski zaczął chodzić po izbie. Wyglądało na to, że ostatnie słowa Alfreda bardzo starostę zezłościły. Długo i z namysłem spozierał na więźnia.

– Daj mi dwie doby – rzekł. – Zobaczę, co się da zrobić. Postaraj się tylko nie zginąć w tym czasie.

– To już ode mnie nie zależy – odrzekł oschle Alfred. Oporowski zastukał w drzwi. Potem opuścił komnatę, pozostawiając Niemca samego. Ostenwald czuł mętlik w głowie.

\*\*\*

Miriam pędziła przez ciemny las wypełniony przez stare, szumiące sosny, świerki i wierzby. Gałęzie kuły dziewczynę w policzki, smagały twarz, czepiały się ubrania. Dziewczyna przyparła do grzbietu olbrzymiego, czarnego ogiera. Pozwalał się prowadzić, choć nie należał do niej. Pędziła na złamanie karku, galopując, jakby ją wszyscy diabli gnali. Ogon jej kaptura podrygiwał w takt silnych powiewów wiatru. W końcu któryś podmuch zerwał nakrycie z głowy Żydówki. Na szczęście deszcz zelżał, choć wilgotny kaftan potwornie ciążył. Czowała piekące uda i chyba miała gorączkę.

W jukach brzęczały monety, ukryte w pokażnej sakwie. Uśmiech przecinał policzki dziewczyny. Pot kleił czoło. Była bogata. Bogata! Byle tylko zdołała umknąć.

Koń zapał się, zakręcił wkoło. Podreptał w miejscu. Zupełnie jakby odczytał myśli dziewczyny. Miriam krzyknęła, napinając uda. Zwierzę ani myślało się uspokajać. Wbiła świecące oczy w ciemność przerywaną wąskimi pryzmami topniejącego śniegu.

Przerzuciła stopę nad karkiem spoconego wierzchowca.

Musiała być już daleko. Gdzieś na południe ciągnęła się droga na Włocławek. Trzeba tylko jej poszukać.

Ogier zwiesił ponuro błyszczący łeb. Pociągnęła za uzdę. Na nic. Nie miała dość siły. Przewiązała zwierzę do drzewa i obeszała pustą, omiecioną tylko kobiercami zeszlórocznych liści przestrzeń pod drzewami.

– Nie grzeszysz rozumem, dziewczyno – mruknęła pod nosem. – Czeka cię noc pod gołym niebem w środku zimy.

Jakieś wspomnienie sprawiło, że jej usta znowu przeciął uśmiech.

– Za to z innymi formami grzeszenia idzie ci całkiem nieźle – dodała, zastanawiając jednocześnie, po co mówi do siebie.

Usłyszała dudnienie kopyt. Dochodziło zewsząd. Przerazona, że to pościg, przyparła do ziemi, zagrzebując rękę w liściach i rozgrzebując ziemię.

– Czy to już sumienie, czy tylko strach przed karą? – zapytała sama siebie. Parsknęła. Wstała z czworaków, szemrając pod nosem. Szept dziewczyny był osobliwym, niknącym dźwiękiem. Spojrzała w dal i zamyśliła się. Pomyślała o tym, co zobaczyła z muru kruszwickiego zamku.

– Nich cię wszystkie diabły porwą, Alfredzie Ostenwaldzie! – warknęła w głos, a jej myśli pobiegły w kierunku Niemca. Skłęła samą siebie za ten przejaw niepotrzebnych uczuć. Nic jednak nie mogła poradzić. Nadal coś do niego czuła.

Pomyślała, że Ostenwald może mieć poważne kłopoty. Oraz do czego zdolny jest Plotzlich, aby tylko zdobyć informacje o zrabowanym złocie. To, co były Krzyżak pokazał na przedmieściu karmelickim w Bydgoszczy czy podczas awantury na Bartodziejach kilka lat temu, było wystarczającym potwierdzeniem szatańskiej wprost reputacji.

Raz jeszcze przeklinając siebie samą w myślach, odwiązała konia i zawróciła zwierzę z powrotem.

\*\*\*

Alfred zamarł, zaciskając kurczowo wargi. Usłyszał kroki rozbrzmiewające na schodach. I ponure gwizdanie, zbliżające się z każdą chwilą.

Mijały wypełnione nerwowym oddechem chwile. Podszedł do ściany mieszczącej okute żelaznymi sztabami drzwi. Rozległ się dźwięk skrzypiącego zamka. Drgnęła klamka. Poczuł, jak jego serce przyspiesza. Stał na wprost wejścia.

Gdy tylko wrota zaczęły się otwierać na zewnątrz, runął na nie z impetem. Coś załomotało po drugiej stronie. Usłyszał wrzask, tumult, a w końcu brzęk kluczy na metalowym kole. Wrota uchyliły się lekko. Światło pochodni uderzyło w oczy Niemca. Zza progu rozległo się wściekłe parsknięcie i cedzone po

niemiecku przekleństwa. Nie czekał. Rozwarł drzwi, napierając na nie z całej siły. Zdezorientowane oczy stojącego w korytarzu mężczyzny wpiły się w Niemca z nagle obudzoną wściekłością. Zmarszczone czoło bandyty krwawiło w okolicy skroni. Zbir zgrzytnął krzywymi zębami i zamachnął trzymaną w ręku pochodnią. Alfred uskokzył. Odkleił plecy od ściany.

– Bierz go, Wolf! – zawołał ktoś z tyłu. Buty zaszurały donośnie. Niemiec zgarbił się, przygotowując do obrony. Lecz mężczyzna, zamiast zaatakować, zerknął na kompanów w poszukiwaniu wsparcia.

– Tchórz – mruknął Ostenwald. Pokryte krostami oblicze mężczyzny wykrzywiło się, a w ręku drugiego, barczystego bandyty błysnął słabo nóż.

– Nie opieraj się – powiedział mężczyzna z nożem. – To może nie będzie tak bardzo bolało.

Za dwójką bandytów stało jeszcze trzech innych. Jeden niósł w rękach lniany worek, pozostali pałki. Przyszli przygotowani – pomyślał Alfred.

Ostenwald wyprowadził prawy prosty, mierząc w spiczastą szczękę mężczyzny trzymającego nóż. Głowa bandyty zawisła przez chwilę na masywnym karku. Potrząsnął łbem. Cios Niemca nie zrobił na nim większego wrażenia.

– No to teraz się doigrałeś, synku – wybełkotał.

Alfred, nie myśląc za długo, złapał w rękę zydel i z całej siły zdzielił kafara w twarz. Korytarz wypełnił huk. Drewno pękło na pół, a zbir zatoczył się w stronę schodów. Warknął słabo, przytrzymując się ściany. Ostenwald napał na drugiego z bandytów, popychając w tył. Zwalił tym przeciwnika z nóg. Mężczyzna, padł w ramiona trzech kamratów przemieniając ich w kłębowisko nóg i ramion. Usiłował wyhamować jakoś nogami, lecz impet był zbyt wielki. Pochodnia wypadła mu z ręki i tocząc się, zajęła szaty kolejnego bandyty. Mężczyzna zawył i tupiąc głośno, zaczął okładać pałką zajęte ogniem portki i płaszczy.

Alfred stał, zdumiony rosnącym w świetle pochodni cieniem. Rzucały go ramiona zbirów oraz dziwna, stojąca za nimi sylwetka. On jeden widział, jak ściana ożywa trzepotem olbrzymich, pierzastych skrzydeł.

Potrząsnął głową. Miewałem już halucynacje – pomyślał – ale nigdy takie.

– Nakazuję wam go zostawić – rozległo się zewsząd. Korytarz wypełniła niesamowita, napięta cisza. Słychać w niej było świszczące oddechy zabijaków. Wszyscy wyteżyli słuch. Głos dudnił w głowie jak dźwięk dzwonu. Lecz w korytarzu stali tylko bandyci i ich ofiara.

– Też to słyszałeś? – zapytał ospowaty zabijaka. Spojrzał w kierunku drugiego bandyty. Mężczyzna kiwnął stanowczo pokrytą przez ryżą szczecinę głową.

– Dobra, chłopaki, róbmy co trza – oznajmił mężczyzna z workiem w rękach. – Ciarki mnie tu przechodzą. Bierzmy się za gagatka.

Dwaj pozostali kiwnęli zdawkowo głowami i ruszyli na Alfreda.

– Błagaj o zmiłowanie! – Z mroku wystrzeliła świetlista ręka. Złapała za włosy ospowatego. Ofiara poczuła mocne szarpnięcie do tyłu. Zataczając się, usiłowała wymierzyć napastnikowi kopniaka, całkiem tracąc przy tym równowagę.

– Głupcy – usłyszeli. – Głusi na moje prośby.

Tym razem w pustym, wypranym z emocji głosie zabrzmiała drwina. Rozejrzeli się. Teraz dostrzegli postać mężczyzny. Szedł w ich kierunku, a raczej płynął w swoim połyskującym, czarnym płaszczu.

Szczupłą, pociągłą twarz rosnącego mężczyzny pochłaniały ciemności i rąb czarnego kaptura wieńczącego połyskującą szatę, która oblekała chude ciało, uwydatniając wystające obojczyki i żebra. W mroku rozbłysły oczy. Złowrogi uśmiech przeciął wargi nieznanego. Ostenwald nigdy nie widział piękniejszego oblicza. Regularne rysy ze szlachetnie złamanym nosem i łagodnymi łukami brwi łamało nieco spojrzenie trochę wyłupiastych, pozbawionych brwi i rzęs oczu. Z twarzy obcego bił lodowaty chłód. Sarkazm odcisnięty na wąskich wargach i zmarszczonym, wysokim czole był przerażający, a spojrzenie jasnoblękitnych oczu odpychało, naznaczone poczuciem wyższości, a nawet pogardy.

– K... kim jesteś? – zapytał cieniutkim głosem jeden z bandytów. Nieznajomy zatopił w biedaku wyłupiaste, połyskujące żarem oczy.

– Jam jest ręką, która wymierza sprawiedliwość – wyszeptał wieloma głosami. – Ogniem zemsty płonąłym w ciemności występku. Okażcie skruchę albo pochłonie was ogień oczyszczenia!

– Jesteś wariatem. – Ospowaty zbir pokiwał głową. Lecz głos, którym wypowiedział te słowa, był drżący i niepewny.

– O nie, nie jestem obłąkany – odparł melodyjnym głosem nieznanego. – To próżność i pycha przemawia twoimi ustami, grzeszniku. Ta sama próżność przyciągnie was wszystkich ku zgubie i wiekuistemu cierpieniu.

Alfred tylko przez chwilę stał, zdumiony pojawieniem się tajemniczego mężczyzny. Runął na niespodziewających się ataku bandytów. Wziął rozbieg i wyprowadził kopniaka. Uderzenie przestawiło szczękę ofiary, posyłając zdumionego mężczyznę w stronę obleczonego w lejące się szaty szaleńca. Łagodny ruch nieznanego miał coś z tańca. Mężczyzna zszedł z drogi, unikając zderzenia z bandziorem.

Kamrat przewróconego zbira usiłował zareagować i wymierzyć Niemcowi cios pałką. Nagle jego nadgarstek znalazł się w garści nieznanego. Pobladły zabójca spojrział zszokowanym wzrokiem.

– Matko przenajświętsza – wybełkotał, spoglądając w twarz obcego przybysza. Intensywne spojrzenie pozbawionych uczuć oczu mierzyło go spokojnie, podczas gdy ścisną rękę ogarniał niewyobrażalny żar, zupełnie jakby pochłoneły ją płomienie.

Zbir zaczął się dostrzegalnie trząść. Wreszcie padł na kolana i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Błagam... – wychrypiał.

– Na nic twe prośby, niegodziwcze.

Oczy nieznajomego rozbłysły. Leżąca na podłodze żagiew rozbłysła. Ogień wzbił się, ogarniając ubrania bandytów. Korytarz wypełniły krzyki. Mężczyźni rzucili się do schodów, wrzeszcząc wniebogłosy.

Po chwili, wśród dymu i zapachu spalonych włosów, stał już tylko obcy mężczyzna oraz Alfred. Niemiec mierzył nieznajomego wzrokiem pełnym lęku, ale i fascynacji.

– Jesteś od Oporowskiego? – mruknął, dobrze wiedząc, że nie.

Mężczyzna pokręcił powoli głową.

– W takim razie kto cię przysłał? Kurozwęccy?

– Nie – odparł modulowanym głosem nieznajomy. Jego młodzieńcze, pozbawione zmarszczek oblicze wygładził osobliwy, tętniący pod skórą blask.

– Wiem o tobie wszystko, Alfredzie Ostenwaldzie. Wiem, że czujesz się winny pohańbienia tej biednej kobiety mieszkającej do niedawna na zamku.

– Czuję się winny jej morderstwa – poprawił nieznajomego Alfred.

– Mogę ci pomóc w odzyskaniu szacunku do siebie. Mogę ci pomóc w zemście.

– Co chcesz w zamian?

– Żebyś otworzył oczy. Żebyś otworzył uszy i duszę, przyjacielu.

– Nie jestem twoim przyjacielem – odparł oschle Niemiec. – Nie znamy się.

– Ja ciebie znam. I obserwuję. Od początku twojego pobytu tutaj. Otwórz się na mój głos. Otwórz się na ogień oczyszczenia.

Gdy usta mężczyzny otworzyły się, buchnął z nich ogień i słowa zlane razem w jedno. Różne obrazy wypełniły głowę Alfreda Ostenwalda, a jego pierś przeszył potworny ból. Padł na podłogę, nie mogąc znieść rozbłysków ognia trwających pomimo zaciśniętych kurczowo powiek.

Obcy spokojnie zerwał z ramion płaszcz. Rozbłysło ostre, nieprzynoszące ciepła światło. Lecz kłęczący na posadzce Niemiec nie zobaczył blasku. Okrył go czarny, nieprzepuszczający blasku całun.

\*\*\*

Alfred z trudem panował nad wierzchowcem. Wrócił tą samą przeprawą, którą wskazał mu Nieciszewski. Jechał przez szeroką kruszwicką ulicę. Miasto zwrócone jakby bokiem do położonego na wyspie zamku, rozdzielone rozległą połącią bagien i wionących pustką uprawnych pól, przemienił śnieg. Powietrze wypełniła osobliwa, wilgotna woń zamarzniętej wody pomieszana z metalicznym odorem

krwi. Lecz nozdrza Ostenwalda chłoneły wyłącznie jeden zapach. Czuł ogień.

Raz po raz ogarniał spojrzeniem zabłoconą drogę. Nad głową mężczyzny majaczyły spadziste dachy pokrytych szachulcem domów, liczne kramy, a tuż za nimi wysokie drzewa. Okna Kruszwicy patrzyły na Ostenwalda niczym na intruza. Wyglądały tak, jakby chciały pochłonąć całe światło. Miasto sprawiało wrażenie wrogiego, nawiedzonego miejsca.

Wiedział, że ktoś za nim jedzie. Nie. Czuł to. Od samego zamku.

– Ostenwaaaaaaaald! – zawył gruby, męski głos. Alfred spokojnie obrócił wierzchowca bokiem i stanął twarzą w twarz z uzbrojonym aż po wystające znad kołnierza zbroi zęby mężczyzną. Zwierzę, na którym jechał odziany w hartowaną zbroję rycerz, ciężko parskając, nieprzyzwyczajone do kropierza. Pokonując dzielący dwóch jeźdźców dystans, dereszowaty koń gubił krok. Raz po raz rozlegał się łoskot zbroi.

Wkoło rozbrzmiewały zatraskiwane przez przestraszonych mieszczan okiennice.

– Plotzlich? – wykrzyknął Alfred, nie od razu rozpoznając rycerza. Dopiero po chwili namysłu nabrał pewności, z kim ma do czynienia. – Jeszcze tylko ciebie tu brakowało.

– Co zrobiłeś moim ludziom?! – warknął były Krzyżak. Na głowie mężczyzny podzwaniał psi kaptur z podniesioną zasłoną.

– To oni byli od ciebie? – Ostenwald nie ukrywał zaskoczenia.

– Nic, co wyprawia Kościelecki, nie dzieje się bez mojej wiedzy – odparł zadowolonym z siebie głosem były Krzyżak. – No więc? Co im zrobiłeś?!

– Ja? Nic – odparł zgodnie z prawdą Ostenwald. – Dosięgła ich boska kara.

– Nie drwij. Pięciu dorosłych mężczyzn zachowuje się jak dzieci. Przestraszyłeś ich, Ostenwald. Nie wiem jak i nie wiem czym, ale traktują cię jak wcielenie diabła.

– Nie drwię – odparł krótko Niemiec. – A to, co mówisz, uczynił kto inny, nie ja.

– Nie wiedzieli tam nikogo poza tobą, Ostenwald. Nie opowiadaj bajek. Kto inny mógł to uczynić, co?

– Anioł zagłady. Cherub. Nazwij go jak chcesz.

Plotzlich prychnął złowrogo.

– Z tego co pamiętam, nie wierzysz w takie rzeczy.

– Cóż, Bóg otworzył mi oczy, Krzyżaku. Otworzył je ogniem. Twoje także otworzy. Czeka nas Dzień Sądu. Dzień Oczyszczenia. Mateusz dobrze o tym wiedział.

– Mateusz był szaleńcem – zaprzeczył Carolus, po czym spiął konia ostrogami. Zwierzę jednak nie zamierzało się poddać. Targnęło łbem, wierzgnęło i prawie usiadło na zadzie. Głośne tapnięcie niemal wysadziło Karola z siodła. Uderzenie powinno wbić blachy zbroi głęboko pod żebra mężczyzny. Lecz



mimo, że zatrzęsała się cała zbroja, jeździec wyprostował się pomiędzy łękami siodła.

– Bydle, nie koń – warknął Plotzlich, mierząc Alfreda wzrokiem, to znów zerkając na wierzchowca.

– Zachowuje się, jakby i on się ciebie bał.

– Nie mnie – oznajmił stonowanym głosem Ostenwald. – Czuje ognistą rękę. Czuje łaskę ognia, Krzyżaku. Ty także ją zaraz poczujesz.

– Schlałeś się? Czy objadłeś bieluna? – zadrwił Carolus. Pokręcił głową. – Co się z tobą stało? Czemu nie pytasz mnie o Miriam, a zamiast tego pleciesz bzdury?

Alfred spojrzał na Carolusa, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Możesz ją sobie wziąć, Plotzlich – rzucił. – Nie mam zamiaru folgować cielesnym uciechom. Zmieniłem się.

– Nikt się aż tak nie zmienia.

– Ujrzałem światło, Krzyżaku – odparł, a w oczach Niemca zamigotał obłęd. – W nim ujrzałem wszystkie niegodziwości, których się dopuściłeś ty i tobie podobni. Cnotliwi będą błagać przed tronem Pana, lecz potwory twego pokroju nie dostąpią nawet tego. Pochłonie cię krew i ogień. Zostanie ci wymierzona sprawiedliwość.

– I kto mi ją wymierzy?! – zakpił Carolus. – Ty?!

Alfred kiwnął zdecydowanie głową.

– No to bierz się do roboty – oznajmił Plotzlich, po czym nakrył twarz zasłoną i wyszarpnął z pochwy na plecach ogromny półtorak.

Koń Carolusa zachrypiał i zarżał, odrzucając łeb na tyle, na ile pozwoliła zbroja. Strzępy kropierza zadzwoniły po bokach zwierzęcia. Jeździec ściągnął cugle, przywołując wierzchowca do porządku, a koń wyprostował się i pogalopował prosto na Alfreda. Niemiec ściągnął wodze, lecz uczynił to za późno. Zwierzęta zderzyły się bokami, a wierzchowiec Ostenwalda usiadł na zadzie i głośno zakwiczał. Na szczęście Niemiec wyrwał stopę ze strzemienia, unikając zmiżdżenia pod kropierzem.

Carolus objechał ofiarę i wprawnym chłapieniem ogromnego bastarda odrąbał łeb przewróconego, wierzgającego konia. Alfred zerwał się z ziemi. Uskoczył, unikając śmiercionośnych kopyt. Plotzlich uniósł nad głowę miecz. Niemiec pochylił głowę na chwilę, zanim głównia rozorała powietrze.

Ostenwald runął do ucieczki. Zaledwie po chwili poczuł na karku ochryple sapanie rumaka.

– Wracaj i walcz! – zahuczał Carolus.

– Może później! – odkrzyknął Alfred. Wierzchowiec Plotzlicha przeciął mężczyźnie drogę. Ostenwald wzniósł oczy wysoko. Usłyszał dobiegający zza zasłony hełmu ochryply śmiech.

Naręczak opadł znowu. Alfred wiedział, że nie zdoła zrobić uniku. Usłyszał szuranie. A po nim huk. Otworzył zaciśnięte kurczowo powieki. Zobaczył bełt utkwiony w brzuchu zwierzęcia. Koń wierzgnął

w miejscu, a Ostenwald zlustrował okolicę.

Plotzlich nie rozumiał, co się dzieje z wierzchowcem. Szarpnięcia za uzdę nie pomagały, wierzchowiec kładł się powoli na brzuchu, głośno sapiąc. Wreszcie legł na boku, pociągając za sobą pana.

– Role się odwróciły. – Alfred doskoczył do uwięzionego pod siodłem rycerza. Zamachnął się, usiłując rozplatać rękawicę jeźdźca i tym samym pozbawić go broni. Lecz przeciwnik dysponował niezwykle wprost wytrzymałością. Zebrał cios na zastawę. Zaśmiał się ochryple, chwytając drugą ręką za ramię Ostenwalda. Alfred poczuł, jak zmiążdżone palce chrupoczą pod karwaszem Krzyżaka i zgiął się z bólu. Carolus wyszarpnął stopę spod kulbaki i całym ciężarem ciała powalił ofiarę. Potem zawisł nad Ostenwaldem. Zaśmiał się tak dziko, że zmroziło krew w żyłach legata.

– To już koniec... – mruknął gardłowo, ryczącym głosem. – Teraz zrobię to, co powinienem uczynić dawno temu.

Nie dokończył. Łupnięcie targnęło jego uwięzionym w zbroi ciałem. Jeszcze przez chwilę nie docierał do Carolusa ból. Po prostu wpatrywał się w rozłupany napierśnik. Z pęknięcia blachy wystawał niczym żerdź gruby jak palec belt, wepchnięty niemalże po lotkę. Wyszarpnął pocisk. Spod zbroi siknęła w dół, ściekając po każdym fragmencie zbroi, posoka.

Krzyżak zakołysał się w miejscu i wypuścił miecz z rąk. Potem padł na kolana i wreszcie na bok. Zadzwoniły blachy zbroi.

Alfred obrócił głowę pod nienaturalnym kątem. Między domami stała drobna, zgrabiona sylwetka. Rozwiane włosy szalały na wietrze, a w rękawicach kobiety tkwiło łoże ciężkiej, zaopatrzonej w antabę kuszy.

– Alfred! Odsuń się od niego! – oznajmił szorstki, pełen mocy głos, tak niepasujący do mizernej sylwetki.

– On nie żyje! – wykrzyknął Alfred.

– Nie byłabym taka pewna. – Miriam ruszyła biegiem.

– Co ty tu robisz? – zapytał Niemiec. Oddychał z trudnością. Jego czoło pokryte było rozmazaną krwią.

– A jak myślisz?! – Spojrzała zuchwale w twarz mężczyzny. – Wróciłam po ciebie, idioto.

Nachyliła się nad ciałem Krzyżaka. Trąciła trupa żelaznym łuczyskiem pewna, że zaraz poczuje uścisk pancernej pięści. Tak się jednak nie stało. Carolus nie był tak nieśmiertelny, jak zawsze utrzymywał. Wypłowiłe oczy śniętej ryby wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w zachmurzone niebo.

– A Carolus? – Alfred wskazał trupa mieczem. – Ostatnio byłś po jego stronie.

Przez chwilę mierzyła wzrokiem Niemca, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Niedaleko stąd zostawiłam konia – mruknęła, odwracając się. – Kiedy usłyszałam krzyki, wolałam tu przybiec. Ciężko zapanować nad bydlakiem. Chodźmy już. Nie chcę, żeby ktoś mi go zwinął. Przy koniu jest złoto. Cała masa złota.

Podeszła i złapała Alfreda za rękę. Wyrwał palce i dał krok do tyłu.

– A ty co? – wykrzyknęła.

– A ja nie idę. Nie ufam ci, dziewczyno.

– Daj spokój! – Chwyciła rękę mężczyzny. Tym razem stanowczo ją odepchnęła.

– Co to za złoto? – spytał.

– Musisz pytać? Po prostu. Złoto.

– Komu je ukradłeś? Kościeleckiemu? A może Plotzlichowi?

– Alfred, wynośmy się stąd. – Błagalny ton przeszedł w coraz groźniejsze ostrzeżenie. – Jak tu zostaniemy, możemy tego srogo żałować. Jeśli nie pójdziesz ze mną, idę sama.

Przez chwilę mierzył dziewczynę spojrzenia z niesmakiem widniejącym na twarzy. W końcu się poddał.

– Zgoda. Pójdę z tobą. Ale potem wszystko mi dokładnie wyjaśnisz.

Posłała w kierunku Niemca zuchwałą uśmiech.

– Dokąd idziemy? – zapytał, widząc, jak Żydówka się odwraca.

– Do gospody. Tam został koń.

Szli w pośpiechu, mijając okna, z których raz po raz wyglądały twarze przestraszonych mieszczan. Przed oczami pary zamajaczyła bryła kościoła św. Klemensa, wyzierająca ze strzech i gontów. Droga wiodła delikatnie pod górę. Wzniesienie pokrywała cienka warstewka śniegu, przypominającego blizny wycięte w ciele. W górze ścigały się nawzajem plamy cieni rzucane przez gęste chmury i jaskrawe światło słońca. Czy to wieczór, czy może już rano – zastanowił się Niemiec. Postać Alfreda rzucała długi cień wywołany przez ostre promienie słońca. Ubłocony płaszcz Ostenwalda szarpał wiatr. Mężczyzna podążał sprężystym krokiem. Miriam zastanowiło jego zachowanie. Był dziwnie zamyślony, milczący i nieswój.

Poprowadziła go do przeprawy.

Gdy zobaczyli front karczmy, Miriam głośno i bez związku się zaśmiała. Alfred odwrócił spojrzenie od frontu kaplicy świętego Wita, któremu z osłupieniem w oczach się przyglądał. Korciło go, aby wejrzeć do wnętrza.

– Co cię tak bawi? – zapytał urażonym głosem.

– Że znowu pojedziemy na jednym koniu.

Rzeczywiście, zwierzę stało uwiązane do drzewa. Alfred z miejsca rozpoznał czarnego rumaka Plotzlicha.

– No to już wiem, czyje to złoto. – Posłał dziewczynie słaby uśmiech.

– Trupowi się nie przyda – oznajmiła. – Poza tym zapłaciłam już swą cenę.

– Chciałaś powiedzieć, że Plotzlich ją zapłacił.

– Dziwisz mi się? Plotzlich jechał za mną, Ostenwald. Myślisz, że czemu był uzbrojony jak na wojnę? Dla ciebie na pewno się nie wystroił. Gdybym nie strzeliła, stratowałby mnie tą swoją kobyłą.

– Skoro tak, oddajmy złoto ubogim – odparł legat, na co dziewczyna parsknęła.

– Na głowę upadłeś?! – Przyjrzała się mężczyźnie mocno zmieszana. – Co ty w ogóle masz na sobie?

Do cyrku wstąpiłeś czy co?

Zmierzył Żydówkę poważnym wzrokiem. Czarny, lejący się płaszcz upodabniał postać brodatego mężczyzny do jakiegoś czarnoksiężnika z ruskich bajek.

– Zbliża się Dzień Sądu, Miriam – oznajmił. – A my jesteśmy grzesznikami.

Żydówka już miała na końcu języka odpowiedź, kiedy przez wrota karczmy wytoczył się, popijając z gąsiora, jakiś mężczyzna. Łasicowate oblicze pokrywał zarost, a szczerze wielkie, brązowe oczy pełne były zmieszania i niedowierzania. Fircyk gubił krok, a z czoła zwisała mu śmieszna wycinanka czerwonego chaperonu. Sznurowany na klatce piersiowej houpelände spinał pas z mieczem. Ledwo mężczyzna ujrzał Miriam, wyszarpnął przytroczony do pasa miecz i zawrócił do karczmy.

– Poczekaj no przy koniu – rzuciła Miriam i nie odrywając spojrzenia, ruszyła na nieznanomego. – Ja muszę zrobić Dzień Sądu pewnej osobie tu i teraz.

– Kto to?! – zawołał za dziewczyną Alfred.

– Ma na imię Jaś! – odkrzyknęła. – To przez niego tu jestem!

Niemiec posłusznie stał. Minęła krótka chwila, a usłyszał przeciągły gwizd, a po nim łomotanie.

Z drugiej strony doszedł go dźwięk koni. Po chwili spostrzegł wyjeżdżających zza gospody dwóch mężczyzn. Obaj w czerwonych tunikach z wizerunkiem strzały na piersi, obaj prowadzili konie. Trzymali wzniesione miecze. Łomotanie narastało. Postacie dwóch kolejnych mężczyzn wyłoniły się z drugiej strony budynku. Wkoło wyrastali kolejni żołnierze. Kilku wzniosło kusze.

\*\*\*

– Czego tu chcesz? – usłyszała wycedzone szeptem słowa. Ciemność w sieni wydawała się jeszcze bardziej gęsta, niż pamiętała z ostatniej wizyty w karczmie. Poczowała nacisk na brzuchu. Otworzyła szeroko oczy. To było ostrze miecza trzymanego przez Jasia.

Zobaczyła twarz mężczyzny. Nacisk zwiększył się. Pchnięta na wrota zachwiała się. Z ust

dziewczyny wyrwał się suchy śmiech.

– Taki, jak pamiętam – rzuciła. – Od razu zabierasz się do rzeczy. Choć wolę, jak rzucasz mnie na łóżko.

– Przyjechałaś się zemścić?! – zapytał zmienionym głosem mężczyzna.

– A jak ci się zdaje?! Mamy chyba do pomówienia, Jasiu – oznajmiła stłumionym głosem. – Jak widzisz, jestem bez broni. Więc łaskawie odłóż swoją.

W tej samej chwili uszu Żydówki dobiegły groźne okrzyki. Błyskawicznie przypadła do drzwi. Poczowała dłoń zaciśniętą na palcach i obrzuciła Jasia wzburzonym wzrokiem.

– Nie wychodź – ostrzegł. Na obliczu mężczyzny dostrzegła troskę. Wyrwała palce i podrzuciła gniewnie głową. Lecz nie wykonała kolejnego kroku w kierunku progu. Stała i czekała na rozwój wypadków, obserwując obejście przez szparę we wpółotwartych drzwiach.

Alfreda otoczyli odziani w czerwone tuniki zbrojni. Wszyscy prócz legata byli na koniach. Niektórzy wznosili w górę łuczyska kusz. Legat stał między nimi. Rozmawiał z kimś, kogo Żydówka jedynie słyszała. Głos nieznanego mężczyzny był podniesiony i pełen ekscytacji.

\*\*\*

– Jesteś wielokrotnym mordercą, Ostenwaldzie – rzucił chrobotliwym głosem Kościelecki. Siedząc w siodle wśród swoich ludzi, garbił się mocno do przedniego łęku, nadal cierpiąc z powodu postrzału. Właściwie wyglądał, jakby jedynie wola utrzymywała go jeszcze w kulbace. Oblicze starosty przypominało barwę wosk. – Nie unikniesz stryczka.

– Nie masz tu jurysdykcji, Kościelecki – rzekł bez mrugnięcia Ostenwald.

– A widzisz tu gdzieś Oporowskiego? – Pan Andrzej rozejrzał się. Jego spojrzenie opadło na Niemca. – Nie. Bo go tu nie ma.

– Nie jego miałem na myśli – odwarknął Ostenwald. – To Święta Ziemia. A tacy grzesznicy jak ty tylko ją kalają.

Obrzucił wszystkich zebranych surowym spojrzeniem, sprawiając, że siedzący w siodłach kusznicy drgnęli.

– Wszyscy jesteście grzesznikami – ciągnął. – Lecz najgorszy z was to on.

Wskazał Kościeleckiego.

– Jego osoba kala tę ziemię złem, o jakim się wam nie śniło. To morderca i czarownik. Bezbożnik, który...

– Zamilcz! – zawył Andrzej.

– To ty zamilcz. Jak mogłeś, Andrzej Kościelecki? Tyle zła, tyle istnień ludzkich pochłonęła twa

żądza!

– Jakbym gadał z klechą – zadrwił bydgoski starosta. – Nie rozumiesz? Ja zawsze dostaję to, co chcę.

Zawsze. I ty nie będziesz wyjątkiem.

Alfred pokręcił zdecydowanie głową.

– W Kruszwicy nie dostałeś tego, po coś przyjechał – oznajmił spokojnym głosem.

– To się dopiero okaże – syknął Andrzej.

– Już się okazało. Nic twoje ofiary nie dały. Siła, którą usiłowałeś przywołać, wiedziała o twym postępowaniu. Ale nie będzie nigdy służyła ludzkiej nikczemności.

– Skąd możesz to wiedzieć?! – Starosta rozszerzył oczy.

– A jak myślisz? – na ustach Alfreda pojawił się kpiący uśmiešek. – Wiem to z pierwszej ręki.

Żołnierze popatrzyli po sobie zdumieni. Andrzej poczuł, że powiedział już za wiele i nabrał wody w usta.

– Chcę rozmawiać ze starostą Oporowskim – oznajmił, zmieniając ton głosu, Ostenwald. – Jemu jedynie się poddam. Ty, Kościelecki, nie masz tu żadnej władzy. Jeśli mnie tkniesz, będzie to zwykłe morderstwo.

Andrzej poruszył się w siodle.

– Starosta Oporowski prosił mnie osobiście, abym cię ujął – odparł, zadowolony. – I przywłókł przed jego oblicze. Chce cię wypytać o twoją współniczkę. Kobieta, która przed paroma nocami rzuciła się na niego z nożem. Żydówkę, Miriam. Uważa, że i ty byłeś w ten atak zamieszany.

– Uwierzył ci?! W twoje historyjki?! – zapytał zdumionym głosem Niemiec. – A Jan z Oporowa?

– Nie żyje od siedemnastu lat, idioto – rzekł starosta. – Zginął w pożarze zamku.

– Widziałem go – oznajmił zjadliwie Alfred. – Nikogo nie nabierzesz.

– Widziałeś włóczęgę podającego się za Jana. Nadmienię, że został już za to ukarany. Niestety, w przypływie szaleństwa po śmierci swojej współniczki, czarownicy Katarzyny, zdołał się powiesić w celi, do której go wtrąciłem.

– Nie mogę dać wiary, że Oporowski tak po prostu ci uwierzył we wszystko – rzekł Alfred, zatapiając wzrok w ziemi. – Tak po prostu dał się zwieść twoim kłamstwom...

– Dałem mu słowo szlachcica – oznajmił spokojnie Kościelecki, potem jednak krzyknął. – Gdzie jest to żydowskie nasienie?!

– Nie wiem – skłamał. – Jestem sam.

– A to? – Wskazał brodą konia.

– Wałęsał się po lesie.

– Miriam na nim uciekła z kruszwickiego zamku – zauważył Andrzej.

– Widać daleko nie ujechała. – Alfred wzruszył ramionami.

– Kłamiesz.

– I kto to mówi?! – Niemiec roześmiał się. – Ten, który od lat nie wypowiedział słowa prawdy! Ciekawe co by na twoje kłamstwa powiedziała Katarzyna Kucharczykowa albo jej syn, Mateusz. Skądinąd twój bękart. Ciekawe co by powiedział Jan z Oporowa po tym, jak podpaliłeś zamek, z nim w środku.

– Zamilcz! – zawył starosta, a potem zawołał do strzelców. – Zastrzelić go! Strzelać! Już!

Alfred doskoczył do jednego z koni, lecz w tej samej chwili brzdęknęły cięciwy. Bełty odrzuciły ofiarę daleko, aż pod sam próg.

Miriam zamknęła oczy i zwarła mocno zęby, żeby się nie rozpłakać.

# Epilog

– Od samego początku zadajesz tylko nużące mnie pytania, chłopcze. Nie zdrętwiał ci aby od tego ózór? – usłyszała wibrujący, głęboki głos starca. Drżące, pomarszczone i białe jak papier dłonie starego zacisnęły się na sterze i z zaskakującą pewnością siebie pociągnęły za drewno. Coś skrzypnęło, a dziób łodzi zebrał z powierzchni wody kożuchy wodorostów, którymi i tak objuczone były z obu stron burty.

Podstarzały rybak od razu wziął Miriam za chłopaka, więc nie zamierzała go wyprowadzać z błędu. Po tym, co zobaczyła przed drzwiami gospody, wołała nie ryzykować.

Cóż – pomyślała – mogę być i chłopcem. Bylebym wyszła z tego wszystkiego cała.

Nim wymknęła się wieczorem z karczmy, pozbyła się włosów. Obcięła je prawie przy samej skórze, a kosmyki wrzuciła do paleniska. Smród był nie do wytrzymania.

Po tym, co się stało, nie miała już chęci na rozmowę z Jasiem. Rozstali się praktycznie bez słowa. Każde z nas bardziej troszczy się o własny tyłek niż o drugie – pomyślała. Ale czy tak samo nie było z Alfredem?

I czy gdyby nie weszła do karczmy, Niemiec nadal by żył?

– Ciągłe tylko pytania. – Stary pokręcił głową. – Ciągłe miałeś ozorem.

– A ty mi na żadne nie odpowiedziałeś.

– Bo za nimi nie nadażam – odparł. – Już mówiłem. Jeśli starosta opuścił Kruszwicę, ja go przez Gopło nie wiozłem. Tak samo tego drugiego, sędziego. Wiem, że się pożarli. I tyle.

– W taką pogodę powinienes nosić rękawice – zauważyła dziewczyna. – Pokaleczysz sobie dłonie na tym mrozie.

Zza sztywnego czepeca wyjrzał wielki jak kartofel nos.

– Nie twoja to rzecz... – Zmarszczył czarne, krzaczaste brwi, jakby niedowidząc. Spojrzał w mętną toń Gopła.

Po chwili ciszy znów odezwał się melodyjny, cichy głos Żydówki.

– Chciałem się zaciągnąć do starosty bydgoskiego na służbę. Dlatego te pytania.

– Ty?! – parsknął mężczyzna. – Jako kto? Błazen?

Nie odpowiedziała. Poczula wilgotny opar na miękkim policzku.

– Już dobiliśmy? – zapytała zgarbionych pleców mocującego się z hakiem i młotkiem starca.

– Należy się dziesięć groszy, wedle umowy – odparł. Dziewczynę zaskoczyła osobliwa cisza panująca w tym miejscu. Odciągnęła nieco poobcierane rąby kaptura, żeby lepiej słyszeć, ale jej uszu doleciał tylko odległy szum. Usłyszała wkoło siebie szmer głosów, coś jakby jęki konających, a potem poczuła nagle, przenikliwie zimno, które wręcz odepchnęło ją w tył, tak, że aż zatoczyła się. Trwało to



tylko mgnienie, jakby ktoś bardzo szybko przeszedł obok niej.

Wkoło stali mężczyźni w długich, jaskrawych tunikach z krzyczącym czarnym orłem. Wszyscy, oprócz dowódcy, dzierżyli w garściach miecze.

– Witaj, Miriam – burknął jeden ze zbrojnych, obmacując czarna brodę. – Zwą mnie Piotr z Barcina. W imieniu starosty kruszwickiego jesteś aresztowana za próbę podniesienia ręki na mojego pana oraz czarnoksiężstwo.

Usta Żydówki poruszyły się jak u ryby usiłującej nabrać powietrza.

– Ty! – Zerknęła na rybaka, który przygarbił plecy. – Ty wredny Judaszu!

– Dość. Brać ją – zarządził Piotr. Żołnierze złapali dziewczynę za ramiona i wyciągnęli na brzeg. Stopy Żydówki zatańczyły nad ziemią, a potem wpadły do wody. Lecz opór nie zdał się na wiele. Byli silniejsi, no i uzbrojeni. Szamotaniu się towarzyszył chłopot. Poczwała, jak do jej nogawek wlewa się lodowata woda. Piszczła jak ranne zwierzę.

– Puśćcie ją – usłyszeli. Słowa rozbrzmiewały echem z wszystkich stron. Mężczyźni rozejrzeli się wkoło.

– Kto śmie?! – zawrzał Piotr z Barcina i na wszelki wypadek wyszarpnął miecz.

– Ja śmiem. Nadciąga dzień, gdy wszystko zostanie zliczone. Nikt, najświętszy nawet człek nie uniknie Sądu – odezwał się ponury, niski głos. – Wy zaś pierwsi pójdziecie w ogień, tak jak do tej pory sprzyjaliście grzesznikom i byliście ślepi. Puśćcie ją. Bo pożałujecie.

– Kim jesteś?! – wrzasnął rycerz, potrząsając klingą. – Pokaż się!

– Przecie stoję przed wami – odrzekł nieznajomy, wychodząc zbrojnym naprzeciw. Pojawił się znikąd. Na ramionach miał lejący się w dół płaszcz, na głowie ciężki kaptur. Sunął ku nim, jakby frunął nad ziemią, a płaszcz nieznajomego furkotał na podobieństwo skrzydeł. Mężczyzn oblał blady strach. Cofnęli się, nie rozumiejąc, dlaczego tak postępują.

– Alfred!!!! – wykrzyknęła Miriam, spostrzegając czarną opończę. Ledwo jednak dała krok w stronę nieznajomego, ogarnął ją osobliwy chłód bijący z jego słów.

– Nie podchodź, Miriam – oznajmił. Choć był to głos Alfreda, brzmiał dziwnie, jakby cedzony przez ściśnięte gardło.

Czas jakby stanął w miejscu.

– Czemu mi pomagasz? – zapytała naiwnie.

– Pan ma co do ciebie plany – odparł, a potem skrzywił się, jakby trawiła go jakaś choroba albo cierpienie. – Staniesz się narzędziem w jego rękach.

– Wypchaj się! – odkrzyknęła. – Nie będę niczym narzędziem. Twoim, pana czy kogokolwiek.

Przybysz zmierzył dziewczynę spojrzeniem spod kaptura. Ujrzała przelotnie kawałek twarzy.

Zarazem przypominał i nie przypominał Alfreda. Blade, pozbawione jakiegokolwiek zarostu oblicze mężczyzny, obce i wyniosłe, z wysokim czołem i łagodnie zarysowanymi łukami brwiowymi, mimo niesamowitego piękna, wydało się dziewczynie odpychające. Na przypominającej wosk twarzy nie było śladu uczuć.

Odczytała pogardę bijącą z czarnych, pozbawionych rzęs oczu mężczyzny. To nie był Alfred, jakiego znała. A może w ogóle nie był to Ostenwald? Dziewczynę przeszył lodowaty dreszcz. Czowała bardziej niż widziała, że oto ma przed sobą obcego człowieka. I nie była to obcość zwyczajna, lecz coś zgoła niesamowitego.

– Byłaś narzędziem całe swoje życie – oznajmił z pełnym wyższości, dźwięcznym głosem przybysz.  
– I to się nigdy nie zmieni. Kobiety twego pokroju zawsze są narzędziami w czyjś rękach.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! Kim ty właściwie jesteś? – Z trudem panowała nad złością. – Za kogo ty się uważasz?!

– Dość tego! – zawołał Piotr z Barcina. – Dość tych próżnych pogaduszek. Kobieta idzie z nami. A co do ciebie...

Usiłował podejść do nieznanego. Oblał go zimny pot, gdy obcy wpił w niego niesamowite spojrzenie pozbawionych rzęs oczu.

– Stój. Nie podchodź. – Powstrzymał zbrojnego wzniesioną dłonią. Białe, niczym dwa gołębie dłonie zatoczyły w powietrzu złowróżbny łuk. Odslonił płaszcz. Blask poraził wszystkich. Mężczyźni padli na twarze, a kilku rzuciło się do tyłu. Piotr z Barcina odskoczył i padł jak długi. Przez chwilę usiłował wstać, lecz ciężka kolczuga trzymała mężczyznę przy ziemi. Wreszcie jak robak odpełzł, dołączając do umykających żołnierzy.

Światło rozpalało wody Gopła. Żar, jaki z niego bił, nie przynosił ciepła, lecz wypalał oczy, sprawiając, że zamiast kształtów dostrzegały jedynie pulsujące plamy światła. Miriam ukryła głowę w ramionach i cicho załkała. Poczwała, jak coś w niej pęka. Napięcie uwięzione przez te wszystkie lata uwalnia się. Łzy piekły w policzki jak żywy ogień. Lecz szybko zasychały na twarzy.

Podniosła czoło. Mężczyzna zniknął. Złote refleksy zamajaczyły na dziwnej barwy wodzie jeziora. W dali przypatrywał się Gopłu kruszwicki zamek wraz z przekłętą Mysią Wieżą. Lecz tutaj panowała złowróżbna cisza. Jedynie woda huczała. Pływy podnosiły pozostawioną przez rybaka łódź na swoich brzuchach, tworząc wkoło burt ciemne, spienione wzory.

Copyright © 2011, Jarosław Klonowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne: Wydawnictwo MG

ISBN 978-83-7779-055-7

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)